

2

PODANIA I BAŚNI

LUDU

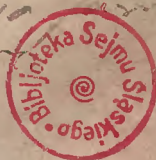
W

MAZÓWSZU

(Z DODATKIEM KILKU SZŁĄSKICH I WIELKOPOLSKICH)

SPISAL

ROMAN ZAMARSKI.



W WROCŁAWIU,
NAKŁADEM ZYGMUNTA SCHLETTERA.
1852.

**Biblioteka
Sejmu Śląskiego**

1189
I



35,000,

X-1343	
1189	I

Spis.

	str.
Kilka słów wstępnych.....	I.
Podania i Baśni Ludu w Mazowszu.	
Sobotnia Góra.....	1
Przypisy do Sobotniej Góry.....	15
O dwu dzieciątkach na wodę puszczonych. (Klechda Szląska.).....	19
O Dziadowym Synu.....	26
Przypis do Dziadowego Syna.....	41
Wdzięczne Zwierzęta. (Baśń madziarska.).....	42
Straszny Potwór.....	58
Przypis do Straszego Potworu.....	74
Znajdek.....	76
Przypis do Znajdka.....	92
Dwaj Towarzysze.....	94
Przypis.....	103
Strzyga.....	104
Przypis do Strzygi.....	120
Ucieczka.....	121
Skarb ukryty.....	133

IV

	str.
Kozielek.....	141
Drwal i Djabeł	143
Anielska czyli Djabelska Góra pod Rawą	156
Podanie Miejscowe od Łomży.....	161
Podania miejscowe Warszawskie	165
Dodatek. Kilka podań, baśni, gadek z Wielkopolski i Szląska	
Strach.....	179
Krwawe Pole w dolnym Szląsku.....	188
Kościół Ś. Jadwigi w Trzebnicy, na Szląsku	190
Lisic-góry w Ociężu w Wielkopolsce	195
Kłątwa Ś. Wojciecha. (z Wielkopolski.).....	198



Kilka słów wstępnych.

Ubogi, zaniedbany, często zapoznany Lud nasz, obok ciemnoty i mnogich wad, dziejowych kolei nieodzownym skutkiem będących, przechowuje zarazem pod poziomą, gościnną strzechą swoją mnogie skarby, nieocenionej wartości, których napróżnobyś gdzie indziej szukał. — Istotę, rdzeń, krynicę samą tych skarbów stanowi ów ogół zupełny, — ton — jego uczuć, pojęć, życia, który duchem Ludu nazywam, — tajemniczy w sobie i niepojęty, — dla nieożywionych nim, dla niewtajemniczonych, niewidzialny nawet, mnogimi strumieniami rozciekający, mnogimi gałęziami rozrastający się w bycie Ludu — i w nich dopiero się objawiający.

Dwiema znaczniejszemi odnogami tego niezmiernego morza, — gałęziami olbrzymiego drzewa, są pieśni i powieści gminne. — W tych to powieściach

II

i pieśniach, na pozór często uwagi niegodnych, szorstkich i grubych, tai się nie jedna myśl, nie jedna wiedza przeszłości, dla nas zagubiona, — jak pieniądz drogi w brudnej ziemi ukryty; a jako z owej monety rdza co chwila ścięra znaki, któremi na niej myśl dawnych wieków wypisano, tak i pieśń i powieść stara cierpią co dnia od rdzy czasów, mienia się i zacierają. — Wydrzec je z pod tego zgubnego wpływu, obmieść ze rdzy i pleśni, myśl w nich zawartą odgadnąć i obrócić na korzyść powszechnego życia — trud ten dostał się dniom naszym, jako jedno z ważniejszych narodowych zadań.

Pojmujący takowe zadanie mężowie, dogadzając ogólnej potrzebie, od lat już kilkunastu poczęli pracować około jej zaspokojenia. Rzucono się z zapałem ku pieśniom gminnym, — oddano im należne uznanie i hołdy, — naśladowano i zbierano je obficie. Dzięki zapałowi temu mamy dzisiaj zbiory ich liczne i bogate; a przejęcie się natchnieniem ludowych pieśni, zapatrzenie się na prostotę i piękność ich kształtów, pomnożyło piśmiennictwo nasze nie jednym świetnym, narodowym utworem, — wionęło w nie nowe życie, swobodę, uczucia, język i wyobrażenia przedtém nieznanne. —

Lecz gdy tak około pieśni i pisarzy i czytelnictwa zbiegło się zajęcie, powieści gminne, jakby mniej względu godne, prawie zupełnie zapomniane i nie-
tknięte pozostały. — Kazimierz Władysław Wojcicki, —

któremu piśmiennictwo nasze za nie jedno dzieło, zwłaszcza zaś za kierunek, jaki w niem rozwijać stale się silił, wdzięczność winno, — uczynił tu krok iérwszy wydaniem dwu tomów swoich Klechd; śladem jego pojawiały się następnie, różnym czasem, ozrzucone po pismach czasowych pojedyncze artykuły i parę osobnych zbiorów. To wszystko wszak, porównane z rozległością przedmiotu, jest tak niezmiernie mało, że pracę około poznania ludowych podań bodaj za rozpoczętą już uważać się godzi.

A przecież, pomimo istotnej i wielkiej pieśni gminnych wartości, nigdy one, ceną swoją, korzyścią jakaby z ich najzupełniejszego zebrania odnieść się dało, nie dorównają podaniom, — tak te ostatnie celują nad piérwszemi: ogromem, różnaitością, ważnością przedmiotów i wszechstronnością użytku.

Jako na odwiecznej przydróżnej mogile słowiańskiej, gdzie każdy przechodzień ciska kamień wspomnienia, leżą na pierwotnych, tysiącletnich, co raz to późniejszych rodów ręką miecone bryły, — aż do głazu, który wczora wędrowny wieśniak dorzucił: podobnie w ogromném zsépowisku podań i baśni napotkasz, nagromadzoną bez liku i ładu, spuściznę kolejną wszystkich plemion i stuleci. Znajdziesz tu, żywe jeszcze, podania wiary, która prababą może była wierze pogańskiej, jaką u nas chrystjanizm zastąpił i powalił, — której byt i epoka, jak sfinx taje-

IV

mniczy, majaczeje nam z nocy tysiącleci.... za niemi, wielobóstwa słowiańskiego dziwaczne szczątki.... dalej, legendy i tradycye chrześcijańskie, już zmieszane i zrosłe ściśle z pojęciami rodzimemi narodu.... aż do wylęgłej wczora, u komina wieczornego, gadki.

Wyjawszy szczupłą liczbę przybłąkanych obcych powieści (które, przez to że się u nas przyjęły, także do badań nieobojętnym są wątkiem) wszystkie one niemal powiązane korzeniami swemi z myślą i sercem Ludu, stanowią, od najstarszych do najnowszych, jeden nieprzerwany łańcuch, — tchną jednym duchem, objaśniają się i uzupełniają wzajem, — mieszczą w sobie wykład i dopełnienie ciemnych szczegółów pieśni, obyczajów i wyobrażeń gminnych, — bardziej niżeli co bądź wykazują i tłumaczą ducha Ludu, którego nauka ze wszech względów tak ważnem jest zadaniem. Oprócz tego głównego celu, są one już dzisiaj niepoślednim materiałem w nauce starożytnictwa, dziejów, prawoznawstwa; poznanie zaś ich rozleglejsze nie zostałoby niewątpliwie bez użytku dla nie jednej jeszcze umiejętności i nie raz może wydobyłoby z nich promień światła rozpraszający mrok dęgich poszukiwań.

Mówię to nie dla wsadzania przedmiotu mego na wysokie szczudła, nie w zaślepieniu bezkrytycznego lubownictwa, lecz w rzetelném i głębokiém przekonaniu, — jakkolwiek wiem z góry, że wielom słowa

moje napuszoną raczej deklamacją zdawać się będą. Boć wiem, że znajduje się wielu, nawet wysoko i wielostronnie wykształconych ludzi, którzy w naukowych badaniach radzi poważnie odwołują się do ksiąg podań hebrajskich i Wed, do Eddy i Zend-Awesty, którzy ramionami wzruszają nad poważniejszém domowych podań traktowaniem. — Wina w tém po części szkolarskiego przesądu, przyznającego ważność tylko martwój literze, tylko raz przyjętym danym; po części niedostatku prac przygotowawczych, zbiorów podań, w braku których dzisiaj, bez osobistego wśród Ludu poszukiwania, poznać ich wartości gruntowniej nie podobna. — Nie wątpić, że w miarę jak zbiory materiałow rosnąć, im przeto większy obszar nieobejrzanej niwy przystępnym dla ogółu stawać się będzie, nastąpi uznanie ważności przedmiotu, systematyczne jego zcalenie, a zatem pora ciągnięcia zeń możebnych korzyści.

Dla zwiększenia, czémkolwiek jestem w stanie, szczupłej liczby zbiorów tego rodzaju, podaję w niniejszój książce kilkanaście podań i baśni gminnych, z wyjątkiem kilku pomniejszych, z Mazowsza pochodzących, — bądź z czasów dzieciństwa zapamiętanych, bądź później wśród Ludu zebranych, — które w téj chwili mam pod ręką w stósowném do ogłoszenia obrobieniu.

Położywszy na czele tego zbioru napis: **P o d a n i a**

VI

i Baśni, godzi mi się tu powiedzieć jak rozróżniam te dwa gminnej powieści rodzaje.

Podział powyższy nie jest żadnym dowolnym wymysłem, lecz w samej istocie rzeczy ma źródło; słowo gminne, jak ogółem brane stanowi jedną całość, tak znowu w szczegółach rozważane rozpada się najwyraźniej na te dwie wielkie części.

Podanie, jak to sama nazwa wskazuje, jest to spuścizna duchowa z przeszłości w przyszłość podana, dla przekazania bądź religijnych i moralnych wyobrażeń, bądź wypadków dziejowych lub szczególnych, w świetle w jakim je Lud swego czasu widział i pojmował. Istotną więc cechą podania jest wyraźny w nim przedmiot albo cel pewny, ma się rozumieć gdy cel ten lub przedmiot odpowiada powagą swą poważnemu temu nazwaniu. — Rdzeń ten tradycyjny, nie będąc samowolnej wyobraźni utworem, mnogie wieki przetrwać może nienaruszony od niej i nieprzetworzony; rada ona wszakże na nim, jak na wątku, nawijać swoje różnobarwne przedziwa, — tak, że nieraz pierwiastkowe podanie ledwie da się roznać pod osnową oplecionych na niem baśni, a nawet stać się może całkiem nie do rozeznania wśród innych, luźnie wprowadzonych, szczegółów. W ostatnim razie oczywiście traci ono miejsce w rzędzie podań, a przechodzi w niezliczony szereg wyobrażeń i mniemań Ludu.

Baśń najwybitniej od podania różni się brakiem

główniej tegóż cechy: wyraźnego celu i przedmiotu. — Treścią baśni pospolitą bywa cudowna płatanina wypadków i czynów, to nadprzyrodzonego, to znowu ludzkiego i zwierzęcego świata, — z czego sądząc zdają się one być samą tylko fantazyi utworem, i tak też często wyłącznie uważane zostają. — Nie raz wszelako w tej dziwnej i swawolnej płataninie mignie, jak błyskawica, pojęcie przedziejowych jeszcze wieków; nie raz na osi takiego pojęcia obraca się cała rzecz bajki: co upoważnia do wniosku, że nie jedno może święte starożytności podanie, straciwszy za czasu wpływem pierwotną swą wagę, niezrozumiałem nareście się stawszy, przetwarzane w coraz nowe powieści, stradało w końcu ze szczerem swą dawną postać i zeszło do rzędu baśni. Może nie jedna stara bohaterska pieśń, przechodząc przez niezliczone usta, zgubiwszy rytm swój i nutę, rozplynęła się w powieść kądzielną; nie jednemu może dziejowemu wspomnieniu przyszło dzisiaj na ten koniec. — Ogólnie wszakże i najwłaściwiej baśni uważać się dadzą jako utwory wyobraźni gminnej, k woli zajęcia i uciechy umysłowej, wysnute z wierzeń, wyobrażeń i podań Ludu, — których też nieprzebraną prawdziwie są kopalnią. —

Oprócz dwóch powyższych jest jeszcze jeden, podrzędniejszy, rodzaj gminnego słowa, u Ludu gadką zwany. Są to opowiadania przykrótsze, dla braku powieściowego wątku basnią, lub dla zbyt

VIII

blahego przedmiotu podaniem zwać się nie zasługujące. Miano to także służy powieści sięgającej zbyt świeżych, choćby najpoważniejszych, zdarzeń, — dopóki czas nienada jej uroczystego charakteru podania. (Do tej ostatniej kategorii należy szczególnie o chrzcie udawanym na Lisich — górach w Ociążu. Z resztą w zbiorze naszym, prócz Koziółka i Kłątwy Ś. Wojciecha do gadek należą właściwiej niektóre miejscowe podania warszawskie.)

Jakiékolwiek treści i początku być mogą podania i baśni, trwanie swoje zawdzięczają one wierze Ludu w sprawy o których opowiadają. Gdyby tę wiarę postradały, któżby ich zechciał służyć jeszcze? kto marne powtarzać wyrazy? . . . Słowiańskiemu naszemu Ludowi słowo jest świętością, której się płocho nadużywać strzeże; co u niego żyje na uściech, to niewątpliwie w głąb' duszy sięga i przesiąka całą jego istotę. Tak się ma u niego i z powieściami. — Gdzie się one dotąd dochowały w czerstwej sile, znakiem to niezawodnym że Lud im wierzy, — tam widzi on do dziś dnia w około siebie ich dziwy, — tam stanowią one istotną część bytu jego. — Skoro znowu gdzie podanie i baśń pocznie tracić wiarę gminną, tam, w miarę jak niśnie jej urok, i one także rozsypują się i znikają: nie gromadzą już więcej słuchaczy u zimowego ogniska, nie trzęsą więcej ani rozczulają serc; — chwilę jeszcze, spłowieałe i zni-

kezemniałe, walają się po śmiecisku wioski — aż wnet zginą, zapomniane ze szczeniem.

W zgromadzaniu ich więc wielce na tém zależy, ażeby zbierać je w okolicach, w których Lud nie wyrzekł się żywej dla nich wiary, gdzie przeto trwają w nienaruszonej czystości i mocy. Za takie okolice powszechnie uchodzą: Tatrzańskie góry, z przyległym sobie krajem, wszystka Ruś, Litwa i Żmudź. Zdaniem mojem Mazowsze zasługuje nie mniej na policzenie w tym rzędzie; gdy zaś dotąd, o ile mi wiadomo, nikt nie zwrócił uwagi na ważność jego w podaniowym względzie, chciałbym tu chociaż krótką dokonać tego wzmianką.

Lud Mazowsza może być że mniej niżli mieszkańcy innych stron posiada podań miejscowych i dziejowych; lecz za to obfituje znakomicie w utwory na wierze i przesądach gminnych osnute, pomiędzy którymi nie rzadko dadzą się znaleźć wyraźne pozostałości z przeddziejowych jeszcze wieków. Co do tych ostatnich, sędzę nawet że Mazowsze przenosi bogactwem wszelkie dawniej Polski ziemie.

U Rusi, w ogóle, co pozostało z przedchrześcijańskich zabytków, albo przesiekło i z gruntu przetrawiło się chrześcijaństwa wpływem, albo wplotło się i wniknęło w późniejszych dziejów wspomnienia; ledwie — ledwie coś niecoś w pierwiastkowej dotrwało istocie. — U Tatrzańskich znowu i pookolicznych

plemion odwieczne podania mniej, jak się zdaje, uległszy przemianie, natomiast w porozrywanych, drobnych, a zgoła w jedność do spojenia trudnych przechowały się szczegółach*). — U Mazurów tymczasem ja sam napotykałem znaczną ilość całkowitych, dość obszernych, podań i baśni, których przedchrześcijańskie pochodzenie wątpliwości nie ulega, — a w których tyle wieków trwania zewnętrzną tylko stronę nadpsować zdołało, nienaruszając zgoła wewnętrznej istoty.

Zjawisko takowe zawdzięcza Mazowsze zbiegowi rozlicznych okoliczności. Koleje dziejowe, które przechodziło, nie mała tu mają zasługę. —

Kraina ta, leśna, uboga, w głąb' grubych bałwochwalców posiadłości wsuniona, wpływowi zachodu zawarta, niezawodnie ostatnia ze wszystkich natenczas polskich prowincyj uległa władzy kościoła; a choć pod opieką panujących duchowieństwo katolickie objęło wreszcie w posiadanie liczne miasta i znaczniejsze osady, Lud nieuległe zachowywał w tajnikach puszczy swoich obrzędy i wiarę dawną. — Po zejściu Mieczysława Drugiego i ucieczce Ryxy tutaj wzięło początek powstanie starowierców, przeciw społe-

*) Winienem tu wszakże dodać, że Rusi maleńką tylko częśćkę, Tatrzańskich zaś stron wcale sam nie znając, sąd mój niniejszy opieram li na ogłoszonych dotąd poszukiwaniach i prywatnych objaśnieniach znających je osób.

czeństwu nowemu i wierze, — ztąd czerpało główne siły; tu nareście, na czas jakiś, powstało pogańskie państwo Masława. — Z upadkiem tego zuchwałego wodza, kościół ostatecznie i zupełnie ogarnął wprowadzie władzę; jednakże, wojny prawie bezustanne, których kraj ten był widownią, — nieład i rozterki długowieczne, z rychłych podziałów władzy wynikłe, nie dozwoliły panującym z tą żelazną wytrwałością i siłą, z jakimi je w reszcie Polski tępiono, wykorzenić tu wszelkich słowiańskiej przeszłości zabytków. Ciągłe nakoniec stosunki sąsiedzkie z Jaćwieżą, Prusakami, Litwą, — narodami w Europie najdłużej przy pogaństwie obstarającymi, — utrzymywały na Mazurach stare mniemania, obyczaje i podania w pełni życia; charakterowi zaś Ludu, wiernie i zacięcie trzymającemu się każdej po ojcach spuścizny, stosunkom miejscowym, przyrodzie tutejszej krainy*), oddaleniu od wpływów Niemiec,

*) Jakkolwiek Mazowsze nieposiada już dziś onych nieprzejranych puszczy, w których tur, łos, bóbr mieli bezpieczne siedliska, jest to jednak kraina dotąd wielce lesista i prawie w każdej okolicy widnokrąg zamyka się ciemnym wieńcem borów. Ta fizjonomia leśna nie jest bez wpływu na zachowanie się u Ludu starożytnych wierzeń i podań. Ów ciemny krąg lasów jest dla wyobraźni prawdziwym kręgiem czarodziejskim, po za którym opowiadacze i słuchacze mieszczą cały świat podaniowych dziwów; tam to stoją jeszcze zakłete zamczyska, chaty złych jędz i rozbójników, mieszkają straszne leśniki i przypołudnice, dobrzy królowie i wieszczki . . . Nieruchomość na-

najsilniej żywioły słowiańskie trawiących, zawdzięczamy zachowanie ich po dziś dzień.

Kamieniem zwykłym obrażenia w zbiorach tego rodzaju co niniejszy, jest redakcyja. — Obrabianiem, okrzesywaniem i dopełnianiem gminnej powieści podług własnych pojęć spisującego, odbiera się zbiorowi wiarygodność; ze spisania znowu samęj suchej treści, lub niewolniczego stenografowania słów pierwszego lepszego wiejskiego opowiadacza, powstaje książka zbyt jałowa dla czytelnictwa, która zatępi na upowszechnienie przedmiotu korzystnie wpłynąć nie może. — Zdaje się że obu tych szkopułów uniknąć można, zachowując w pisaniu tryb opowiadaczy gminnych; i tym też trybem poszedłem.

Z najsumienniejszą zatępi wiarygodnością starałem się wszędy zachować wszystko, cokolwiek istotną treść

szego wieśniaka, który często o kilka mil od swojej wsi przez życie całe się nieoddali, sprzyja temu łądzeniu wyobraźni. — Że to łądzenie nie jest obojętne, przekonałem się sam na sobie. Ileż to razy siedząc wieczorem przed chatą wieśniaczą, z oczyma wlepionymi w oddalone czarne ściany borów, słuchając opowiadania staręj bajarki, zapominałem wraz z drugimi słuchaczami, że po za lasami temi ciągną się bite drogi i dymią miasta fabryczne, i pewnie tak dobrze jak oni wierzyłem na chwilę że w tych to lasach, przede mną mierzchnących, straszliwy zbójca pokutował pod jabłonką z pałki swęj wyrosłą, a Waligóra z Wyrwidębem wiedli pustelnicze życie swoje! .. Takie to chwile najlepší nauczyły mnie pojnować ducha podań gminnych i ich u Ludu znaczenie. —

powieści stanowiło, nieopuszczając żadnego szczegółu pozwalającego się domyślać jakiegoś znaczenia, wybitniejszego lub barwniejszego, — powtarzając wszelkie jaskrawsze lub właściwością uderzające wyrażenie, aż do pojedynczego nawet słowa. Ale też za to, czując się żywą Ludu mego częścią, zachowałem sobie zupełną swobodę w szczegółach ubocznych lub obojętnych, które każdy opowiadacz gminny, podług możliwości wyobraźni a zakresu swych pojęć, odmienia lub stwarza. Z wolności téj korzystając wprowadziłem do niektórych powieści akcesorja i koloryt właściwszy czasom, do których prawdopodobnie rzecz bajki odnieść by się dała. Czyniłem to jednak bardzo oględnie, ażeby całości nie pozbawić charakteru gminnego; i mam też powód ufać żem podobnego usterku uniknął. Żywcem bowiem tak jak je tu podaję, powtarzałem te powieści po wiele kroć i w różnych stronach wiejskim słuchaczom, — a przecież wszędy rozumiany i jako bajarz lubiony byłem. —

W jednym tylko względzie piśmienne opowiadanie moje, co sam widzę, odstąpiło od ustnego, — to jest w stylu. W części jest w tém niezawodnie moja wina, że wzięwszy pióro do ręki niemogłem przewyciężyć nałogu książkowego języka; z drugiej strony mniemam jednak, że pisać tak jak się mówi podobne rzeczy byłby niezmiernie niewdzięczny sposób. Ta jednostajna prostota stylu i składni, w żywej mowie

urozmaicana i artykułowana wyrazem głosu, twarzy i gestów, przeniesiona w martwém piśmie stałaby się nieznośnie nudną, aniby zdołała wyrzucić wrażenia jakie mogła sprawić w ustném opowiadaniu; nie ma się więc co za nią uganiać, — o ile sama nie przyjdzie.

Wyrażenia żywcem z ust opowiadaczy gminnych lub z pieśni ludowych wzięte, są w texcie pod kręślone. —

PODANIA I BAŚNI LUDU

W

MAZOWSZU.

Sobotnia Góra.

Podanie,

Ależ bo wówczas, ziemio staroświecka!
Dzisiejsze cuda cudami nie były:
Grały widomie niewidome siły

Seweryn G.

Poczciwa jedna staruszka, wdowa, miała trzech synów, których niezmiernie kochała. A był każdy z tych synów innego rzemiosła. Najstarszy był organistą przy parafialnym kościele, wielce mądrym i uczonym, że czytał na każdój książce, nawet z pisanego, i podobno że sam by mógł kantyczki składać: był przeto w wielkiej powadze u wsi całej, — ba! i u samego plebana. — Drugi, średni, służywał wojskowo i był rycerz bardzo zacny; tułając się zaś po różnych krainach napatrzał się i nasłuchiwał niemało takowych rzeczy, o których nikt dotąd doma jako żyw

nie słyszał: i przeto także miał szacunek ludzki, jako rozumny a wojenny mąż. — Najmłodszy brat był sobie po staremu chłopem, orząc ziemię w pocie czoła, jako ojce jego przedtém, i wierząc, w szczególności ducha, wszystko co oni wierzyli, — ani dbając na mądrość brata organisty, ani na nowiny żołnierza: dla czego téż u obojga w niewielkiej stał cenie i głupcem od nich zwan był. — Wszyscy zaś trzej bracia, jako poczciwi synowie, płacili miłość matce wzajemną serdeczną miłością, starając się dnia każdego by radość i wszystko dobre było z nią w starości jój.

Aż oto dnia jednego stało się nieszczęście, że niebogą starowinę porwały w nocy boleści niezmierne, od których jęcząc pobudziła dzieci, — że zbiegły się do jój łóża, wielce strapieni i trwożni, a co począć niewiedzący.

— „Już no ja tutaj przy matce zostanę, i czuwać będę nad niemi, — a wy jeno bieżcie co żywo do mądrój, w lesie u starój mogiły, by przyszła chorój z pomocą“ — rzekł do braci organista.

Oni tedy, górą, dołem, biegli do starój mogiły, do spustoszałej chaty, gdzie mądra mieszkała, i znalazłszy babę wiedli w skok do wioski. Kiedy byli blisko domu, patrzą, — aż ci organista stoi przed wrotyma.

— „A co? jak matce?“ — pytali.

— „O! już im lepiej być musi, bo przestali cał-

kiem jęczyć; leżą cichutko w łóżku, — pewnie śpią.“ —

Baba weszła do chałupy, stanęła około łoża, dotknęła ręki staruszki, — i rzekła, kiwając głową: „Iścież waszój matce lepij, a nic nie boli jój już: bo oto cała skostniała; widać chwila już jak zmarła.“ —

Na te słowa w chałupie powstał lament niesłychany. Wszyscy trzej synowie zawodzić jeli, tłukąc głowami o ścianę, rękoma rwąc do krwi ciało, tak okropnie, że aż baba, co jako żywa nigdy jeszcze żalu takiego w ludziach niewidziała, zlitowała się nad nimi.

— „Ha! jeżeli tak straszny po matce wam żal, toć wiem jeden jeszcze sposób wrócić ją do życia; będzie li tylko który chciał narazić własnego żywota. Pomódz jój może choćby jedna kropla żywěj-wody, — co za trzema rzekami, za trzema puszcami, bije na Sobotniój-górze, z pod gadającego drzewa, na którym siedzi zaczarowany sokół. — Zajść, i nazad z tamtąd powrócić, stanie na to siedm dni czasu; ale wielu już chodziło, żaden zaś dotąd nie wrócił z téj drogi. Kto chce wnijść na wierchołek góry, musi iść prosto przed siebie, bądź co bądź spotkał by na drodze albo za sobą posłyszał; broń Bóże jeden krok w prawo, lub krok jeden w lewo zboczyć, albo spojrzeć po za siebie: w téj chwili wrośnie kamieniem do ziemi. A jest na owój górze pokus i strachów niemało, — tak że nikt jeszcze,

jako ona stoi, do wierzchu dojść nie potrafił. — Chceli z was który szczęścia poppróbować? niechajże pójdzie przynieść z tamtąd wody, a matka wasza żywa będzie znów. — Droga do góry za południem słońca.“ —

Ledwie baba za drzwi wyszła, bracia dalej z sobą w radę. Każdy zarówno rad był iść w drogę naprzeciwko wszystkim strachom, byle wskrzesić zmarłą matkę; lecz średni brat się odezwał:

— „Słyszeliście, moi bracia mili! że w tej podróży trzeba nielada odwagi: iścież tedy mnie ona przypada. Jać, com już nieraz zajrzał śmierci w oczy, pewno się czego nie zlekne, i choćby djabłu kroku dostoję. Dajcież mnie że tam pójdę, a w tydzień oczekujcie powrotu mojego, z żywą-wodą naszej matce.“ —

I pożegnawszy braci, przypasał wielki miecz do boku swego, i puścił się w świat, idąc za południem słońca ...

* * *

Minał dzień jeden, i drugi, i trzeci, — wreszcie tydzień się ku końcowi miał: bracia w domu pozostali wyglądają niecierpliwie; żołnierza z nikąd ni widu, ni słyhu. Gdy tydzień z górą już minął, biegli do baby, po radę, czemu tak długo brat ich nie powraca?

— „Daremnie go nie czekajcie“ — odpowie im mądra baba — „już on więcej nie powróci. Stoi on

teraz na Sobotniój-górze, kamieniem w ziemię wrośnięty.“ —

Zafrasowali się okrutnie bracia; a powracając do domu sporzyć się ze sobą wzięli, któremu teraz iść w drogę, po żywą wodę dla matki. Lecz organista rzecze z urąganiem:

— „Co? ty? — ty głupcze! ty byś miał tam wskórać, gdzie twój starszy brat niewskórał? . . . Lepszej tam głowy potrzeba, żeby się niedać zwieść szatańskiej mocy. Jać to, wiem dobry sposób na djable pokusy: niech no tam tylko pójde ze święconą wodą, a zaknę bięsa po łacinie, zobaczysz czy mi podoła!“ —

I wzięwszy na się kropielnicę z kościoła, w rękę kropidło, kantyczki za nadrę, ruszył za południem słońca

* * *

Znów minął dzień, drugi, trzeci, — tydzień cały: brat młodszy próżno wypatrywał z chałupy za swoim najstarszym, — ni go widu, ni go słychu! Biegł tedy znowu do baby po radę, co znaczy że brat niewraca?

— „Daremnie za nim nie czekaj“ — odpowiedziała mu baba — „już on więcej niepowróci. Stoi on teraz na Sobotniój-górze, kamieniem w ziemię wrośnięty.“ —

Zafrasował się syn wdowi bardzo nad brata wtórego utratą; ale niewiele myślący biegł co tchu do

dom, i wzięwszy bułkę chleba do opałki, kosę sobie nastaliwszy, przewiesił je przez ramiona: i poszedł ku południowi słońca. —

*

*

*

Szedł jeden dzień, — drugi, trzeci dzień; przez trzy rzeki się przepawił, przez trzy wielkie przeszedł bory: — na trzeci dzień, o zachodzie słońca, stanął pod Sobotnią-górą. Stanąwszy, pojrzy: — aż tu góra niezmierna, że wiérzchu za chmurami niewidać, dźwiga się stromo ku niebu, — za nią ze wszech stron las czarny. Ogromne dęby, sosny, buki, jodły, — jakby jedno na drugiem wyrastało, — stérczy drzewo po nad drzewem, co raz wyżej — co raz wyżej. Pomiedzy niemi, na ziemi, gąszcz cierni, głógów i ziel jadowitych, — rumowiska skał ogromnych, zielone całe od wilgotnych mchów, — pośród nich żmij, padalców, gadów całe guiazda wiją się i syczą okropnie Strach spojrzeć, cóż dopiero iść tam! a znikąd ściészki ni drogi.

Wdowi syn podumał chwilę, — wspomniał na matkę swą martwą, — i wzięwszy Boga na pomoc, począł się drapać ku górze. I darł się, co raz to dalej, niedbając na ostre skały, co mu stopy kaléczyły, — na gadziny jadowite, co mu nogi obwijały, kāsając żądły boleśnemi, ani na zielska trujące, co mu szarpały ciało kolcami i do ust same się cisnęły obmierzłym, śliniącym swym owocem. — Niedaleko

jeszcze uszedł, — aliści jedną razą słyszy za sobą wołanie:

— „Héj! héj! człowieku! a gdzie to idziecie? Zbłądziliście, — nie tędy droga.“

Już — już co się miał obejrzyć: szczęściem przypomniał sobie słowa mądrej baby, — i niedbając na owo wołanie szedł prosto przed siebie. Za chwilę, po lewej ręce, jawi się przy nim drugi podróżny, — kuso z niemiecka ubrany.

— „Dzień dobry“ — rzecze kusy, zdejmując grzecznie trzyróżny kapelusz: „a dokąd to przyjacielu?“ —

— „Juści że nigdzie, jeno na tę górę“ — odpowie syn wdowi.

— „A czego to Wam tam trzeba?“ —

— „Idę nabrać żywej wody.“ —

— „A no! to nam jedna droga, bo i ja także idę za tą wodą. Idźmyż razem ze sobą, będzie nam weselej.“ —

— „Jak sobie chcesz.“ —

— „Ale nie tą przecie drogą! Po co tu drzec się i krwawić, kiedy, spojrz tylko na lewo, wygodnie drogą iść można.“ —

Wdowi syn spojrzał na lewo, i w rzeczy samej zobaczył wygodny, gładki jak stół gościniec, lekko ślimakiem wijący się ku górze.

— „No chodźże na drogę! — nalegał niemczyk.

— „Idź sobie sam, kiedy chcesz; ja pójdę tak, jak zacząłem.“ —

— „Ależ pójdź bo!“ —

— „Mówię ci, że niepójdę.“ —

— „To idźże sobie, głupcze! na złamanie karku!“
 . . . zazgrzytał z wściekłością niemczyk, — odsko-
 czył w stronę i zniknął

* * *

Wdowi syn piał się, jak począł, przed siebie, —
 aż w tém posłyszysz za sobą nagle trzask i hałas nie-
 słychany, szczekanie, wycie, jakby tysiąca złaj psów
 i wilków, i szczwanie djabelskim głosem: „Huź go
 ha! — huźha! huźha!“ Co raz bliżej, co raz
 bliżej, dogania go ujadanie straszliwej psiarni, — już
 tuż za nim, — już oto za nogi go chwyta Tylko
 co się miał obrócić, kosą się od nich odegnać, —
 ale wspomniał sobie na rady mądrzej i zamiast po za
 siebie dał przed się krok żywo. — — W téj chwili
 wrzask, trzask, szczwanie, szczekanie ucichło; tylko
 śmiech długi, rozgłośny, z wichrem zaszumiał po
 lesie

Jeszcze nie całe zdążył ochłodzić z przestachu,
 — a oto już idzie strach nowy. Razem wśród ciem-
 ności nocnej, taki od wierzechu ziemi blask uderzy,
 jak gdyby słońce, co już dobrze zaszło, znów na jej
 szczycie wschodziło. Zdziwiony podniesie głowy: —
 i widzi, że las całutki, co na jego drodze stoi, płonie
 w jednym płomieniu, — aż całe niebo goreje od

łuny, jakby od słonecznych zórz. Im bardziej zbliżał się ku niemu, tém bardziej płomień rósł i buchał; gorąco, jeszcze z daleka, poczęło go piec, — a przed oczyma jego ogromne drzewa puszczy, jak rozpalone głównie w kominie, całe roziskrzzone, padały z trzaskiem jedno na drugie, grodząc przed nim drogę.

Na ten widok okropny ogarnął go strach; lecz kiedy wspomniał na swą martwą matkę, zapomniał wszelkiej trwogi, — i rzucił się w bór ognisty. I choć w zarzewiu nogi do kolan mu grzęzły, dech gorąco zatykało, dym czarny oczy mu wyžerał, szedł na oślep po przed siebie; aż cały zżajany, poparzony, bez tchu prawie, przedarł się wreszcie za to piekło ogniste.

* * *

Wyszedłszy, spojrzę przed siebie: — aliści i wierzech już blisko! ucieszył się tedy w sercu że już celu niedaleko. Lecz gdy raz wtóry spojrzę znów ku górze, radość się rychła w kłopot i smutek zmieniała, kiedy zobaczył skałę, jako ściana prostą, sterczącą na wśród drogi swojej. — Dopiero gdy wejrzy raz trzeci, widzi, tuż u spodu skały czerni się ogromna jama, — a na wnijściu jój śpi, chrapiąc, straszny, siódmiogłowy smok... Wdowi syn z cicha podkra-
dać się począł, chcąc we śnie groźny potwór zabić; ale smok, skoro ludzkie kroki posłyszał, zerwał się ze snu na nogi, — zaryczał wszystkiemi siódmioma paszczami, aż się wstrząsła góra cała i kłapiąc stra-

sznie zębami, ziejąc siarczyste płomienie, szedł przeciw niemu. — On téż, nieczekając, poskoczył naprzeciw bestyi: siédem razy kosą świsnął, — co ciął, to padnie łeb smoczy, i krwią pluszcząc w dół się toczy Kiedy ostatni łeb odpadł, wdowi syn wszedł w jamę smoczą.

Smocza jama była straszna, ciemna aż czarno, siarczystego dymu pełna; a ciągnęła się tak długo, jak by końca nie miała. Biédnemu wędrowcowi język w ustach kołem stanął, przysechły do podniebienia, od pragnienia i duszącego paru; w tém, kiedy się na poły żywy ledwie wlecze, z boku, z rozpadliny skały, ujrzy jasność wpadającą i zaleci go woń cudna. Pojrzał ciekawie: — i oto, widzi ogromną jaskinią, jak gdyby kościół największy, a w niej ogród precudowny, majową trawą pokryty, pełny róż i lilii wonnych. Na murawie, drzewa różne, z rumianami owocami, chylą się ku srebrnej strudze. . . . Zgłodniałemu, spragnionemu, ślina do ust płynęła; więc co żywo, odwróciwszy oczy, szedł dalej, co sił starczyło.

Aleć dalej znów z ściany skały jasność go uderzy, — i przez wąską rozpadlinę widać niezmierną pieczarę; złota lampa, na złotym łańcuchu, paliła się u sklepienia, — a w około ścian stoją ćwierci, korce, kadzie całe, pełne po wiérzch srebrem, złotem, klejnotami najdroższymi. — Lecz wdowi syn nie

był chciwy; ani się kusząc skarbami temi, przeszedł pomimo nich dalej.

I znów, ledwie wyszła chwila, posłyszysz cudną muzykę i śpiew, jakby stu słowików; a przez rozwarte na oścież w boku opoki podwoje, świeci się sala złocista. Wśród niej, po miękkich kobiercach, dziesięć dziewic urodziwych, w przezroczystych jak mgła sukniach, płasza po cudnej muzyce, przyśpiewując sobie. Gdy młodzieńca obaczyły, wstrzymały się w tańcu, i jedna, co najcudniejsza, podbiegłszy ku podwojom, pocznie się doń wdzięczyć tak mile i ręką wabić i głosem do siebie, żeby świętego skusić mogła. — Ale młodzieniec pozostawił we wsi swę dziewczynę, liliją białą, ukochaną serca; więc, gdy sobie na nią wspomniał, zasłonił ręką oczy i po omacku szedł dalej — — — aż przyszedł do ogromnych drzwi stalowych, zamykających jaskinią. — Zaledwie ich dotknął ręką, drzwi rozwarły się z łoskotem, — i on wyszedł na dzień biały — na sam szczyt Sobotniej-góry.

* *

Stanąwszy, pojrzy ciekawie po wierzchołku góry: i widzi wszystko, jako mu rzeczono było. Na nagięj, by dłoń, opoce rośnie jedno tylko wielkie drzewo, ze srebrzystemi listkami, któremi szumi tak dźwięcznie, jakby sto lir razem grało; z pod krzywych korzeni

drzewa tryska źródło jasnej wody, — a na najwyższej gałęzi sokół się chwieje złocisty.

Złoty sokół, zaledwie zobaczył młodzieńca, radośnie strzepnął dźwięczącemi pióry, — roztoczył skrzydła i wzleciał do góry, — aż gdzieś znikł między chmurami. —

Wdowi syn, cały z sił spadły, ledwie że się podołał zawlec pode drzewo, — i upadłszy na opokę począł pić chciwie z krynicy. Alić, ledwie jój usta tylko dotknął, — jakby na nowo na świat się narodził, — poczuł w całym swém ciele wracające siły, a wszystkie rany, w drodze odebrane, tak się zagoiły, że po nich ani śladu najmniejszego nie zostało. — Zerwał się tedy wesoło na nogi i stanawszy pode drzewem, przy jasnym porannym słońcu, co się właśnie podnosić jeźło na niebie, spojrział z wysokości na świat boży. — W około góry pola, lasy, wody, wioski, zamki, grody wielkie, takim mnóstwem że niezliczyć, leżały jakby jeden obraz malowany, — a tak cudny, że zda się patrząc na niego sto lat całe nienapatrzył by się jeszcze dosyć . . .

Gdy upojony tym widokiem obwodzi oczyma, posłyszysz nad sobą szum skrzydeł: i sokół złoty, ze złotym dzbanem w dziobie, z wysoka spadł mu na ramię. — Drzewo o srebrnych liściach zaszumiało głośnie, a w śpiewie jego dały się słyszeć te słowa:

„Weźmij dzban ten, chłopcze młody!
Naczerp z zdroju żywěj-wody,

Gałąź ze mnie sobie złom,
I powracaj zdrów do dom.
A gdy będziesz do dom iść,
W żywěj-wodzie maczaj liść;
Kędy krokiem stawisz nogę,
Święć do koła siebie drogę.“

Posłuszny wezwaniu temu, syn wdowi wziął więc dzban złoty, — naczérpał w niego przezroczystej wody, ułamał sobie z śpiwającego drzewa gałąź o srebrzystych liściach, i począł spuszczać się z góry. Jako mu zaś było powiedziano, co krok stąpił, stawając maczał gałąź w żywěj wodzie i kroił nią dokoła siebie.

I oto, stał się przed nim dziw niesłychany! Gdzie tylko kropla wody upadła na kamień, z kamienia zaraz żywy stawał się człowiek, — i radując się i błogosławiąc mu, szedł za nim.... Im niżej spuszczał się tak święcąc, tém bardziej, za każdym krokiem, rosła ćma ludzi z kamieni odklętych; — a gdy, stanawszy u stóp góry, obejrzał się po za siebie, ujrzał idący tłum wielki, jako największe wojsko. —

Byli to wszystko ludzie, którzy idąc różnemi czasy na Sobotnią-Górę, niedoszedłszy wiérzchu, w kamień obróceniu zostali. Byli zaś tam mężowie i niewiasty, starce i dzieci, panowie i żebracy — i także obaj szczęśliwego chłopka bracia: rycérz, z mieczem koło bioder, i organista, z kropielnicą a kropidłem... Cała gromada poczęła dziękować razem zbawcy swemu, że ich uwolnił z zaklęcia, co by za-

pewnie aż do sądnego dnia trwało, — ślubiąc mu, iż go nigdy już nieodstąpią, ale wszędy za nim pójdą i póki życia służyć mu będą.

* *

Szli, zatem, wielkim taborem, za wiodącym ich młodzieńcem; aż na dzień trzeci zaszli do wsi, w której mieszkał. — Stanąwszy pod chałupą swoją, otwarł drzwi, i podszedłszy ku posłaniu matki, martwe od trzech niedziel zwłoki skropił gałązką mówiącego drzewa, zmaczanego w żywój-wodzie. A oto, nieczkąc chwili, staruszka otwarła oczy, — powstała rzeźwa i zdrowa, jak gdyby nigdy nie chorzała. — Radością szczęśliwego syna rozradowali się wszyscy, i nie było miary uniesieniom i ucieście zgromadzonego mnóstwa

Były tam przecież dwie dusze, co nie dzieliły powszechnej radości. Byli to obaj synowie zmarłychwzbudzonej wdowy, — którzy znieść tego nie mogli, że najgłupszy brat ich dokazał, czego oni, mądrzy, niezdolali. — Markocząc sobie z tąd strasznie, a nie chcąc patrzeć na cześć braterską i szczęście, odeszli milczkiem ze swojej wioski i poszli służyć w obcej gdzieś sadybie. — Tam organiście, że niezbywało na mędrszych od niego, gnój w pole wozic kazano; rycérz zaś zginął, w bójce o nie swoją sprawę.

Tymczasem, na miejscu lichój owój wioszczyny, stało rychło ludne i okazałe miasto, a w pośród

niego zamek pyszny, — w którym syn wdowi, pojawiaszy swoją dziewczynę w małżeństwo, żył szczęśliwie panując mnogiemu i wdzięcznemu Ludowi. —

Przypisy do Sobotniój Góry.

Na czele niniejszój powieści położyłem nazwę: podanie, — jak bądź ma ona wszelkie cechy baśni: baśń bowiem jest tu podrzędną i dowolnie odmienić się dającą stroną, właściwą zaś treść stanowi podanie o Sobotniój — Górze, w sobie zupełne i od biegu osnowanej na niém baśni niezależne.

Podanie to, jak jest jedném z najpiękniejszych, tak może będzie i jedyném sięgającym w podobnie głębokie tradycyjne czasy. — Odnosi się ono do owój tajemniczój epoki, która, damy li wiarę świadectwom Ludu, miała mu kiedyś przyświecać na ziemi, — a którą wielki wieszcz nasz tak zwięźle i cudnie skręślił niewielą temi słowy:

„Ależ bo w ów czas, ziemio staroświecka

Dzisiejsze dziwy dziwami nie były:

Grały widomie niewidome siły,

I pilnowały człowieka jak dziecka.

W powietrzu, w drzewach, w kamieniu, pod wodą,

Krewne spół-czucie ludzie znajdowali;

Bo nie gardzili na ów czas przyrodą;

Bo ją jak matkę znali i kochali.“ —

Pomiędzy Ludem naszym utrzymuje się głucha wieść, a raczej niesformułowana wiara, że stan podobny istniał kiedyś; żeniąc je z dzisiejszemi wyobrażeniami swemi, powiada wieśniak, że było to: kiedy jeszcze ludzie byli w raju, lub: za czasów pana Jezusa. Jak taka wiara była powszechną kiedyś i głęboko w Lud wsiąkła, znajdujemy dowody co krok w pieśniach i powieściach jego. Owe kukłki wieszczce i sokoły, — owe jaskółki i gołębie posłańcami ludziom służące, — owe zwierzęta rozmawiające i mieszające się w sprawy ludzkie, — nie są to wszystko fantastyczne wyobraźni utwory; owo przemawianie do nich tak naiwne w pieśniach, nie jest wcale allegoryą ani poetycznym zwrotem mowy tylko: są to bądź szczątki rozbitej tradycyi, bądź wyrrywające się z przejętego nią serca słowa.

Pomiędzy wszystkimi znanemi mi podaniami naszymi i słowiańskimi nie znalazłem żadnego, które by tak czyście i zupełnie do owój epoki cudownej się odnosiło, — które by tak prawie wydarte z niej było. Uchyliwszy na bok bieg bajki, jest to wyraźne i nienaruszenie zachowane podanie religijne, nieobliczonej starożytności.

We sławnym zbiorze bajek wschodnich, pod nazwaniem *Tysiąc i jedna noc* y znanych, znajdujemy ustęp zupełnie tej samej co niniejsza nasza powieść treści. Otóż literalny dowód starożytności niezmierniej, którą przypisuję podaniu o Sobotniej Górze,

świadczący, żeśmy je powziąć musieli z wspólnego nam i wschodnim narodom źródła.

Przypuścić żeby przeciwnie, w świeższych dopiero czasach, niejako literacką drogą, powieść z wymienionego zbioru do nas się dostać i między gminem upowszechnić miała, — niepodobna. Jeśliby kto chciał tak mniemać, — pominąwszy wszystko coby się dało powiedzieć o trudnościach upowszechniania się podobnego, — niech weźmie i przeczyta ustęp odpowiedni w Tysiącu Nocy — (w *Historji o dwu zazdrośnych siostrach*). Zobaczy, że to co u nas treścią rzewnego i poważnego opowiadania, tam jest przedmiotem igraszki rozswywołonej satyryczno-humorystycznej, fantazyi. Podług zaś niechybnych praw przyrody ducha ludzkiego, wiemy, że najpoważniejsze wyobrażenia mogą się stać przedmiotem lekceważenia i żartu, ale żartobliwej powiastki nikt nie przetworzy w poważną, religijną, tradycją.

Nowy dowód że podanie o którym mowa od niezmierniej dawności istnieje w narodzie naszym, znajdziemy porównując je z innemi powieściami, stojącemi z niem w związku i loicznie je dopełniającemi.

Podanie nasze ukazuje tajnemi siłami przyrody bijącą krynice, otoczoną zgrozą i trwogą, ale stojącą otworem i wiadomie ludziom, — każdemu do zdobycia wolną. Wspomnienie to, jawnie odnoszące się do wieków powszechniejszego i bliższego związku czło-

wieka z przyrodą, stoi, jak jaki dogmat, samotnie w tej tylko jednej powieści. — Woda-żywa nie znika jednak, jak czczy mara fantazyi, w następnych podaniach. Widzimy ją w ręku podnioślejszych istot ludzkiego rodzaju, — wieszczów, wieszczek, dobrych olbrzymów, i. t. p., — którzy jednak z kąd by ją mieli, nikt już nie wie: bo już związek ludzkości z tajemni siłami rozprzągł się i stał się godniejszych tylko tajemnicą*). — Pod wpływem nowych, w naród wniesionych i wreście przyjętych, wyobrażeń, upatrujących szataństwo w tém co niegdyś czczono jako mądrość i świętość, złośliwi czarodzieje i jędze stają się w powieści posiadaczami żywěj-wody, miasto dobroczynnych wpiérwój istot. — W cyklu późniejszych kreacyi już tylko ptaki i zwierzęta wiedzą jeszcze o żywiącym zdroju, i czasami ratują jego wodą dobroczynnego sobie człowieka. — Ale źli ludzie, krwawe rozbójniki, korzystają z tej niemego stworzenia wiedzy: zasadzają się przy gniazdkach ptaszych i gdy te dla swoich zranionych samiec lub zabitych piskląt przynoszą wodę zbawczą, chwytają je i wydziérają przyniesioną. Ich wyłączną własnością widzimy ją w mnóstwie bajek, mniej więcój z jednego zdających się pochodzić okresu. — Wreście, — czyli to przyroda, rozgniewana tém świętokra-

*) Powieści takiego rodzaju, rzadkie dosyć, należą więc nieochybnie do najdawniejszych zabytków.

dztwem, zawarła swój cudowny skarbiec życia i dla tych stworzeń, — czy że między nimi i człowiekiem przyszło do ostatecznego rozdziału? — w utworach najświeższych czasów żywa-woda znika już zupełnie *). —

Jakkolwiek gorliwie starałem się zapoznać ze zbiorami powieści gminnych innych Ludów, zwłaszcza słowiańskich, nie znalazłem przecież w żadnym podobnego naszemu podania. W jednym tylko Przyjacielu Ludu, na rok 1846, (w Numerze 3) spotkałem rzecz też samą, w klechdzie: O dwóch dzieciątkach na wodzie puszczonech, — którą tu, jako jedyny warjant do mego textu, przytaczam.

O dwu dzieciątkach na wodę puszczonech.

(Klechda Szląska.)

Za dawnych czasów mieszkali w ubogiej chałupie trzy młode i urodziwe siostry, które jednego wieczora tak sobie gwarzyły:

*) Z zamięłowaniem i sumiennie badając rzeczy gminne, mogę nawiasem dodać, że podobna, rozumna względnie, konsekwencya, jaką w tym jednym razie tu wywiódłem, panuje w całym świecie wyobrażeń gminnych, — i że ile wygodnie tyle niewłaściwie zapatrywać się na nie jako na samowolne fantazyje — jak wielu czyni.

Starsza mówiła: Jabył sobie tylko piekarza za męża życzyła, bo bardzo ciepłe podpłomyki lubię.

Średnia rzekła: A ja kucharza, bo rada smaczne poléweczki jadam.

Najmłodsza odezwała się wreście: Jabył tylko samego naszego Królewicza pragneła, bo miałam takie widzenie, że gdybył mu syna powiła, to po każdém jego skąpaniu, zamiast wody, musiałoby się samo złoto wylewać; a gdybył mu córkę porodziła, toby na jój licach przy każdým uśmiechu prawe róże zakwitały, a przy każdým jój płaczu, nie łzy, ale prawe perły jak groch z jój oczu musiałyby padać. Królewicz, który miał w zwyczaju często wieczorem do ubogich chatek zagładać i podsłuchiwać, na co się skarżą, a czego pragną jego poddani, stał był właśnie tego wieczora pod okienkiem téj chatki, kiedy owe trzy siostry taką rozmowę między sobą wiodły; nazajutrz więc kazał je do siebie przywołać i zapytał najstarszój: Powiedz mi, czegoś ty sobie wczoraj życzyła? Ona rzekła: Życzyłam sobie za męża piekarza z królewskiego zamku; a Królewicz jój odpowiedział, że zadosyc się stanie jój życzeniu. Kazał i drugiej siostrze wyznać, czego pragneła, a skoro ta powiedziała, że chciaaby za męża królewskiego kuchmistrza, przyzwolił i na to Królewicz. Potém zapytał najmłodszej; ta bała się powiedzieć i długo się ociągała, aż ośmielona łaskawością usilną namową królewicza, ukłękła i szczerze wyznała swoje

życzenie, a Królewicz podniósł ją i rzekł: więc będziesz mnie miała!

I odprawili się trzy uroczyste wesela. Ale siostry starsze zazdrościły młodej Królewiczowej szczęścia, którego tak niespodzianie dostała i potajemnie spiknęły się na jej zgubę.

Zdarzyło się potem, że kiedy Królewicz w dalekie strony był wyjechał, Królewiczowa podczas niebytności jego porodziła syna. Siostry odebrały dziecko i puściły je w pudełku na wodę, która pod zamkowymi oknami płynęła, a matce podłożywszy szczenię, dały Królewiczowi wiadomość, jakoby małżonka jego zamiast dziecięcia, psa porodziła. — Gdy powrócił, nie okazywał przed żoną żadnego zmartwienia, tylko rzekł do niej: Otóż widzisz, jakoś się przerzekła, zamiast syna i złota z kąpieli, powiłaś mi psa.

Stało się potem, że Królewiczowa znowu w czasie niebytności męża, który był z wojskiem wyciągnął, na wojnę powiła córeczkę. Siostry odebrały dziecko, i podłożyły jej kociątko, a dziecko tak jak pierwsze, puściły w pudełku na wodę, i dały znowu znać Królewiczowi. Ten do żywego już zmartwiony, w pierwszym gniewie posłał natychmiast rozkaz do domu, żeby żonę jego żywo zamurowano. Rade temu rozkazowi siostry, zbrodniarki, zaraz też spełnienia rozkazu dopilnowały. Ale nieszczęsnej Królewiczowej do zamurowaną ciemnicy donosił anioł pokarmy i napój. Tak też i nad jej puszczone na wodę dzia-

tkami wejrzała Opatrzność, że je pewien biedny rybak ułowił, i sam nie mając dzieci, za swoje przyjął. A ile razy po skąpaniu synka wodę z wanienki wylewał, to zamiast wody samo szczere złoto się sypało; a kiedy znowu córeczka płakała, to same perełki z jej oczek padały; przez co ów rybak do bardzo wielkiego przyszedł majątku i wychowañcom swoim złoty domek wystawił.

Tam śniło się jednego razu tym dzieciom, że jest gdzieś nie daleko źródło taki, co na sto łokci w górę wybija; także drzewo, co śpiewa, i ptaszek co gada. Nazajutrz więc odważył się chłopczyk, iść do puszczy i szukać tych trojga rzeczy. Ale na drodze spotkał go siwy dziadek, i pytał, gdzie idzie; a gdy mu chłopczyzna powiedział swój zamiar, dziadek go przestrzegł, żeby się miał na baczeniu, bo skoro wody z owego źródła nabierze, pocznie za nim grzmieć i huczeć okrutnie; a gdyby się wtenczas obejrzał, toby się zaraz w kamień obrócił. Chłopczyk poszedł i nabrał wody, ale gdy łoskot za sobą usłyszy, zląkł się i obejrzawszy się mimowolnie, zaraz się w kamień przemienił. Siostrzyczka tęskniąc za bratem, poszła go szukać i wzięła z sobą dzbanuszek do wody. Dziadek siwy, z którym się także spotkała, dał jej tę samą co braciszce naukę, i radził jeszcze żeby sobie uszy zatkała, gdy będzie od źródła odchodzić; i żeby potem tą wodą z dzbanuszką na tę i ową stronę kropiła. Dziewczynka też wszystko tak uczyniwszy,

jak jój był dziadek powiedział, zobaczyła wnet obok siebie drzewo śpiewające, i ptaszek gadający nadleciał, i z przydrożnego kamienia zdrowy braciszek do niej przystąpił. A tak przyszli społem do domu, i z nimi ptaszek przyleciał, i drzewo przywędrowało, i woda z dzbanuszka ustawicznie w górę wytryskała.

Tymczasem Król po utracie żony, będąc wielce smutnym i nie mogąc nigdzie znaleźć pokoju, wyjechał do oniej puszczy na łowy, gdzie jego działki mieszkaly. Chłopczyk ciekawy, usłyszawszy grające trąbki i psów szczekanie po lesie, przyłączył się do myśliwców królewskich i z prostego łuku w oczach samego Króla ubił szczęśliwie zająca, którego mu Król darował, i powiedział, żeby go sobie zaniósł do domu i że on sam tam na posiłek wstąpi. Skoro więc młodzieniaszek ze zającem do siostry powrócił, frasowali się oboje, czém Króla uraczą; aż ptaszek odezwał się do dziewczynki. Oto upiecz zająca przy gałązkach z owego drzewa, które przyszło za tobą, i uwarz klósek, a te przesyp twemi perłami i daj Królowi napić się wody z dzbanuszka, to i dosyć będzie.

Po chwili też zajeżdża Król przed ów złoty domek, i gdy się dziwi jego kosztownej budowie, a miski obsypane perłami obaczy, wtedy ów ptaszek przemówił do niego: Czemu się dziwisz Królu? wszakci to są perły z łez córki twojej, o których ci żona twoja naprzód przepowiedziała; a wszakci ten do-

mek ulany ze złota, które po każdym skąpaniu syna twego, zamiast wody się lało. I Król wtedy ucałowałszy dopiero dzieci swoje, pytał ptaszka, ażali jeszcze i matka ich żyje? Na co gdy mu ptaszek powiedział, że ją dotąd aniół żywi i napawa, pospieszył Król z dziećmi czémprędzej i kazał ów mur rozwalić, z którego téż zdrowa i czerstwa wyszła Królowa.

Od tego czasu wszyscy w długie i szczęśliwe lata żyli, oprócz owych dwóch siostr zbrodniarek, które Król kazał żelaznemi bronami na polu roztargać.

Powyższa klechda szląska jest tak wyraźném streśczeniem z Tysiąca Nocy wspomnianej powieści o dwu zazdrośnych siostrach, że istotnie najwłaściwiej podobno poczytać ją będzie za nabytek dość świeży z tamtego źródła*). — Tak więc, o ile wiedzieć mogę, podanie przeze mnie spisane ogranicza się na samém tylko Mazowszu, — gdzie jednak nie zbyt jest upowszechnioną. —

Co do samej nazwy Sobotniej Góry, ta jest rzadszą jeszcze niżli powieść cała; kiedy tę po kilkanaście słyszałem razy, tamtą ledwie raz lub dwa

*) Stosunki szląskie podobnego sposobu upowszechniania się baśni aż nadto pozwalają.

przywiedziono. — Przez niejaki czas miałem nazwę tę za dowolną lub przypadkową, bez istotnego znaczenia; dzisiaj innego jestem mniemania. —

Przypadkowość i dowolność tam tylko w badaniu tradycyi przypuszczać się gódzi, gdzie rozsądnie nie można dla niej wskazać innéj podstawy. Ale nazwisko Sobótniej Góry, Sobótki, od niepamiętnych czasów nosiła znakomita, w polskim niegdyś Szląsku, o kilka mil po za Wrocławiem położona góra, — dotąd Sobótką od Polaków, Zobtenberg od Niemców zwana. — Tradycja i kronikarskie wzmianki wspominają o niej, jako o széroce czczonej niegdyś, — tak że od jéj posiadania cały Szląsk świętej ziemi dostawał nazwanie. Jednoznaczność nazwiska jéj z nazwą głównego święta starosłowiańskiego: Sobótki, podaje téż przeważny wysokiéj jéj uczczenia dowód. — W obec więc takowych danych mniej krytyczném byłoby przypuszczenie dowolności, niżeli uznanie we wzmiance Sobotniej Góry, w mazowieckiej baśni, przetrwałego wieki odgłosu czci, niegdyś szląskiej Sobótce powszechnie oddawanéj. —

O Dziadowym Synu.

Baśń.

Dawniej królewna w dziadu się kochała, —
Jest ci to o tém historyja cała.

Pieśń Dziadowska.

Onego czasu, wśród czarnego boru, na biédném, samotném pustkowiu, mieszkał stary dziad, z młodą babą, — którą, owdowiawszy niedawno po pierwszój żonie, tylko co był pojał. — Po nieboszczce pozostał mu syn jedyny, spory i rzeźwy wyrostek. Stary srodze był rozmiłowan w tym jedynaku swoim: strzegł go, niby oka w głowie, ani na chwilę nie chciał puścić z domu, bojąc się by go jakie złe gdzie niespotkało. I tak chłopak urósł w lata, nie znając jeno pustkowie swoje i las wedle niego.

Ale młodej gospodyni, zaledwie że się na dobre usadowiła w chałupie, solą w oku poczał stać pa-siérb i w łyżce wody utopić była by go rada. — Jako więc niewiasta umie, jeła suszyć dziadu głowę — rano, w południe i w wieczór — by niechowając

dłużej darmo lenia w domu (za co Bogu i ludziom przyjdzie zdać rachunek), wygnał go na cztery wiatry, myśleć sobie o kawale chleba. Stary z razu ani słuchać niechciał; ale jako to zazwyczaj bywa, kiedy mąż stary z młodą sporzy się żoną, uległ nareście złośliwej swój trapiicielce. — Że przecież nie miał serca rzec w oczy synowi: „pójdź sobie precz“ — baba mu doradziła, żeby wywiódłszy go o podał domu, na rozstaje, porzucił na opatrność bożą.

Nazajutrz po téj umowie, dziad, — rady nie rady, — szedł obudzić wylégającego się wyrostka, mówiąc :

— „No! czas ci to już, mój chłopcze, byś téż i ty zaczął myśleć o kęsie chleba dla siebie. — W Niedźwiedzicach właśnie oto dzisiaj wielki odpust i nie mało z różnych stron luda; pójdźże zemną, zrobić dobry początek.“ —

Tak mówiąc, podawał mu odarte łaachmany, przez które nagie przeświecało ciało, na nogi łykowe sandały, przez ramię przewiesił kobiel, w ręce dał strugane skrzypice ze smykiem, i wyprowadził w las bezdróżny, — dając po drodze nauki, jak ma udawać kalékę, jaką i gdzie piosnkę śpiewać, jako u kogo o jałmużnę prosić.

— „A kiedy będzie przechodzić mimo cię niewiasta, choćby téż stara i szpetna, spojrzjże na nią z pod oka i ozwiój się słodkim głosem: moja prześliczna, szczérozłota panno! wspomóż dla miłości

Matki Przenajświętszej; bodajże ci za to dała najpiękniejszego w świecie królewicza! A kiedy zobaczysz ślacheica, — jako dmąc się, by to pusty pęczek, idzie oglądając się w koło, czy patrzą ludzie za nim i jego pacholkiem, co mu kazał świeżo wynicować barwę, — dobądź co najmocniej głosu i wrzeszcz, by wszyscy słyszeli: jaśnie wielmożny, oświecony panie Wojewodo! daj szelązek ubogiemu! to on sięgnie się po ziobrach, a dobywszy z wacka na co natrafi, ciśnie, nieoglądając, choćby i czerwony złoty. Kiedy zaś przyjdzie pan wielki, cały w złotogłowie i kamieniach, abo jaki dobrodziej z złożonemi jak do paciérza rękami, to wciśnij się w kąt, jak możesz, a dech zamknij w sobie żeby ci jakie słówko z ust niewybieżało“ . . .

Tak rozmawiając po drodze wiódł dziad syna, to tam — to sam, w lewo — w prawo; aż wyszli, daleko, na wąską jakąś ścieżkę, wijącą się węzłem wśród gęstwiny. Tu usadowiwszy go pode drzewem na kamieniu, kazał mu czekać na siebie, — a sam, wrzekomo wystrugać sobie krukwie żebrackie, odszedł w zarośla, i nieoglądając się biegł ku domowi. Chłopak, łazęgą długą uznojony, sparłszy się o drzewo, zasnął sobie smaczno, i niezbudził się, dopiero kiedy słońce dobrze się już na dół miało. Przetarł oczy — spojrział w koło: a niewidząc nigdzie ojca, począł wielkim przyzywać go głosem. Próżno hukał, próżno wołał: tylko przekorne echo odzywa się w lesie

głuchym i pomiędzy gałęziami świegoce strwożone ptactwo. Zmordowany, załamawszy ręce po nad głowę, i rzewnymi zlanymi łzami rzucił się na mech wilgotny. — Ale i płacz nic niepomógł; a tymczasem coraz się jeść robić ciemniej w boru i głód biedakowi zaczął się dawać we znaki. Siegnął ręką do kobieli i z wielką swoją pociechą wyciągnął świeży szmat przysuchy, bochen chleba, flaszkę wódki —: podjadł do syta, popił do woli — i jakby ręką odjął żalność ową srogą! Nowa wstąpiła weń dusza: podstroił sobie skrzypce, powiodł smyk rażno po stronach, i rżnąc na nutę starą pieśni:

Héj! tam na górze

Stoją rycérze....

puścił się śmiało przed siebie.

Za chwilę z ustronnej ścieżki wyszedł na szeroki gościniec. Słońce tu jasno jeszcze świeciło i wiatr świeży, biegąc środkiem, trząsł zielonemi gałęzmi brzoź białych; po gałęziach wesoło skakały wiewiórki, dziecięcy pukały, i wróżka-kukułka wesoło kukała. — Niewiedząc w którą obrócić się stronę, na wschód czy zachód, stanął chłopiec wpośród drogi. Na zachodzie niebo jasne świeciło się, jak złociste sklepienie w kościele, i cała okolica w purpurowym blasku pływała, jak zaczarowana; na wschodzie kręta się droga w szarą, tajemną gubiła gęstwinie. I każda strona zarówno nęciła ku sobie oczy: bo w młodości równie uroczo jasna nadzieja

i ciemna niepewność uśmiecha się sercu. Niepewny, na wilgotnym piasku począł upatrywać śladów świeżych ludzkiej stopy, aby się za nimi zwrócić. A gdy tak wodzi po drodze oczyma, zobaczy na żółtym piasku pajaka niezmierniej wielkości, który mocuje się zdusić mrówkę ogromną, — w dziesięćkroć wielką nad inne mrówki: i począł im się ciekawie przyglądać, jako się z sobą parają. Ażci na raz posłyszysz, jak mrówka ludzkim odzywa się głosem:

— „Człowiecze! dobry człowiecze! ratuj mnie!“ —

Zadziwił się niepomału i, niedowierzając uszom, stanął w milczeniu jak wryty; alie mrówka zawołała znowu:

— „Ratuj mnie, przez imię Boże! . . . swojego czasu ja ci odwdzięczę się za to.“ —

Dziadowy syn, nieczekając dłużej, poskoczył i zgniótł pajaka; a oswobodzona mrówka, podziękowawszy, w las biegła.

— „Mrówkoż moja, mrówka“ — zawołał za nią: „kiedyż ci głos ludzki dany, wskaż mi drogę, żeby się rychło z lasu dostać na świat żywy.“

— „Idź prosto drogą za słońcem, a o świcie znajdziesz do wielkiego miasta, gdzie cię wielkie czeka szczęście“ — odrzekła mrówka i znikła.

On zatém, wzięwszy się, szedł jako mu wskazała; szedł długo, długo po piaszczystej drodze pośrodkiem gęstego lasu. — Słońce zaszło pomiędzy wybiegłemi sosnami i gwiazdy złote, z księżycem bladym, cicho

przyświecały ziemi; z pomiędzy krzywych gałęzi grabowych ciemna wyglądała trwoga . . . Młody podróżny szedł, szepcąc paciérz i nucąc godzinki, nie poglądając za siebie; — póki niewyszedł wreście z boru na owarte pole.

Środkiem zielonego pola płynęła szeroka rzeka; po nad jój brzegiem, górami, dołami, wiodła krzemienista droga. Przy lądzie wybiegłe trzciny chwiały płowemi kitami i słychać było głośny plusk w sitowiu. Ciekawy, jako był, chłopiec zbiegł żywo do wody, patrząc co by takiego było: i zobaczył w zastawionój sieci miotającą się ogromną rybę, dziwnego kształtu i barwy. Grzbiet miała ze złotój łuski, skrzéle po bokach srebrne, a głowę i twarz człowieczą — i ludzkiemi téż ozwała się słowy:

— „Człowiecze, dobry człowiecze! uwolń mnie z mojej niewoli, a swego czasu ja ci się odwdzięczę.“—

Dziadowy syn wszedł do pasa w wodę i odwiązał od kołów sieci; oswobodzona ryba rzuciła się radośnie nad fale i znikła w błękitnym prądzie. — On szedł dalej, co raz dalej po nad brzegiem bystrzej rzeki, niespotykając żadnej żywej duszy; aż jedną razą posłyszy z niedaleka krzyk przeraźliwy, boleśny. Pobiegł, co tchu miał, za głosem, i widzi: dwóch parobków wlecze po ziemi nielitośnie starą jakąś babę, — która próżno im w ręku szamocze się i wrzeszczy wniebogłosy. Skoro nadbiegającego zoczyła, poczęła prosić żałośnie:

— „Piękny chłopcze, przez Bóg żywy! ratujże mnie, ratuj! Oto te dwa opoje niewinnie mnie topić wleka.“ —

— „Toś ty, psia jędo! niewinna? A kto to moja Kaśkę tak srodze osypał? kto Wojtkowój kobięcie zadał przekłętogo, co ją już trzy dni dławi, i wszystkiemi świętościami odpędzić się nieda?“ —

— „Twoją babę osypało, bo za chłopami latała, kiedy ty spity za piecem leżałeś; a Wojtkową, jako żywo, nie djabeł, jeno wódka piecze w gardzieli, co jej nad miarę pijała. I z wami się takóŜ stanie jeśli pić nieprzestaniecie!“ —

— „A to ty, nieczysta jucho! wygrażać nam jeszcze będziesz? Dalej z nią, Wojtku! do wody! A ty chłystku! precz nam z drogi, niewtykaj nosa gdzie ci niepotrzeba, niechcesz li się z nią wraz skapać.“ —

Ale dziadowemu synowi żał się zrobiło babiny i niechciał sucho puścić wyzywania: ująwszy zatém kij oburącz, wpadł z nim na grzbiety złym chłopom. Jako zaś był chłop zdrów i silny, a oni dobrze podpili, nie trwało ani chwilki że porzuciwszy biędną kobięcinę, wziąwszy za pas nogi pierzechli.

— „Niechajże ci się wszystko dobrze dzieje, za tę usługę twoją; a jeŝli kiedy w swém życiu zażadasz pomocy mojej, zawołaj tylko te słowa:

Babo-dziwa! babo-dziwa!

Przyjdź mi w pomoc, jako żywa!

a skorobym do ciebie nieprzyszła, pomyśl że mnie już pewnie w sześć deszczek zabili.“ —

To powiedziawszy baba-dziwa, rześko poskoczyła w krzaki i znikła, jakby ją wiatr rozwiał.

Dziadowy syn znów wędrował dalej, dzikim odłogiem, zaroślami poziomemi; aż téż oto i na niebie poczęły się gwiazdy mienić, i jutrznia czerwonym pasem rozciągnęła się na wschodzie. — Naraz wstrzymał się strwożony, poczuwszy zapach krwi gorącej; pojrzał w lewo, pojrzał w prawo — i o kilka kroków z drogi zobaczył świeżego trupa. Był to młodziutki, gładki jeszcze by dziewczyna, chłopiec, w pięknych bławatnych szaciech; leżał, na wznak rozciągniony, z szeroką na czaszce raną, jeszcze krwią pluszczącą. Rzucił się k niemu: słuchał oddechu, szukał serca czy me bije; ale trup, już był martwy i chyba by go sam święty Stanisław obudzić potrafił. — Alić, kiedy on się tak koło trupa krząta, nagle zatetniało na drodze, i czterech jezdnych zatrzymało się tuż przy nim. Duchem zeskokczyli z koni, a zobaczywszy martwego młodzińca z krzykiem wpadli na dziadowego syna, tłukąc go pięściami, za włosy targając, związali twardym rzemieniem mu ręce, wzięli między swoje konie i poganiając płazami, klnąc nie miłosiernie, wiedli ku miastu wielkiemu, wstającemu nieopodal z mgły rannój. —

Zabity młodziwiec był to dworzan i wielki ulubieniec króla; wyjechał on zmrokiem z miasta, a z

rankiem powrócić miał. Teraz królewscy żołnierze, natrafiwszy zabitego, wieźli go na koniu, smutni; tém się tylko pocieszając, że i mordercę wraz królowi prowadzą. — Skoro przed królem stanęli, król, wysłuchawszy świadectwa żołnierzy, dał wyrok śmierci na mniemanego zabójcę, — a gdy nieszczęśliwy kładł się na swą duszę że niewinny, kazał mu król dać na próbę korzec maku, z korcem piasku zmieszanego, żeby przez dobrą piasek osobno, a osobno mak odebrał. — Jesliby tego nie dokazał, miał być, jako winny, nazajutrz stracony.

Zalany szczéremi łzami, siedział dziadowy syn zamknięty w więzieniu, niemając znikąd nadziei zbawienia. — „Mrówko przekłeta!“ — zawołał: „tyś to mnie, za to żem cię od śmierci wybawił, kazała dążyć w tę stronę: otóż mam teraz to szczęście, coś mi je przyrzekła!“ . . .

— „Com rzekła, prawdę wyrzekłam“ — odezwał się głos z kąta — „przeto nie smuć się przedwcześnie: oto idę ci z pomocą.“ —

Chłopiec obejrzał się i zdziwiony ujrzał, przez wąską szczelinę, cisnący się do więzienia rój nieprzeliczony mrówek, a przodem znajomą mrówkę, którą wydarł pajakowi. Całe to mrowie, w jedném okamgnieniu, obsiadło naczynie, kędy mak z piaskiem pomieszany stał, i z głośnym szmerem jeło się do roboty. Nie wyszło kilka godzin, jużci na kamiennéj podłodze, w dwu gromadach, osobno mak, osobno

piasek, leżał do najmniejszego odebrany ziarnka. — Ucieszony więzień podskoczył z radości i tysiąc dzięków dobrej mrówce składał; tymczasem rój ów niezmierny, jak wszedł, tak wyszedł szczeliną.

Mineła nareście doba; otwarły się drzwi więzienia, i kał, z pacholiki swemi, wszedł, wieść skazanego na śmierć, — lecz jak piorunem rażeni stanęli, widząc sprawioną robotę, której ode człowieka nigdy spodziasz się nie było. Biegli więc do króla z powieścią. Król, jako pan bogobojny, uznał w tém istny cud nieba i więźnia wolno puścić kazał; a chcąc mu krzywdę niewinną nagrodzić przyjął na dwór swój pomiędzy dworzany.

Błogo i wesoło na królewskim dworze wiodło się życie dziadowemu synowi, — a że był arcybystrego rozumu, wkrótce pomiędzy ludźmi otarł się ze swój prostackiej ciemnoty, i stał się w krwawej czy niekrwawej potrzebie biegłym a rozważnym młodzianem, — do kielicha téż i niewiast nielada graczem. Było zaś tak, że ów król miał córę jedyną, młodzieuchną a dorodną i serdeczną. Stało się tedy że młody dworzanin wpadł w oko cudnej królownie, a za niewiele czasu byli ze sobą jak starzy znajomi, a rozkochani jak gołębi para. Przecież biedny młodzieniec musiał kryć statecznie swą miłość, bojąc się gniewu swego króla; trapił się srodze, gdy przyszło cierpliwie patrzeć na dorodne a pańskie zalotniki, oblegające miłą serca jego, i drżał co chwila by mu

jéj który nieporwał. — Czas tymczasem uchodził powoli, nieniosąc z niskał pociechy ni nadziei. . . .

Jednego razu król, wraz z całym swym dworem, powracał był z wielkiej gonitwy do swego złotego zamku, co na wyspie warownej, wśród rzeki, rzucony, przyglądał się w jasnej wodzie swoim ścianom murywanym. Właśnie gdy na most wjeżdżali, koń królewski, dziki i twardy, chrapiąc i parskając nozdrzami, stanął dęba i począł się ciskać; król zachwiał się z razu na siodle, ale jako dzielny jeździec poprawił się w téjże chwili, i wsparłszy konia ostrogą, po woli swéj iść przymusił. Ale podczas gdy rumak jego nagle skoczył, korona z królewskiej głowy usunęła się i padła na most, a odbiwszy o deski potoczyła się do wody. — Na to między dworem całym i między ludem ciekawie patrzącym z brzegów powstał krzyk niesłychany trwogi, a potem głośny jęk i lament. Była to bowiem korona nieopłaconej wartości, z dawien dawna chowana jak największa świętość; a własność jéj była taka, że póki by ją tylko miano w owym kraju, póty naród nie miał się co bać głodu, moru, ani klęski w wojnie; lecz skoroby ją stracono, wszystko złe wnet spaść nań miało. Stała się zatem wielka rozpacz w ludzie, i król sam pobladał, załamując ręce. — Woźni królewscy wnet po mieście całym obwołali, że ktobykolwiek potrafił królewską zgubę wydostać, czeka go nieprzebrana wdzięczność i łaska pańska, a coby sam chciał,

choćby najdroższego, w nagrodę dano mu będzie. To posłyszawszy nie jeden śmiałek odważył się nurkować po dnie; jedni, jak raz na dno poszli, tak niewyszli z wody więcej, — drudzy, szczęśliwsi, powracali żywi, ale z próżnemi rękoma. Więc co godzina lud tracił nadzieję, wzrastał żal i trwoga; — aż i noc w końcu nadeszła.

Na wilgotnym brzegu rzeki, stał smutny dziadowy syn, myśląc o swęj królownie; a zwlekając z siebie szaty, mówił:

— „Jeśli zdołam znaleźć zgubę, król w nagrodę córkę dać mi musi; nie znajdę li jęj i sam przy tém zginę, nic nie stracę, — bo już i tak niema dla mnie życia w świecie bez mojęj drogięj dziewczyny.“ —

Kiedy postąpiwszy ku wodzie tylko co już wskoczyć chciał, naraz usłyszysz plusk głośny: fala pieni się i na dwoje dzieli, — ogromna ryba, o złocistym grzbiecie, skrzélach srebrozystych, z głową jak gdyby człowieczą, podpłynię tuż do nóg jego, niosąc w paszczęce królewską koronę. Młodzieniec, żywo wyciągnąwszy rękę, pochwycił drogi klejnot; a ryba znów się w modre zanurzyła tonie. On pobiegł, uszczęśliwiony, wprost ku królewskim komnatom, zwiastując dobrą nowinę. — Król, który skłopotany dotąd nie był zasnął, posłyszawszy to, pobiegł go uściskać i tysiączne czyniąc dzięki, pytał jakiej by chciał nagrody. Natenczas chłopiec niebogi, ściskając pańskie kolana, opowiedział mu swą miłość i

prosił o piękną królownę za żonę. Zaraz król rozkazał przywołać swą córę, a stawiając przed nią dziadowego syna, opowiedziawszy co sprawił, pytał chcieli mu być żoną? Młoda królowna pobladła, potem znowu zczerwieniała, jako niebo o świcie — i nie mówiąc słowa podała swemu kochankowi, bieluchną jak lilja, rękę. Król więc natychmiast porozsyłał sługi, każąc bić w trąby, kotły i dzwony, i zwiastować miastu całemu dwie wesołe nowiny: o odzyskaniu korony i zaślubinach bliskich swojej córy. — Cieszył się wielce Lud wszystek ze znalezienia cudownej korony i że ten, co tak krajowi zasłużył się całemu, odbierze godną zasługi, według serca własnego, nagrodę. Cieszył się król stary, że mu niebo dało zięcia, co choć bez rodu znakomitego, stał w boju czyli w radzie za dziesięć paniczów, a Opatrzność widocznie nad nim czuwała. Cieszyła się królowna młoda i przyszły małżonek jój, licząc niecierpliwie godziny, co do zaślubin ich upłynąć miały.

Lecz wedle słów świętych pieśni:

Niewiadomo człeku ranie,
Co się mu wieczorem stanic.

Gdy się tak wszyscy weselą, stało się że dnia jednego, gdy w wieczór do łóżka się kładła, gwałtowna niemoc padła na królownę. Służebne dziewczki, z żałosliwym krzykiem, rozbieżały się po zamku, wołając ratunku na ludzi. Kiedy król z lekarzami przybiegli na pomoc chorój, znaleźli ją, z sinemi jak

popiół wargami, ze zaciętymi śmiertelnie zębami, całą zimną i skostniałą, leżącą istny trup w łożku. Daremne były wszelakie zabiegi; próżno wódkami trzézwili, próżno jój ciało do krwi szczotkami tarli — nic jój przebudzić niemogło. Stary król, zdjęty rozpaczą, począł rwać się włosy siwe; aż mu lékarze przyszli na pociechę powiedzieć, że córka jego, choć wrzкомо martwa, żyje przecie; ale czar na nią taki zły rzucony, przeciw któremu wszystka sztuka ich nienada. Sład tedy król sługi z wieścią do przyszłego zięcia swego, by radził, co począć w takiej srogiéj przygodzie.

Zafrasował się dziadowy syn to słysząc, — lecz w téjże chwili na pamięć mu przyszła baba owa, którą wybawił od śmierci. I myśląc sobie: kiedyć mi stworzenia marne dały pomoc w swéj porze, jako obiecały, czemużby li człowiek nie miał dać jój wedle przyrzeczenia? Zawołał więc głośno, jak był nauczony:

„Babo-dziwa, babo-dziwa!

„Przyjdź mi w pomoc, jako żywa!“ —

Zaledwie skończył, wicher zadzwonił szybami, okno ościęż się otwarło i baba czarownica wpadła na ożogu.

— „Ha! jak się miéwasz? mój chłopcze! Czegóż trzeba ci odemnie?“ —

On jój wziął zatém rozpowiadać utrapienie swoje, prosząc pokornie o radę. A baba na to: „kochanka

twoja iście niezmarła, a żyje; lecz zaczarował ją tak jeden zły czarownik, który sam z nią chciał się żenić. Dowiedziawszy się że w rychłe wasze wesele, uczynił ci to, ażeby przeszkodzić. Ma on u siebie w ogrodzie takie dziwne-ziele, co rośnie w kącie pod murem, że dnia białego nigdy niewidziało, i mocą jego czaruje. Ale gdy jeden listek tego zielea położysz na piérs królowny, ona, jakby nic nigdy, zdrowa wstanie. Chcesz li dostać tego zielea, — siadaj co prędzej ze mną w drogę.“ —

Niebawem siadł młodzieniec z babą na ożogu, i wyleciawszy przez okno lecieli, gnani chmurami, wiatrami, — aż zalecieli do ogrodu czarodzieja. — Znalazłszy dziwne ziele, chłopiec, by mu czarodziej więcej nie mógł szkodzić, wyrwał je z korzeniem, — i jako przylecieli, odlecieli z powrotem. —

Powróciwszy do zamku, do komnaty swojej, skoro dziadów syn wdzięcznie pożegnał się z babą i precz odleciała, urwał z czarodziejczój krzewiny jeden czerwony listeczek, a resztę rzucił w płomień pieca, na zgorzenie. Na to, stał się huk srogi po nad zamkiem, jakby się niebo całe na niego waliło, i trwał tak długo, aż dopóki ziele całe nierozsypało się w popiół biały. — Szedł zatem do sypialni swojej dziewczyny, — a powitawszy strapionego króla, przystąpił do białego łóżeczka królowny i zimne całując usta, odkrywszy z piérsi śnieżystych okrycie, położył na jój sercu listeczek czerwony Za

małą chwilkę królowna zaczęła lekko oddychać, — aż wreszcie otwarłszy oczy, dziwiła się nie pomału co się z nią działo?

Dopieroż to była radość! . . . Król stary płakał jak dziecko, w rozczuleniu szczęścia, błogosławiąc dniowi owemu, w którym na jego dwór przyszedł młodzieniec. — A ze dniem, rano, gdy królowna z łóżka, zdrowa jak by nigdy nic, wstała, — ubrały ją służebnice w wieniec i sukienkę ślubną, a druchny, wzięwszy pod ręce, powiodły do kościoła, gdzie przy ołtarzu czekał jój narzeczony. — I ukląkwszy na kobiercu, oboje wieczną sobie poślubili wiare, — a potem żyli razem długo i szczęśliwie, jak daj Boże wszystkim dobrym ludziom. —

Przypis do Dziadowego Syna.

Utwór niniejszy, tak w całym swoim toku, wprowadzoném działaniu, a nadewszystko we wmięszaniu do spraw ludzkich zwierzęcego świata, — wielkiej starożytności cechy noszący, upowszechniony w wielu okolicach Mazowsza i Wielkiej-Polski, znajduje się także, choć ze znacznemi odmianami, w zbiorze Czeskich powieści, pod tytułem: Báchoroky narodni, od Božene Niemcowé (o Jozowi). — Z większemi jeszcze odmianami napotyka się w baśniach madyarskich przez Gaatá zebranych. Gdy czytelnicy polscy nie mieli dotąd żadnej próbki z powieści tego

narodu, tak więc dla pokazu zuchwałej i jaskrawej madziarskiej fantazyi, jako i dla porównania, całą tu ją przytaczam.

Wdzięczne Zwierzęta.

(Baśń madziarska.)

Był sobie mąż i żona, którzy mieli trzech synów. Ale byli tak biedni, że zaledwie sami się wyżywić mogli. Postanowili więc synów swoich w świat puścić, żeby szczęścia szukali. Matka upiekła dla każdego bułkę chleba i błogosławiła im na drogę. Tak, pożegnawszy się z rodzicami, odeszli w świat.

Najmłodszy z pomiędzy trojgu, Ferko na imię, był śliczny bardzo chłopiec, o ujmującej postaci, błękitnych oczach, jasnych włosach, z licem jako krew z mlekiem mieszana. Młodzi bracia obaj mieli ztąd wielką zawiść ku niemu, myśląc sobie, że przy tej powierzchowności prędzej jemu niżli im szczęście znaleźć się uda.

Jednego dnia, gdy słońce bardzo piekło, układli się, znużeni drogą, pode drzewem w cieniu. Ferko usnął zaraz, ale dwaj drudzy czuwali i rozmawiali ze sobą po cichu. I rzekł najstarszy do średniego: „Nieźle by to było gdybyśmy się go pozbyć mogli? Jest on tak piękny, że wszystkich do siebie skłania; my zaś, co nie jesteśmy mu podobni, długo podobno do niczego nie przyjdziemy.“

Drugi odpowiedział mu na to: „Tego i ja jestem zdania, — ale jakąż by wynaleść radę?“

— „Wiész co? zjédzmy oto chléb jego, — a jak będzie głodny, nie wpiérwój damy mu ze swego, aż sobie pozwoli wykłuć oczy albo nogi połamać.“

— „Ej!“ wykrzyknął średni: „to pomysł dobry, co się nazywa! Nieczekając jutra, wykonajmy go dziś zaraz.“ — I wydobywszy chléb Ferkowi, zjedli go cały nim się zbudził.

Zbudziwszy się wkrótce, szukał chleba, bo był bardzo głodny. Bracia upewniali go, że idąc spać zjadł go już, i przezywając go żarłokiem ani kęsa dać mu niechcieli. Ferko nie mógł pojąć tego co mu prawili, — milczał więc, poszcząc dzień cały i noc. Ale nad porankiem głód tak mu się dał we znaki, że aż płakać począł, prosząc braci natrętnie o kawałeczek z ich chleba. Okrutnicy śmieli się tylko, powtarzając mu to samo co mu wczoraj już powiedzieli; a gdy nieszczęśliwy błagać ich nieprzestawał, najstarszy się odezwał: „Dobrze! jeśli dasz sobie złamać nogę i wykłuć oko, damy ci kawał chleba.“

Na to Ferko okrutniej jeszcze jął łzy wyléwać, ale cierpiał znosząc aż do południa. Wtedy dopióro, niemogąc już dłużej wytrzymać, dał sobie złamać lewą nogę i wykłuć lewe oko. Wtedy dali mu oni kawałek chleba, ale tak mały i cieńki, że biedny w moment go połknąwszy, prosił o więcej. A oni

śmieli się i szydzili po dawnemu. — Ferko więc płacząc cierpiał aż do zachodu słońca; ale gdy słońce zaszło, głód z taką dał mu się czuć mocą, że już nie umiał dać rady sobie. — Średni brat przemówił wtedy: „Dostaniesz drugi kawał chleba, jeśli dasz złamać prawą nogę i wykłuć prawe oko sobie.“ — A Ferko, rozpływając się z żalu, dał sobie złamać nogę i wykłuć oko pozostałe.

Kiedy tak był zupełnie oślepiiony i z obojgiem nóg złamanych, dali mu kawałek chleba, nieco większy niż przedtém, i zostawując go wijącego się w boleściach, sami poszli dalej. — Nieborak pożarł chciwie ich datek i jęczał okropnie. Nikt jednak na jego wołanie nie przychodził mu z pomocą, gdyż już dawno była noc milcząca i ciemna. — Nie mogąc zamknąć oczu do snu, od bóleści, czołgał się więc jak mógł po ziemi, niewiedząc sam co czyni.

Z porankiem, słońce wybiwszy się na niebo, poczęło mu bardzo dopiekać, szukał więc sobie cienia. Wpełznąwszy na jakiś pagórek, uczuł chłód cienisty, i położywszy się w bujnej trawie, słuchał czy mu Bóg kogo nie ześle.

To co nad nim chłód sprawiało, było to rusztowanie. Kilka kruków zleciało się w tém z różnych stron na nie i poczęło ze sobą rozmawiać.

— „Co téż tu macie wy najdziwniejszego w téj stronie?“ Odezwał się jeden z nich.

„O!“ odpowiedział mu drugi: „jest tu wiele

takich dziwów, których gdzie indziej byś próżno po świecie szukał. Tu oto zaraz, pod górką tą, jest staw, w którym choćby się już konający wykapał, wyjdzie zupełnie zdrow i silny; kto zaś rosą na wzgórku tym spadłą przemyłby sobie oczy, to choć by był ślepy od dzieciństwa, przejrzał by doskonale.“ —

— „No! moje oczy, Bogu dzięki! nie potrzebują téj rosy; ale co staw, to się zda bardzo memu skrzydłu, które mi niedawno strzelec jeden skaléczył, tak że ledwie jako tako podlatywać mogę. Pójdźmy, wykąpie się, żeby wyléczyć je!“ — I to rzekłszy, odlecieli.

Ferko, bez miary ucieszony tą wiadomością, czekał niecierpliwie wieczora, ażeby przemyć oczy cudowną rosą pogórka.

Nie zadługo téż dzień się skończył, i słońce zaszło po za górami. Na pagórku stało się chłodno i miękka trawa poczęła się kroplic wilgotną rosą. Ferko, pełzając tu i owdzie na około, tarzał twarz całą po trawie, aż oczy jego rosą się napełniły. I oto na raz stało się jasno przed jego oczami; ujrzął wszystko do okoła siebie, i radość napełniła serce jego.

Na wschodzie unosił się miesiąc srebrny i oświecał w pobliżu staw uzdrawiający. — Ferko popełznął do niego i zanurzywszy swe obie nogi, moczył je godzinę całą. Gdy je wydobyl z wody, uczuł się

doskonale zdrowym, a boleści jako sen zniknęły. Z głębi uszczęśliwionego serca dziękował Bogu, że go na pagórek zawiódł, gdzie rozmowę kruków dosłyszeć mu się udało. We flaszeczkę nabrawszy zatem wody ze stawu, żeby nią w potrzebie sobie lub drugim dopomódz, odszedł dalej w swoją drogę, śpiwając wesoło.

Nie daleko uszedł jeszcze, kiedy w tém napotkał wilka, który, wyjąc boleśnie, kulał na trzech nogach. Widząc Ferko jego kaléctwo, ulitował się i rzekł: „Pociesz się, biédnywilku! wnet będziesz zdrowy.“ — Obwinał mu więc chorą łapę w cudowną wodę, — a wilk wnet uczuł się wyléczonym. Podziękowawszy swemu dobroczyńcy, przyrzekł mu być wdzięcznym na zawsze, i poskoczywszy rażno pobiegł w las.

Ferko szedł dalej i wyszedł na pole uprawne, gdzie spotkał mysz, wlekącą się z trudem na dwóch tylnich łapkach, gdyż jęj pułapka przednie strzaskała. Przemówił do nięj przyjaźnie, pocieszył dobrą nadzieją, obmył swą wodą cierpiące członki i życzył jęj szczęśliwéj drogi. Mysz, czując się zdrową, podziękowała czule lékarzowi swemu i pobiegła precz między rżysko.

Po niejakiu czasie zobaczył Ferko podlatującą koło siebie pszczołę, któręj to z wielką trudnością przychodziło. Była to matka-pszelna, któręj jakiś ptak skrzydło dziobem rozerwał. Ulitowawszy się nad nią, Ferko obmył jęj skrzydła uzdrawiającą

wodą, — a pszczoła uradowana przyszła zupełnie do siebie. „Nigdy niezapomnę dobrodziejstwa twego, i może da Bóg odwdzięczę ci się kiedy“ — rzekła, i z wesołym brzękiem uleciała w powietrze.

Dobréj myśli, nietroszcząc się wcale o przyszłość, szedł sobie Ferko dni kilka, aż przyszedł do innego już królestwa. Pomyślał sobie: a co by téż było, gdybym poszedł do zamku i królowi wprost służby me ofiarował? — Mówiono mu wprawdzie, że król jest niezmiernie dziwny, okrutny i wymyślny, — ale że ma córkę, śliczną jak zorza, a dobrą jak gołębek. O ile pierwszego obraz odpychał, o tyle drugiey opis zachęcał go do wykonania powziętego zamiaru.

Poszedł do zamku, chcąc u nóg króla prośbę swą złożyć, — alic, kogóż tu najprzód ujrzał? oto obu swoich braci, którzy go oślepiłi i nogi mu połamali, a którzy już od niejakiego czasu zostawali w królewskiej służbie. — Jeżeli on się tém zdziwił, to oni obaj wylękli się niezmiernie, kiedy ujrzeli go całkiem zdrowym i że także ich poznaje. Bali się, żeby ich o szkaradne okrucieństwo nie oskarżył przed królem, a ten by ich powiesić nie kazał.

Ferko, swoją przyciągającą urodą, zajął od razu wszystkich w zamku, którzy go ujrzeli; nawet śliczna córka królewska nie mogła oczu od niego oderwać, gdyż nigdy w życiu niewidziała jeszcze podobnie pięknego młodzieńca. Bracia jego dostrzegli to z

zawiścią i złością; co najspieszniej więc ułożyli sobie oczernić go przed królem. Powiedzieli mu, że to był złośliwy czarodziej, który tu przyszedł umyślnie, ażeby królownę uwieść.

Król, kazawszy Ferka zawołać przed siebie, mówił: „Jesteś czarodziej i uwodziciel! . . . Jeżeli mi potrafisz dokazać trzech rzeczy, które ci zadam, wygnam cię tylko z państwa mego, ale daruję życie; jeżeli ich zaś nie sprawisz, każę cię na pierwszym lepszym drzewie powiesić.“

Młodzieniec wystraszył się tém niezmiernie i sam nie wiedział co ma odpowiedzieć, słysząc obu swoich braci zaprzysięgających oskarżenie. Król zaś mówił do tych obojgu:

„Mówcie, co pierwszego
„Znaléść by takiego,
„Czego by nie mógł sprawić?
„Żeby go życia zbawić.“

Najstarszy, nienamyslając się długo, rzekł: „Niechaj przez jeden dzień wybuduje zamek, który by piękniejszy był od twego; jeśli tego niedokaże, niech zginie.“ — Król znalazł pomysł ten dobrym i wyznaczył Ferkonowi dzień następny do wykonania tego; potem odpuścił dworzan i odszedł do siebie. Bracia zaś źli cieszyli się niezmiernie, że król poszedł po ich woli i że wynaleźli pewny środek na zgubę nienawidzonego.

Ferko wyszedł tymczasem ze zamku na pole,

zmar twiony niewymownie, i przeklinając po tysiąc razy moment, w którym królestwa tego przestąpił granice. Błądząc po polu, rozmyślał o dniu jutrzejszym, w którym mu kazano niepodobieństwa dokonać. W tém nadleciała do niego pszczoła, która siadłszy mu na ramieniu, pytała: „Cóżes to tak smutny, mój dobroczyńco? Powiedz, czy ci nie mogę dopomódz? Ja jestem pszczoła owa, którąś niedawno uzdrowił, i chciałabym ci z duszy odpłacić twe dobrodzieństwo.“

Ferko poznawszy ją, odpowiedział: „Jak byś mi miała dopomódz, wykonać to czego żaden człowiek w świecie nie dokaże? . . . Mam jutro, przez jeden dzień, wybudować zamek, któryby był od królewskiego jeszcze piękniejszy.“ —

— „Pocieszże się!“ rzekła królowa — pszczoła: „Zanim jutrzejsze słońce zaświta, będzie zadaniu temu zadosyć i stanie zamek, jakiego jeszcze żaden król na świecie nigdy nie miał. Czekajże tu na mnie, aż wrócę i doniosę ci, że już gotów.“

To powiedziawszy, odleciała z jego ramienia; a Ferko cieszył się jój obietnicą, — jak bądź nie pojmował jakim sposobem dotrzymać jój będzie w stanie. — Tymczasem położył się na trawie, i usnąwszy, spał aż do ranka.

Z porankiem, wszystko co tylko żyło w mieście i na dworze królewskim, było w ruchu, oczekując niecierpliwie: jak piękny przychodzień wypełni uczone mu zadanie. — Królewska zaś córka była

smutna i milcząca; całą noc ani oka niezawarła ona, myśląc o losie młodzieńca i płakała tak rzewnie, że aż poduszki na wskrós od łez przemokły, a piękne jej oczy zaczerwieniały się całe.

Ferko przepędził dzień ten cały na miejscu, gdzie go pszczoła zostawiła. — Kiedy cienie gór nareście zaczęły się stawać czarniejszemi i dłuższemi, przyleciała ona wiernie do niego, i usiadłszy mu na ramieniu rzekła: „Idźże teraz do króla i wyprowadź go na pagórek, co się tam około murów miasta wznosi. Najpiękniejszy zamek już tam gotów.“ I odleciała precz, brzęcząc radośnie.

Młodzieniec, gdy to usłyszał, szedł przed króla, dając mu znać, że wypełnił wskazane sobie dzieło. Cały dwór zatem pociągnął na ów pagórek, — i osłupiał na widok dziwu który tu czekał. — Na szczycie wznosił się przepyszny pałac, zbudowany z najcudniejszych kwiatów, jakie się kiedy znaleźć mogły w królewskich ogrodach. Dach był ze samych purpurowych róż, okna z błękitnych lilij, gzęmsy z auryklów i sijołków, ściany z białych gwoździków, drzwi z tulipanów i narcysów, zamki ze słoneczników, — około budowy pełno hijacyntów i innych przepysznych kwiatów, — powietrze zaś całe napełniała woń niezrównana, wszystkich obecnych upajająca. — Wdzięczna królowa pszczoł zwołała przez posłańców swych wszystkie pszczoły z kraju, które zleciawszy się, cudowny ten zamek zbudowały.

Król osłupiał prawie ze zdziwienia, — śliczna zaś córeczka jego, zachwycona, patrzała raz to na czarującą budowę, to na jęj urodziwego twórcę. Dwaj bracia, zżółkniali od zazdrości, wskazywali na to dzieło, jako potwierdzenie swego oskarżenia, że Ferko był czarnoksiężnikiem.

Król, chociaż nad wyraz zadziwiony niepojętém sobie wykonaniem zadania swego, zły był przecież, że, związany słowem, nie mógł młodzieńcowi życia odebrać. Zwracając się więc do braci jego, mówił:

„Widocznie przez piekła wdanie,

„Spełnił pierwsze zadanie.

„Mówcież co by drugiego

„Znaleść teraz takiego,

„Czego by nie mógł sprawić?

„Żeby go życia zbawić.“

Było to właśnie po żniwach, ale zeżęte zboża wszystkie jeszcze w polach leżały. Średni więc brat rzekł: „Niechaj do jutra o tym czasie zbierze wszystko ziarno, jakie się tylko w obrębie całego państwa znajduje, tak żeby ani jednego nie brakło, na jedną kupę u tego pagórka. Jeśli tego nie dokaże, dasz go stracić.“ —

Słyszac to, piękna królewna pobladła i mało bez przytomności na ziemię nie padła. Ale Ferko wysłuchał zadania spokojnie, — gdyż spotkawszy życiwe wejrzenie królewny tak dziwnie czuł się na sercu, że zdało mu się niepodobném obawiać się czegokolwiek na świecie. Pełen błogiej nadziei

odszedł — i błądząc znowu po polach, rozmyślał jakby zadany mu dziw mógł być spełnionym.

Po mału zaszło słońce, a na około stawało się co raz ciemniej i ciszej. Wtedy przybiegła do niego mysz i tak się ozwała: „Witaj mi zdrów, mój dobrodzieju! Cóż to rozmyślasz tak głęboko? Nie możesz ci dać w tém rady, żeby ci za twoją łaskę odwdzińczyć?“ —

Ferko poznał mysz, którą wodą swoją uzdrowił, i odrzekł: „Jak możesz mi poradzić, w rzeczy przechodzącej wszelką ludzką możliwość? Do jutrzejszego wieczora mam wszystkie zboże z całego kraju zebrać na jedną kupę; braknie zaś choć jednego ziarnka, życie stracę.“ —

— „Ach!“ zawołała mysz: „o tę drobnostkę nie troszcz się wcale! Już ja ci ją sprawię. Zanim jutro słońce zajdzie, przyjdę tu, powiedzieć ci jak wszystko będzie gotowo.“ — I ze skrzytym pospiechem odbiegła.

Młodzieniec dopióróż uczuł zupełną spokojność w duszy, nie wątpiąc że i mysz dotrzyma mu słowa, spełniając ciężkie zadanie za niego. — Przyległszy na murawie, przespał spokojnie noc całą, a nazajutrz ocknął się pełen wesołego oczekiwania. —

I w rzeczy samój, nim jeszcze wieczór przyszedł, zjawiła się mysz, z wieścią: „Możesz iść, zaprowadzić króla do pagórka; wszystko się stało podług jego woli.“ — Ucieszony poszedł więc na zamek i do-

niósł królowi o spełnieniu drugiego zadania. Ten zaraz wyszedł, z dworem wszystkim, na oglądanie nowego cudu.

Wszyscy, patrząc, nie wiedzieli czyli to sen albo jawa. Na jednej ogromnej gromadzie, wyżej nad królewskie wieże sięgającej, leżało wszystko ziarno, zebrane z całego królestwa, — tak że mogłeś jak chcieć szukać po polu, a żadnego byś nie znalazł. — Dokazała tego mysz, zwoławszy, dla odpłacenia się dobroczyńcy, wszystkie myszy państwa tego, które skwapliwie w jeden dzień z pracą się uspieszły.

Król na to nowe dziwowisko nie mógł ukryć już swego zdziwienia, ale wraz z tém coraz większa brała go wściekłość na młodzieńca, — którego oba spełnione dzieła niewątpliwie jako czarownika potwierdzały. Gdyż jak można było przypuścić, ażeby ich bez pomocy piekła dokazać zdołał?

Obaj źli bracia stali, jakby skamienieli, obawiając się już, żeby mniemany czarodziej istotnie nie znalazł nadprzyrodzonej mocy, przez którą by ich zasadzki zniweczył i na nich się pomścił. — Królowna zaś, zarumieniona serdeczną radością, tém miliej dzisiaj spoglądała na młodzieńca, — a oko jej, skromne ale wymowne, spotkało się pojętnie z jego namiętnym wzrokiem.

Król, widząc moc tajemną Ferka, większą niżeli jego potęga, dla tego samego chciałby go zgładzić; i byłby téż to zrobił, gdyby przez złamanie królew-

skiego swego słowa nieobawiał się zaszkodzić godności majestatu. Ale kiedy dostrzegł jeszcze że on nie jest dla królowny obojętnym, zaciekłość jego granic nie miała już. Z ognistém wejrzeniem zwracając się do dwu swoich podżegaczy, rzekł:

„Widocznie przez piekła wdanie,

„Spełnił i drugie zadanie.

„Ale tysiąckroć mu biada!

„Jeśli trzeciemu nie nada.

„Mówcież, co by trzeciego

„Znaléść teraz takiego,

„Czego by nie mógł sprawić?

„Żeby go życia zbawić.“ —

Zazdrością i zgubą ziejący, odezwał się spiesźnie jeden z braci:

— „Jeżeli do jutra o tym czasie zgromadzi tutaj wszystkie wilki z całego królestwa, to niechby szedł sobie wolno; ale jeżeli nie dokaże tego, jako rzekłeś, niechaj będzie zaraz obwieszony.“ —

Śliczna królowna zbladła na te słowa i piérs jój gwałtownie wznosić się poczęła, jako wały jeziora wichrem miotane; — a król, widząc to, rozkazał ją odprowadzić do warownej wieży, którą strażami otoczył, ażeby tam pozostała, dopóki niebezpieczny czarownik albo nie zginie, albo z kraju nie odejdzie.

Ferko, poszedłszy znów w pole, siadł na pniu ściętym drzewa, rozmyślając o niepewnej swój przyszłości, ze spokojnością większą niżli dotąd kiedy. Miłe wejrzenie urodziwój królowny, które mu

błysnęło jak gwiazda wśród chmurnego nieba, napełniło serce jego niewyczerpaném źródłem nadziei.

Kiedy tak, rozmyślając, pogląda w około siebie, przyszedł doń ogromny wilk, który poufnie przed nim stając, przemówił: „Szczęść Boże! mój dobroczyńco. Nad czém że to rozmyślasz tak samotny i milczący? Jeśli mogę ci być w czém pomocnym, rzeknij tylko, a jako przez ciebie kiedyś z cierpienia uwolniony, odpłacić ci gotówem porada i czynem.“—

Ferko poznał, że to był wilk, któremu złomaną nogę wyléczył; przyjmując więc chętnie jego ofiarę, opowiedział czego ma jutro, pod utratą życia, dokonać. „A jakże (mówił) mogę wszystkie wilki z kraju całego pod ów pagórek zebrać, kiedy z jednym niebezpieczna sprawa?“ —

— „Czy nic więcej nad to nie chcesz?“ rzekło pocziwe wilczyko: „No! to możesz zupełnie spokojny oczekiwać spełnienia twój woli. Zaraz ja pobiegnę zająć się wedle tego, — a jutro o zachodzie słońca stanę tu uczynić ci zadość.“ Zatem odleciał z pośpiechem, zostawując młodzieńca w najżywszej radości, bo pewnego że i to zadanie sprawi, a tém samém nie postrada życia.

— „Jednak (myślał sobie) lepiej by jeszcze było, gdybym kraju tego nie musiał opuszczać. Tak! o ile przed parą dniami rad byłbym z niego wyszedł, tak chętnie dziś podjąłbym najtrudniejsze jeszcze

prace, żeby mieć dłużej to szczęście oglądać lica lubej królewny!“ ... Wśród takich myśli i słodkich marzeń, położywszy się na ziemi, usnął mile.

Zbudzony dopiero wschodzącem słońcem, dzień cały pozostał w polu. — Nim jeszcze zachód poczerwienił góry, przybiegł do niego wielkim pędem wilk, mówiąc: „Wilki z całego królestwa zebrane, czekają w pobliskim lesie za twém przybyciem. Idźże, powiedz królowi, ażeby się udał na ów pagórek: sam zaś wracaj, a ja ci będę służył za konia i pomogę prowadzić całą zgraję.“ —

Ferko, doniósłszy królowi, że spełnił trzecie zadanie i tylko jego przybycia na wzgórek oczekuje, śpieszył nazad do swego wilka, na którego wsiadłszy jechał do bliskiego lasu. — Jak wiatr szybko pędził z nim biegun jego po nad brzegiem zarośli, — i wnet z nich wybiegały sta, tysiące całe wilków; — jadąc na czele, prowadził je więc pod pagórek, gdzie już dwa dziwy był spełnił.

Tam stał już król, otoczony owym dworem, dwu złych braci mając przy sobie; ale nie było z nim ślicznój córkî, która zawarta w wieży smutnie płała. — Wszyscy zgrozą przejęci ujrzeni niezliczoną trzodę wilków się zbliżającą; a dwaj bracia z bezsilnój złości tupali o ziemię nogami, widząc że ich ostatnia zasadzka została zniweczona. —

Kiedy król spostrzegł, że gromadzie wilków nie ma końca i w coraz większym natłoku coraz bardziej

się przybliża, począł sobą trwożyć, krzycząc do Ferkona: „Stój! stój! dość już tego!“ —

Ale wilk, na którym młodzieniec jechał, wołał ciągle: „Dalej naprzód! dalej na nich!“ ... i wilki pędziły dalej ku wzgórkowi, wyjąc przeraźliwie i wyszczérzając swe zęby.

Przełęknięty jeszcze srożej, król wykrzyknął drżącym głosem: „Stój, stoj! Pół królestwa mego tobie, byleś te wilki precz odgoniś.“ — Ale Ferko, udając że niesłyszy, wjeżdżał już na pagórek, — a za nim tysiące wilków, — ku ostatniej zgrozie i trwodze tam stojących.

Raz jeszcze podniósł głos król, wołając: „Całe moje królestwo tobie, jeżeli wilki odgonisz!“ Lecz wilk niosący na sobie Ferka powtórzył swoje: „Dalej naprzód! Dalej na nich!“ ... i gwałtownym skokiem, wraz z całą zgrają, wpadł na sam wierzchołek wzgórza. — W mgnieniu oka król zły, wraz z dwoma braćmi Ferka zostali w sztuki rozszarpani i pożarci, — a ci wszyscy co ich bronić chcieli pokaléczeni straszliwie.

Młodzieniec pociągnął teraz, z całym swym taborem, na królewski zamek, oswobodzić zawartą we wieży królownę. — Tego samego dnia jeszcze królem okrzyknięty, poślubił cudną dziewczę. — Wilki odeszły napowrót we swoje lasy, — Ferko zaś, ze swą małżonką, żył szczęśliwie i długo, kochani od całego narodu, aż do śmierci. —

Straszny Potwór.

Baśń.

Wieśniaczka się chyli, całunek mu daje —
Aż z karła brzydkiego, o dziwy!
Z pod złego zaklęcia wybawiony, staje
Rycerz-młodzieniec urodziwy.

Ballada skandynawska.

Bogaty jeden kupiec wybierał się za morze, zawieść polską pszenicę do dalekich krajów, gdzie się ona nie rodzi. Żegnając się na wsiadaniu z dwiema córkami swemi, żeby je pocieszyć we łzach, pytał jakiego by gościńca z za morza pragnęły?

— „Ach! ojcie drogi!“ wykrzyknęła starsza, kraśna i pyszna jak róża w pełni rozkwitła — „przywieź mi piękny sznur pereł, żebym nim warkocz sobie pleść mogła.“

— „Dobrze! będziesz je miała,“ rzekł ojciec. „A tyż, biała moja liljo! czego zapragniesz z za morza?“

— Ja? mój ojciec!“ odpowie młodsza, „nie mam nic takiego na myśli, czegobym osobliwie pożądała. Ale jeśli koniecznie mam cię o coś prosić, — oto słyszałam nie raz od ludzi, że za morzem rosną niebieskie róże, które nigdy nie więdną, — przywieź mi, jeśli znajdziesz, taką jedną różyczkę, co ją we włosy pleść będę miała.“ —

— „Dobrze, kochany kwiateczku! jeśli gdzie tylko różę taką znajdę, zerwę ci ją własną ręką.“

I ucałowawszy raz jeszcze czoła córek, ojciec wsiadł w łódź wielką na Wiśle, która go wnet z wodą ku morzu poniosła . . . Córki długo stały na piaszczystym pagórku, to ociérając chusteczkami łzy z oczów, to wiewając niemi w powietrzu; aż gdy im łódź zupełnie za lasem znikła z widoku, odeszły zapłakane do domu, modląc się do Matki-Boskiej o szczęśliwą podróż dla ojca. —

Kupiec szczęśliwie przepłynął Wisłę i morze, i na dalekim brzegu za drogie pieniądze sprzedał swoją pszenicę. Uradowany zarobkiem, mając się ku odjazdowi, począł myśleć o gościach przyrzeczonych córkom. — O perły nie było mu trudno, — (rosną one na dnie morskiem jak u nas groch na polu, tylko dać nurka i rwać je) — za tani grosz kupił sznur jak bicz długi, a takich wielkich jak gołębie jaja. Ale o niebieską różę napróżno się wszędzie dopyty-

wał, nigdzie dostać jej nie mógł. Od ludzi dowiedział się że róże takie rosną tylko na jednej pustej wyspie wśród morza, gdzie jednak, dla skał strasznych i wielozn pod wodą, żaden okręt niepływa, chyba przypadkiem zapędzony.

Przykro to mu było że prośbie ulubionego dziecka nie mógł za dość uczynić; ale, gdy nie było innej rady, kazał jej za to wysadzić różyczkę z samych niebieskich turkusików, o złotych listkach i gałązkach, żeby ją zamiast prawdziwej we włosy zatknąć miała.

Niezabawem wsiadłszy na łódź odpłynął kupiec na powrót ku domowi. — Już był szczęśliwie połowę prawie drogi upłynął, gdy nagle jednego wieczoru zerwała się sroga burza i wichor. Całą noc morze rzucało wółdą łodzią jak piłką, wznosząc ją w góre, to znów do pna grążąc, a wiatr, potargawszy żagle, pędził ją całkiem gdzieś z drogi, w zupełnie nieznaną stronę. — O poranku dopiero ustatkowała się burza, i uradowani podróżni ujrzeli się w cichém ustroniu, przy jakimś obcym brzegu, na którym, wśród czarnego jodłowego boru, wznosił się zamek ogromny.

Podczas kiedy służba okrętowa wzięła się do naprawiania żagli i masztów, nocną burzą uszkodzonych, kupiec sam, w małym czółenku, popłynął do lądu, a uwiązawszy je do nadbrzeżnego drzewa, szedł sobie prosto ku zamkowi. —

Dochodząc do niego, zdziwił się nie mało, że do

wjazdowego mostu nie wiodła żadna droga, ani nawet ścieżka, wpośród bujnie zewsząd zarastającego boru; tém dziwniej jeszcze mu było, gdy, minawszy most i wszedłszy do otwartej na ościęż warownej bramy, nie znalazł około niej żadnej straży, żadnego żywego człowieka. — W dziedzińcu rozległym, otoczonym ze wszystkich stron okazałemi gmachami, przeraziła go głucha pustka i śmiertelna cisza. Choć to już dobrze było na dzień, z żadnego komina było widać dymu, żadnego z niskąd nie zasłyszec glosu, ani najlżejszego stuknięcia. Żeby też gdzie chociaż koń zarżał, pies zaszczekał, albo kur zapiał! nic! jak by wszystko wymarło. — Bruk kamienny

dwórca pokrywała wybujała trawa i dzikie krzewiny, a wysoko pnące się bluszcze i powoje zaplaśniały ścianom budynków, drzwi i okna powiewnemi zasłonami. Co najdziwniejsza, mimo to wszystko nie było nigdzie widać ruiny ani najmniejszego uszkodzenia, i cały zamek zdawał się stać tak silnie i zdrowo, jak by wczoraj zmurowany.

Kupcowi, wśród tego wspaniałego pustkowia i milczenia, ciarki aż przeszły po ciele; sam niewiedział co począć: zostać, czy uchodzić? Że jednak nie miał co czynić z sobą przez dzień cały, przemógłszy uczucie zgrozy, postanowił obejrzeć zamek opuszczony.

Widząc drzwi potężne głównego gmachu nieco uchylone, do niego naprzód się zwrócił. — Prze-

stąpiwszy przez próg, ujrzał się w niezmierną, niby kościół jaki wysokią i przestworną, salę, oświetloną długim rzędem wysmukłych różnobarwnych okien. Podłoga jej była z czerwonego kamienia, a ściany z siwego ciosu. — Przy jednej ścianie wystawał komin, szeroki jak wrota wjazdne, otoczony ciężkimi dębowymi ławami. W pośrodku wznosił się stół, długi, kobiercem bogatym okryty, w którego jednym końcu stał tron złocisty, pod czerwonym baldachimem, a w koło krzesła rzeźbione misternie, różnowzorą skórą kryte. Ściany całe, od dołu do góry, świeciły się od hełmów, pancerzy i tarcz przezroczystych, między którymi gdzieś niegdyś wisiały miecze staliste, oszczepy i maczugi, straszliwymi nabijane kośćmi; sklepienie znowu jeżyło się od mnóstwa jelenich rogów, dziczych, niedźwiedźich i wilczych łbów, od wielorybich szczęk i starych, w szmaty popadanych, chorągwi.

Obejrzawszy to wszystko kupiec, szedł do dalszych komnat, — wszędzie w nich napotykając królewski przepych i tysiące drogich arządkich rzeczy. — Nie raz korciło go już wziąć to lub owo, tu bezużytecznie leżące; ale ile razy chciał rękę wyciągnąć, coś jakby do ucha mu szeptało żeby dał pokój. — Kilka godzin przepędziwszy na oglądaniu licznych pokojów, wrócił znów do wielkiej sali.

Z niemałym podziwieniem zobaczył, wstępując do niej, w kominie płonący jasny ogień, a stół zasta-

wiony srebrnemi czarami z winem i półmiskami, z których dymiły się przepyszne ryby i raki morskie. Nie wiedząc co to znaczy, obzierał się ciekawie czyli kto nie wnijdzie, gdy w tém wzrok jego padł na wielki napis po nad stołem:

„Używaj miły gościu i nietrwóż się niczém.“

Wygłodzony doskonale, słowy temi ośmielony, pomimo całego zadziwienia, zasiadł więc za stół, korzystać z uprzejmego zaproszenia. — Posilony, podziękował głośném: „Bóg zapłać!“ niewidzialnemu gospodarzowi, i wyszedł z sali, przywierając za sobą podwoje, jak je był zastał. —

Wyszedłszy na podwórzec, ujrzał po jednéj stronie, żelazną kratą oddzielony, śliczny ogród. — a w nim . . . o radości! . . . tuż prawie przy kracie, pyszny krzew róż niebieskich w pełni kwiecia. — Wspomniawszy sobie obietnicę córce uczynioną, pośpieszył do ogrodzenia, a nie znajdując w niém otwartego wniścia, przelazł je snadnie, i począł z krzewia pilnie zrzucać kwiaty, — aż je wszystkie w jeden precudny bukiet zgromadził.

Lecz jakież było jego przerażenie, gdy w tém poczuł na ramieniu ciężkie uderzenie, a odwróciwszy głowę zobaczył za sobą straszną poczwagę, — całą jak niedźwiedź kosmatą, z krzywemi rogami na łbie i dziczemi kłami w pysku, — która, patrząc nań straszliwie ognistemi oczami, łapę mu na karku trzymała.

— „Ha! niegodziwcze!“ zawołało strasydło: „tak mi się za gościnne przyjęcie odpłacasz? wdziękasz mi się i niszczysz co mam najmilszego!... Czekaj, nie ujdzie ci to bezkarnie!“ —

Struchlały kupiec począł na uniewinnienie swoje opowiadać obietnicę ukochanej córce uczynioną, i pokornie przepraszając błagał przebaczenia. Straszny potwór, wysłuchawszy go, odpowiedział:

— „Dobrze! daruję ci szkodę i wypuszcze z tąd żywo, — ale przysięgnij na zbawienie duszy twojej, że powróciwszy do domu, przywieziesz mi tu zaraz tę córkę twoją i zostawisz ją samą w zamku przez rok cały. Nie bój się o nią — ja ci znów przysięgam, że jęj najmniejsza nie stanie się krzywda, a jeżeli Bóg pozwoli stać się i dla niej i dla mnie może wielkie szczęście.... Cóż? przysiędziesz mi, lub nie? — jak nie, zaraz cię tutaj na sztuki rozedrę.“

Na takie zagrożenie biędny kupiec, choć niechętnie, przysiągł wypełnić żądanie potwora, a uwolniony nareście śpieszył co miał tchu do swęj łodzi, klnąc zamkowi i nieszczęśliwęj godzinie która go tu przywiodła.

W kilka tygodni łódź kupca stanęła przy zielonym brzegu Wisły, po pod sosnowym wybielonym dworkiem, w którym dwie stęsknione córki powrotu ojca wyglądały.

Kiedy na zapytanie córek ojciec oddał im przyręczone gościńce, nie tyle ucieszyła się starsza perłom drogim, ile młodsza cudnemu bukietowi wonnych, świeżych, niewidzianej barwy róż, które zaraz w włosy sobie wplotła.

— „Moje kochane dziecko“ — rzekł kupiec, widząc jej radość — „nie ciesz się niemi tak bardzo! Bogdajbyś ich była nigdy niezazażądała, albo ja nie znalazł!“ I opowiedział jej wszystko, co go w pustém zamczysku spotkało, aż do żądania strasznego potworu i swojej przysięgi. Spostrzegłszy jednak bladość nąglą swęj Jadwisi, dodał: „Nieobawiaj się przecież, żebym ja cię namawiał do spełnienia méj niorozważnej przysięgi. Nie! wolę sam grzech mój ponieść, niż żebys ty aniołku dostała się w takie straszne szpony i cały rok twego młodego życia na pustkowiu smutnie zmarnowała.“ —

Ale dziewczyna, która już w sercu swém co czynić postanowiła, rzuciła się ojcu na szyję, wołając:

— „Nie mów tak! nie mów, drogi ojcze! Cóż bym to ja za córka była, żebym przysięgi twojej wypełnić nie miała? . . . Bóg sprawiedliwy, któremu cała się zdaje, niedopusci niewinnej méj krzywdy; a że sobie rok przesiedzę w pięknym chociaż pustym zamku, co mi za wielka pokuta? Nie będęż to mieć tyle prześlicznych rzeczy do oglądania, tyle miejsca do biegania? Będę sobie sadzić kwiatki, grać na lutni, piosnki śpiewać, — a jak mi się to już

znudzi, to straszny potwór przez kij mi skakać musi!“

Tak śmiejąc się i gwarząc, — choć Bóg sam wie co się w jej duszy działo, — dla rozweselenia ojca, sama o rychły wyjazd nalegać poczęła i wzięła się czynić doń przybory. — Za kilka dni było wszystko gotowe, i lotna łośdź poniosła znów kupca z córką ku opustoszałemu zamczysku. . . .

Straszny potwór, jak tylko przybywających do brzegu gości zobaczył, wyszedł przeciw nim aż do samej bramy zamku. — Córka kupcowa ujrawszy go, tak się niesłychanie wylękała, że drżała w sobie jak liść osiczyzny; żeby jednak ojcu oszczędzić większego zmartwienia, jak mogła zdobywała się na odwagę. — Potwór dziękował kupcowi za dotrzymanie danego słowa, a pannie za łaskawe przybycie, zapewniając najświęciej że jej nic złego nie spotka. — To mówiąc, wiódł ich do wspaniałej sali, gdzie już gotowa czekała prawdziwie królewska wieczerza. Podczas gdy kupiec z córką posilali się po podróży, gospodarz stojąc z daleka prowadził z nimi tak rozumne i ciekawe rozmowy, że słuchając go zapomnieli o strasznej jego postaci. —

Tydzień cały gościł kupiec, odpoczywając, w zamku; przez cały czas ten straszny potwór zachowywał się tak grzecznie i łagodnie, że kiedy przy-

szło do odjazdu, niebogi ojciec, jeśli nie bez ściśnienia serca, przynajmniej bez obawy wielkiej rozstawał się z ukochaną córką, po którą za rok miał wrócić. —

Dziewczyna, jak w obecności ojca panowała ile mogła nad sobą, tak po jego odjeździe, siedząc w oknie na morze otwartém, rozpłakała się rzewliwie. — Straszny potwór zbliżył się wtedy do niej pokornie i rzekł:

— „Nie płacz tak, śliczna panienko! i nie bądź zła na mnie, że z méj przyczyny rok w téj pustyni przebędziesz; nie moja to wina, ale zrządzenie Boże! . . Rok nie wieczność, prędko minie! — Tym czasem cały ten zamek i ja na twoje rozkazy. — Oto masz ten złoty dzwoneczek, — jak skoro czego zażadasz, zadzwoni nim i powiędz głośno, a stanie się co każesz. Tu zaś masz srebrną piszczałkę, w którą zagwiżdżesz, jak zechcesz żebym ja sam przyszedł do ciebie. Bez woli twój, nie będę cię nigdy przstraszał moim widokiem.“

— „Bogu chwała!“ — pomyślało sobie za odchodzącym dziewczę, które bez zgrozy patrzeć nań nie mogło — „nie prędko ty tę piszczałkę posłyszysz!“ —

Wypłakawszy się do woli po ojcu, Jadwisia zaczęła rozweselać się, jako mogła, w samotności swój. Wyszywała wzorzyste chusteczki, grała na lutni, przyspiewując sobie piosnki śliczne mazo-

wieckie, zrywała kwiaty w ogrodzie i plotła z nich cudne wieńce, biegając sobie po boru rozmawiała z świegotliwemi ptaszkami. Mimo to wszystko, za kilkanaście dni, tęskno jój się zrobiło za ludzką rozmową. — Straszny potwór nie był prawda nic a nic do ludzi podobny, ale mówił jak człowiek istny. Znudzone dziewczę, w pół chętne, w pół niechętne, odważyło się nareście zagwizdać na niego w srebrną piszczałkę; wybrało jednak umyślnie do tego godzinę zmierzchu, kiedy niewidząc go bez zgrozy słuchać mogła.

Potwór umiał tak doskonale zająć ją powieściami i rozmową swoją, że odtąd każdego wieczora wołała go do siebie, — a mało po mału odważyła się wręście mówić z nim po dniu, odwracając tylko głowę od niego. W miesiąc, mogła już patrzeć nań bez trwogi, i nawet za stół przy sobie sadzała.

Przyszła smutna, słotna zima, trzeba było siedzieć zamkniętą w murach przez dnie i tygodnie całe, — cóż sama począć sobie miała? Jak tylko więc rano ubrała się, wołała do siebie straszego potwora Jadwisia, bawiąc z nim aż do nocy, kiedy spać iść miała. Kazała mu opowiadać powieści, których umiał bez liku, swarzyła się z nim i godziła, grała z nim w gry rozmaite; ale chociaż jój nie raz przyszła myśl pusta kazać mu przez kij skakać, nie śmiała tego wymówić, nie żeby się go bała, ale że mu niechciała przykrości tém sprawić. —

Minęła nareście zima i nadeszła ciepła wiosna, — ale dziewczyna tak już nawykła dnie całe z potworem trawić, że gnięwała się jeśli którego poranku sam nieprzychodził i wołać go musiała. Jak bądź jednakże w towarzystwie jego miło i prędko czas jój zbiegał, nie mniej pilnie znaczyła nad swém łóże-
czkiem każdy upłyniony dzień, licząc ile ich jeszcze do końca roku zbywa.

Rok, nie wieczność: — prędko miał się ku końcowi. — Im bardziej kres ten się zbliżał, tem smutniejszym z każdą chwilą stawał się straszny potwór, — ale Jadwisia, w radości swojej, ani tego nie widziała. —

Już tylko trzech dni do końca roku niedostawało, kiedy wstawszy raniutko i do ogrodu za kwiatkami na głowę wybiegłszy, znalazła tam strasznego potwora, smutnie siedzącego pod krzewem niebieskiej róży i zalanego po kudłatym pysku bujnemi jak rosa łzami.

— „Cóż ci, to? mój straszny potworze!“ zawołała litością zdjeta — „co ci się stało że płaczesz tak rzewnie? . . Powiedz! może ci ja co pomogę?“

On podniósł łeb ku niej, milcząc, — popatrzył jój smutno w oczy, — wreszcie odpowiedział wzdy-
chając:

— „Bo mnie nie długo na zawsze porzucisz, — a ja cię kocham, Jadwisiu!“

Płocha dziewczucha wybuchła na to tak hucznym śmiechem, że o mało na ziemię nie padła; potwór, słysząc to, jęknął boleśnie i uciekł, skryć się gdzieś

w gęstej zarośli. — Próżno go potem wołała i gwizdała w srebrną piszczałkę, nie przyszedł ani tego, ani następnych dni wcale. Dopiero kiedy łódź kupca pojawiła się u brzegu, straszny potwór wyszedł z swego ukrycia, na powitanie i przyjęcie gościa. —

W dzień sam Jadwisinego odjazdu, straszny potwór, zastawszy ją samą w pokoju, tak do niej przemówił:

— „Moja ty śliczna Jadwisiu! jedziesz już daleko, za morze; że cię biedny ja nigdy niezobaczę! przebac mi, proszę, zuchwalstwo moje, żeś potwór taki śmiał pokochać ciebie, a wspomnij o mnie czasami. — Jeżeli kiedy, wspomniawszy, zechcesz wiedzieć co się tu ze mną dzieje, masz tu oto jabłko koralowe: jak będzie bladło, poznasz żeś chory, — jak całkiem pobieleje, że umieram z tęsknoty za tobą. A gdybyś kiedy odwiedzić mnie chciała, włóż ten żelazny pierścionek na palec i wnet znajdziesz się na tym brzegu. — Tym czasem, bywaj mi zdrowa! a chociaż po twoim odjeździe zostanę nieszczęśliwszy niżli dotąd byłem, dzięki ci przecież i za ten rok czasu który mi swoją dobrocią umiliłaś!“ . . .

Dziewczyna, chociaż śmiała się z miłości potwora, ze łzami wszelako przyjęła jego dary, i żegnając go serdecznie odwiedzić jeszcze przyrzekła.

Po całym długim roku samotnego wygnania, Jadwisia, wróciwszy do domu, nieposiadała się od

radości. — Każde znajome drzewo w polu musiała odwiedzić i] powitać jak brata, — z każdą skrzeczącą na płocie sroką, z każdą przelatującą po nad dziedzińcem wroną, zaczynała zaraz gawędę; cóż dopiero z pokoikiem swoim, z ptaszkiem, z kotkiem, pieskiem! . . . a z siostrą! a z przyjaciółkami! . . . zdało się jój że się nigdy dosyć nienawita i nienacieszy. — Warto było pokutować rok, żeby mieć potem tydzień takiego wesela!

Ale kiedy przeszły pierwsze chwile radośnego uniesienia i wszystko znowu powszedniem się jój stało, sama się sobie wydziwić nie mogła, że w domu ojca nieczuła się tak szczęśliwą, jak w pustym zamorskim zamku, — że z nikim czas jój tak błogo, mile i prędko nie mijał, jak z tamtą straszną poczwarą. A kiedy sobie wspomniała na powolność jego dla siebie, na dobroć i łagodność, — na jego powieści, to wesołe, to znów rzewne, a zawsze tak dziwnie piękne, — na te łzy jego i miłość bez nadziei: — westchnęła nieraz serdecznie nad biédnym potworem z nudy i miłości samotnie tam więdnącym, i często gęsto zaglądała do korälowego jabłuszka, zobaczyć jak się téż miéwa?

Jabłuszko co dzień stawało się bledsze, i Jadwisi co raz ciężéj było na sercu. — Naresćcie, jednego ranku, kiedy do niego otwarła, znalazła je całkiem białe.

— „Umiéra! dla mnie umiéra!“ krzyknęła za-

łośnie — „o ja nieszczęśliwa!“ A w tém wzrok jój padł na żelazny pierścionek, na sznurku pysznych bursztynów u szyi wiszący. Zerwała z całej siły sznurek, że aż paciorki posypały się do koła, a pierścień na palec włożyła.

W téj chwili zaćmiło się jój w oczach i w myśli, — wpadła niby w mdłości, niby w sen, w którym czuła że ją coś przez powietrze niesie Sama nie wiedziała jak długo to trwało, gdy się zbudziła nagle, na zielonój murawie, tuż pod murami znanego sobie zamczyska. Zerwawszy się, biegła do środka, wołając z całych piersi straszego potwora; lecz nikt się jój nieodzywał, tylko echa pustki podawały sobie w koło jój wyrazy.

Obiegłszy próżno wszystkie komnaty zamkowe, śpieszyła szukać do ogrodu. I oto tutaj, pod tą samą różą niebieską, gdzie jój miłość swoją wyznał, leżał biédny potwór, schudzony i wynędzniały, ze zamkniętymi oczami, bez tchu, zimny wszystek. — Jadwisia, łamiąc ręce, rzuciła się do niego z przeraźliwym krzykiem:

— „Zbudź się! zbudź! mój straszny potworze! ja tutaj jestem przy tobie! ... Zbudź się, a będę cię kochać, — będę twoją całe życie!“ ... wołała, i w żalu do kudłatego pyska przytuliwszy białe lica złożyła na nim gorące pocałowanie.

I wtém — o dziwy! — potwór ożyły zerwał się ze ziemi, — lecz już to nie był potwór straszny,

tylko piękny, choć troskę znędzniały młodzieniec! Jadwisia, nagle przemianą przerażona, aż odskoczyła od niego; ale on schwycił jej rękę i klękając przed nią, mówił:

— „Nie bój się, śliczna Jadwisiu! oto ja jestem ten sam straszny potwór, — teraz, miłością twoją, z zaklęcia straszego wybawiony król. Kiedyś mnie mogła kochać w tamtej brzydkiej skórze, kochajże teraz jakim w rzeczy jestem.“

I objawszy ją w pół ręką, przycisnął do ust jej usta w upojeniu rozkoszném całując bez końca. Jadwisia nieboga znosiła to cierpliwie, ze samej szczerzej litości: biedny król, myślała sobie, niecałował już tak dawno, że grzech by mu bronić się było!

A tymczasem w całym zamku roiło się od życia i gwaru. Kury piały po kurnikach, psy wyły radośnie w budach, konie po stajniach rżały, — zbudzeni z niewidzialnego zaklęcia dworzanie krzatali się na wszystkie strony.

— „Patrz, ileś dobrego uczyniła poświęceniem twojem!“ rzekł król, wyprowadziwszy dziewczynę z ogrodu: „ale to jeszcze nie wszystko.“

Z temi słowy wywiódł ją za bramę wjeżdżną, gdzie przed godziną jeszcze las dziki porastał: teraz na miejscu jego wznosiło się miasto wspaniałe, po którego ulicach weselące się przeciągały tłumy.

Za niedługo cała ludność miasta, z chorągwiami, wieńcami, bębniemi, trąbami, przyszła na zamkowy

podwórzec dziękować Jadwisi za wybawienie swoje, i rzuciła się jój pokotem do nóg, pieśni na cześć jój śpiewając. Jadwisi od niebiańskiej radości łązy całą twarz zalały, i padłszy na kolana dziękowała gorąco Bogu, że jój łaską swą tyle ludzi dozwolił wybawić z pod władzy złój mocy.

Nazajutrz złocisty okręt królewski odpłynął śpiesznie za morze, po kupca i starszą jego córkę, z zaprosinami na wesele. A kiedy szczęśliwie przybyli, co to było za wesele! Cztery tygodnie trwały gonitwy i łowy, na ziemi i na morzu, na koniach i na łodziach, dziwnych, do smoków podobnych. A co to były za ucztys w dzień w dzień! . . . wam sytym mówić nie warto, a mnie głodnemu byłby próżny żal.

Młody król i królowa żyli potem z sobą szczęśliwie i długo, — a jeżeli nie pomarli, to pewnie dotąd jeszcze żyją. —

Przypis do Straszego Potworu.

Powieść niniejsza, — jakkolwiek znajdowałem ją dość upowszechnioną, tak na Mazowszu jak i w Wielkopolsce, — jest u nas widocznie przynosią. Tak szczegóły jak i treść jój świadczą o tém.

Zaklęcia ludzi w rozmaite postaci i uwolnienie ich z pod tychże, są może najpospolitszym wątkiem naszych baśni; uwolnienie jednakże staje się zwyczajnie bądź męstwem, bądź dobrowolném poświęce-

niem, wytrwaniem w katuszach, lub dochowaniem tajemnicy przez wyswobadzającą osobę. — Nigdy, prócz tego jedyne go razu, nie jest ono dziełem samej miłości, — dziewiczego pocałunku. Romantyczne, rycerskie, czyli raczej kawalerskie, wyobrażenia podobne nie były u nas nigdy przyjętymi we wyższych nawet społeczeństwa kołach, — tém mniej u gminu istnieć mogły. — Za to w starożytnój ojczyźnie Normannów, owych ojców rycerstwa europejskiego, — u Ludów Skandynawii, — znajduje się wielka mnogość podobną ideę mających za sprężynę podań i ballad. Szczegół ten, że cała rzecz po za morzem gdzieś się dzieje, wskazuje wyraźnie przyjście z tamtąd do nas baśni. — Dla wskazania tego jój pochodzenia, położyłem téż za godło zwrotkę ballady skandynawskiej, podobne zupełnie zdarzenie opowiadającej. —

Szerokie upowszechnienie baśni między naszym Ludem, zdaje się mówić za bardzo dawném jój przy-swojeniem. —

Znajdek.

Baśń.

Śmierć i żona

Od Boga sądzona.

Przysłowie narodowe.

W czerwonym zamku, nad niebieską rzeką mieszkał stary jeden książę, ojciec syna jedynaka. Kiedy syn dorósł młodzieńca, siwy rodzic w rycerski gotował go zawód, a gdy widział do boju że mu wystąpić bez wstydu już można, ogłosił wielką wyprawę, wzywając komu w tém wola na warowny zamek swój. I wnet téż zbiegło się zewsząd wojowników co nie-miara; — każdy konno, każdy zbrojno, — i szerokim się obozem rozłożyli; ale się im leżeć dłuży, i niecierpliwie pytają, w którą stronę ciągnąć na bój?

Kazał tedy stary książę wynieść rozwitą chorągiew przed zgromadzone rycerze, — mężowie głośnym powitali ją okrzykiem, i ciekawemi patrząc oczyma; aż na raz powiał wiatr chłodny — rozwinał

czerwone fałdy i jak czerwonym płomieniem, powiał ku podlaskiej stronie. „Na pogany! na pogany!“ wrzasł wraz obóz cały, i rozbiegli się w rychłe gotować na krwawą drogę: ostrzą miecze, konie poją, w żelazne się zbroje stroją. — Zanim w drogę wyruszyli, ucztę żołnierską sprawili: dziesięciu wołów zabili, dziesięć beczek wytoczyli, i usiedli pod wrotami, wino, miód piją konwiami.

Nad brzegiem rzeki, po piaszczystej drodze szedł sobie dudarz wędrowny, siwy jak gołąb' staruszek; zobaczył podle zamku biesiadę wojacką, i poszedł tam z swoją dudą: zasiadł, zagrał im, zaśpiewał, — na bój krwawy ich zagrzewał; rycerze go uściskali, winem, miodem uraczali: — potem wziął im z ręki wróżycę, jak los będzie w boju służyć. I wróżył jednym szczęście, nieszczęście drugim, — jednym chwałę i plon wielki, drugim śmierć, rany i ciężką niewolę, jak sam wiedział, tak im mówił: i odchodzili od niego ci z nadzieją i pociechą, owi ze smutkiem i żalem. Aż wreszcie przyszli do wróżka dwaj najstarsi hetmanowie i kazali prorokować jako się im powieść miało. Pierwszemu powiedział starzec, że śmierć go w tej wojnie spotka, śmierć haniebna nie na polu, jedno na suchej gałęzi, i nie będzie miał pogrzebu, ale kruki ze wronami podziela się jego ciałem, kośćcami wilki drapieżne; drugiemu zaśię zwiastował, że wyjdzie szczęśliwy z bitwy i wróci do domu z niesłychanym łupem. — Gdy odeszli

hetmanowie, przyszedł młody syn książęcy; stary spojrział mu na dłonie:

— „Młody książę! idź w pokoju —
Zdrów i sławny wrócisz z boju.“ —

Uradowany książę, dał dziadkowi sztukę złota, ale nieodszedł od niego, i pytał o wtórą wróżbę: czy rychło dostanie żony — i kto taki mu sądzony?

— „Za rok od powrotu z wojny, ożenisz się, młody książę, i dostaniesz żonę młodą, urodziwą i cnotliwą; ale nie będzie to córka ani króla, ani księcia, ani też żadnego pana, jeno będzie to sierota znaleziona na śmiecisku.“

Roześmiał się głośno książę i zawołał do wróżbiarza:

— „Czyś ty głowę stracił, stary! zkadże tobie wróżba taka? Czyżem ja nie syn książęcy, czym nie młody i nie dzielny, bym miał taką pojąć żonę? Byłbym tylko zażądał, czy księżniczka czy królowna, wnet każda by moją była — a ty miasto nich, dajesz mi jakiegoś znajdka ze śmieci! — Powróć no raz jeszcze dziadku! widno nie dobrześ dopatrzył.“ —

— „Wiem ci ja, Panie! żeś ty syn książęcy, dzielny, młody, urodziwy, że ci królowna za żonę przystała, i każda by za cię chciała; przecież tak ci przeznaczono, że mieć będziesz za żonę sierotę bez rodu, na śmiecisku porzuconą. Moja wróżba nie zawodzi.“

Książę rozśmiał się na nowo, bo niewierzył słowom jego i wsiadł na swego cisaka. Wojsko w szyki się

sprawiło, — zatętniało, wyruszyło. Więcej znaki rozwinięte, błyszczą szyszaki stalone; ostre szabelki brząkają, rżą rumaki, trąby grają

* *

Przeminął miesiąc jeden, drugi i trzeci przeminął — pół roku czasu ubiegło, jak młody książę wyciągnął na pogany z ojców zamku, a dotąd ani ich widać, ani słyszeć o wojakach. Jak kamień w wodę, przepadli w lasach Polesia bez śladu. Stara matka co dnia prosi na kolanach o wieść dobrą, prosi o powrót swego jedynaka; stary ojciec stawiał czaty na wysokości zamkowej baszcie, dniem i nocą im przykazał patrzeć czy syn nie powraca — i niewierząc oczom czaty sam co dnia długie godziny stoi i czuwa, czy wracających nie dojrzy. Aż oto jednego razu widać nad zachodem słońca tuman wznosi się na drodze — coraz bliżej, coraz bliżej, rośnie ciągnąc się przez błonie, — widać już z poza kurzawy wojsko ciągnące z wyprawy! więcej znaki rozwinięte, błyszczą szyszaki stalone; ostre szabelki brząkają, — rżą koniki, rogi grają: — rycerze w zamek wjeżdżają.

Niezmierna radość była tedy w zamku — młody książę wrócił z plonem, z tysiącem jeńców zabranych; w boju sam własną ręką zabił wodza nieprzyjaciół, w jednej wyprawie starzej nabył sławy, a sam ni razu w walce nie szwankował, ni koń jego dostał rany, ni zszczerbiła mu się szabla. Stało się jak mu wróżył na wyjeździe dudarz stary. Ale nie tylko jemu

jednemu, wszystkie⁶ się starca sprawdziły prorocтва: jeden hetman wrócił z wojny, niesłychany łup wiodąc do domu, — drugi, raniony, wpadł poganom w ręce, a jako znali ile za skórę im zalał, mszcząc się, powiesili go na żykowym sznurze u krzywój gałęzi sosny; kruki i wrony oskubały ciało, kości głodne wilki zjadły.

Widząc wówczas młody książę tak spełnione wszystkie przepowiednie, wspomniawsobie oną wróżbę, że ma mieć żonę podrzutka bez rodu; a jako srodze był dumny swém księstwem, począł się bardzo frasować przyszłym losem. — Była zaś na dworze owym, młoda dziewczyna imieniem Marya, którą gdy była dziecięciem, znaleziono na śmieciisku pod zamkiem; wzięła do siebie sierotę dobrotliwa księżna matka i jako córkę chowała. Gdy dorosło owo dziewczę, tak cudną miało urodę, tak była dobra, skromna, a rozumna, że się oboje księstwo jakby do rodzonej córki przywiązało do wychowawicy, pieścili jak oko w głowie i nieba radzi by jęj przychyliłi. Młody książę téż ją kochał, jak gdyby własną swą siostrę; ale teraz jedną razą przyszło mu na myśl, że pewno ową sądzoną mu żoną będzie sierota Marya, — i razem na biedną dziewczynę zajął się tajemnym gniewem. Co spojrzał na nią, to za każdym razem srodzej coraz nienawidził, coraz to go bardziej bódła myśl, że ona ma być mu żoną; w złości zaklął się nareście, że na przekór wszystkim wró-

żkom i woli choćby niebieskiej, rze z tego nigdy nie będzie małżeństwa. Odtąd począł tylko myśleć, jakimby skrytym sposobem zbyć się nienawistnej sieroty; póty myślał, aż wymyślił. — Rozkazał tedy tajemnie wystawić na rzece czółn kryty, bez steru, masztu, i wiosła, a gdy stanął już gotowy, zanieść nań chleba i wina, i wszystkiego co tylko do życia potrzeba.

Jednego zatém poranka wziął za rękę biedną Maryą i niby téż to przechadzką, wyprowadził ją nad rzekę, pomiędzy gęste zarośla: tutaj stanął, klasnął w ręce — na znak wybiegli słudzy książęcia z zasadki, porwali zlekłą dziewczynę i nieśli do owój łodzi, a zamknawszy ją w pośrodku, drzwi zabijali gwoździami.

Ona niewiedząc co się wszystko znaczy, zaczęła wołać ze łzami:

— „Bracie kochany! ratuj mnie! ... Co ci ludzie ze mną robią.“

— „Pańskim syn ja, a nie brat twój, najdkupręklej ze śmieci! Dość ci się świecić po książęcym dworze — idź w świat gdzie cię wiatr poniesie!“ —

Nieszczęśliwa sierota zalała się łzami i poczęła łamać ręce; woda tymczasem rąco ją niosła — niosła dalej, coraz dalej, gdzieś tam w nieznajome strony.

* * *

Był jeden dzień, i była noc, i był drugi dzień — na drugą noc zaczął wiatr wiać wielki, rzeka się roz-

kołysała, i rzucała łodzią drewnianą to na tę, to na tę stronę, a dziewczyna struchlała modliła się już na śmierć. Wicher czółn pędził wprost na brzeg, i wpędził je pod koło pływającego młyniska, kędy bezpiecznie, jak w porcie, zostało aż do poranku. O szarym ranku parobek młynarski chce puścić kamień do mlenia: — darmo, koło ani ruszy; wychodzi patrzeć coby za przyczyna, aż patrzy: stoi pod młynem ogromna zabita skrzynia. W skok pobiegł dać znać młynarzowi, i przyszli obaj z siekierami w rękę, i jęli się odbijać zamknięte wieko. Niezmiernie się zadziwili, gdy znaleźli odbiwszy młodzieńca, strojną dziewczynę, i żegnając się wielkim krzyżem, nie wiedząc z kądby się wzięła, pytać poczęli kto była? Sierota uradowana, że natrafiła nareście na ludzi, rzuciła się ze łzami do nóg starego młynarza i szczerze wyznała wszystko; młynarz pocziwy ulitował się biednej jej doli, i wzięwszy do domu oddał pod opiekę żony. Im dłużej z niemi bawiła, tym bardziej oni lubowali w niej sobie, a że nie mieli nic dzieci, przybrali biedną Maryą za córkę; i znowu sierocie wróciły dnie błogie, bo choć to nie dwór książęcy, ale dom był dostatni i ludzki. Nie było się też bać czego, by ją książę miał tu znaleźć, bo młyn stał w środku lasu, zdaleka od dróg i ludzi: tak więc spokojna, wesoła, pędziła czas swój, biegając po lasach zielonych, łowiąc wędką rybki złote, szyjąc wzorzyste zasłony, bawiąc z gośćmi przyjezdnymi.

Dnia jednego o południu — pogoda była prześliczna, woda cicha jak zwierciadło gładką szybą uciekała, — młoda sierota siadła w lekką krypę, z czerwonej sobie chusteczki rozpieła żagle nad głową, i u brzegu się powożąc, zrywała lilje białe na wianek. Jedną razą koło młyna słyszy hałas, stukot kopyt, — spojrzy: z zielonego lasu jedzie myśliwców drużyna prosto do białego młyna; przodem, na dziarskim cisaku jedzie młodziś urodziwy.

Dziewczę, jak go zobaczyło, na pół od strachu skostniało; poznała młodego księcia, zawziętego na jej zgubę; zmiarkowała, że jeżeli znowu w ręce jego wpadnie, Bóg wie jaki los ją czeka, — więc co prędzej lekkim wiosłem odepchnęła się od brzegu, dając co siły tylko starczyło na drugą stronę rzeki szerokiej. Książę, skoro ją zobaczył z daleka, poznał natychmiast sierotę, a jako szczęśliwy wielce był, że się jej pozbył i nigdy widzieć się niespodziewał, zapalił się srogą złością i pieniąc zeskoczył z konia, wpadł do młyna, i łajając młynarza, pytał z kąd ma tę dziewczynę?

Młynarz na to opowiedział jak ją woda przypędziła pode koło jego młyna, ale nie mówił nic księciu, że wie o jego złej sprawie, którą wyrządził dziewczę. — Książę rozkazał czémprędzej kilku dworskim wpław przez wodę, i gonić na wszystkie strony uciekającą Maryą. Ale ona skoro tylko dobrała się na brzeg drugi, zamiast uciekać bitemi ściesz-

kami, spodziewając się pogoni, w bok czémprędzej uskoczyła; w najgłuchszej gęstwi olszyny, na bagnisku pełném trzciny, ukryła się, prosząc Boga, by ją od zawziętego nieprzyjaciela zachował. — Dworscy wpław rzekę przebyli, na brzeg rażno się zawzięli — jeden lewą, drugi prawą, każdy inną ścieżką ruszył w czwał; długo gonili, konie pogrzali, — długo po lesie szukali, o ostre głogi, o gęstą leszczynę podarli suknie zielone i wszystko na próżno! z niczém powrócili. —

Biédna sierota tymczasem, we strachu, aż do nocy w bagnisku mokrém przeczekała; o ciemnym zmroku wybiegła z trzciny i poszła najmniejszą ścieżką, ostremi krzemieniami białe nogi krwawiąc, gorzkim płaczem oczy łzawiąc.



I biegła tak tydzień cały ową ścieżką kamienistą, lasami nieprzebytymi, stronami nieznajomymi, nie spotykając żadnej żywej duszy, pijąc jasną wodę kryniczną, karmiąc się czarną borówką, malinami czerwonymi, kamionkami ziarnistymi, aż wyszła wreszcie na otwarte pole, na drogę zacienioną wonnemi lipami. Po nade drogą, na wzgórk, z po za muru wysokiego wyglądał ogród rozkoszny, — wiśnie, grusze, jabłka złote; — z za drzew czterema wieżami przezierał zamek bogaty, stolica księcia tych krajów. Na zamkowym, na krużganku siedzi dwa-

naście panien przecudownych, w białych sukniach, różanych wiankach; w ręku mają złote igły, na srebrne nici dzieją perły drogie i granaty i brylanty, po drogich szyją niemi złotogłowach; — wszystko to siostry rodzone, wszystko to córki książęce.

Słaba cała, podrapana, wygłodniała i spragniona przywlekła się do nich Marya, pokłoniła się pokornie i litościwie prosiła, by się nad nią zmiłowały i do służby swojej wzięły.

Księżniczki użaliły się nad biedną sierotą, nakarmiły — napoiły, balsamem rany zwilżyły, w nowe sukienki ubrały, aż kiedy przyszła do siebie z nędzy, zapytały coby umiała? Ona prosiła by jej pozwoliły haftować z sobą złociste kobierce; zadziwiły się księżniczki, z kądby taka umiejętność w ubożuchnej służebnej, ale dały jej na próbę krosna: ona na nich tak cudowne wzory zatém wydzierzgała, że wszystkie córki książęce pierwszeństwo jej przyznawały i ciekawie się badały, z kąd by była i los jaki przywiódł ją do takiej nędzy.

Marya tedy, na ich wolą, wiernie im opowiadała cokolwiek jej się zdarzyło; kiedy słów jej wysłuchały, szczerze nad nią się rozpłakały wszystkie siostr dwanaście, ciesząc ją przyjaźną mową i lepszymi nadziejami. A im dłużej wśród nich była, tym bardziej polubiły ją wszystkie i tak nareście pokochały, że za trzynastą siostrę wzięły ją pomiędzy siebie. — I znów oto powróciły dla Maryi jasne jej

czasy — biesiady pańskie, radość, uciechy; a jednak nieboga co dnia wspominała dobrą księżnę, co matką od dziecka jęj była i urodziwego jęj syna, — którego wprzód pokochała, sama niewiedząca o tém, nim złości jego doznała na sobie, i dotąd mimo krzywd ciężkich zapomnieć wcale nie mogła. — A godzina za godziną, i dzień za dniem ubiegały. . . .

Jednego dnia, ku wieczorowi, wszystkie trzynaście dziewcząt siedziało na krużganku zamkowym; wiły wianki z róż, z bławatków, wesołe piosnki śpiewały. — Razem na drodze sadzonej słyhać gwar, turkot, tętnienie: spojrzą, aż tu ku zamkowi wali się orszak, widno w zaloty. Idą złocone kolasy, konie drogiemi kryte makatami, sługi świeżo postrojone; na przodzie dorodnego orszaku młodzieży dwaj siwi swatowie jadą, — pomiędzy nimi, na cisawym koniu, rzeźwy i hoży zalotnik. Marya, skoro nań okiem rzuciła, krzykła z cicha: poznała wroga swojego, i poczęła prosić dziewice aby ją przed nim ukryły.

Księżniczki jęj przekładają, by się daremno nie bała, że u ojca ich, nikt nie ma mocy jęj zaszkodzić.

— „O moje kochane siostry! jeżeli on mnie tu zobaczy, on tak zawziął się mnie zgubić, że choć mnie zasłonicie od przemocy jawnej, on dokaże swego zdradą.“ —

Skryły ją tedy w ustronnych komnatach, a między sobą poprzysięgły zgodnie żadna nie być żoną

księcia, co tak strasznie wygnał z domu i prześladował zacięcie ukochaną ich siostrę.

Starzy książęta swatów w dom przyjęli, zalotów sąsiadowi swemu niebronili, byleby jeno ta, którą wybierze, zgodziła mu się ślubować. Wszystkie dwanaście sióstr, jedna w drugą, tak były wabne i hoże, że niebyło w czém wybierać; młody książę głowę stracił do której się ma obrócić: — wreście jął się ku najstarszej o kruczym włosie, o kruczém oku, z twarzą białą jako lilija. Mile do niej się uśmiechał, z pod oka zalotnie patrzył, gładkimi pochlebiał słowa; ona, jakby to nie do niej, niby niewidzi, niby niesłyszy. Nad wieczorem niecierpliwy książę prosił dziewczęcia o rękę; — czarnobrewa odmówiła. Próżno przechwalał się przed nią z męstwa, sławy i dóbr, — jakby groch na ścianę rzucał, marnie poszła jego mowa. — Młody Pan nigdy w życiu tego się niespodział, — złością cały poczerwieniał, ode wstydu drżał jak fébra; ale nakoniec pomyślał: „nie jedna, to druga! nie ty, będzie twoja siostra.“ — Będzie? — a kto wie, może i nie będzie! . . .

Na drugi dzień począł się zalecać młodszej siostrze, jasnowłosej, z niebieskiem jak bławatek okiem, o rumianej jak krew twarzy. Sypie jęj pochwał tysiące, za rączkę kryjomo ściska, oczyma zawraca, wzdycha; ona, niby nierozumie, patrzy mu bystro w oczy, śmieje się głośno i żartami ciska. Było tego

przez dzień cały; wieczorem księżę poprosił o rękę, złote obiecywał góry, cudne stroje, śliczne muzyki, całe życie uciech pełne. Próżno wszystko! . . jasnowłosa ze śmiechem podziękowała za jego życzliwe chęci, wymawiała się że nigdy rodziców porzucić niechce, ale radziła szczęścia szukać u kogo innego. Księżę ze śmiertelnego gniewu ledwie się posiadał, — wszakże usłuchał jej rady i został w zamku na trzeci dzień.

Jak zeszedł pierwszy i drugi, tak zeszedł dzień trzeci, czwarty i piąty. . . Dwanaście dni całe młody zalotnik siedział w zamku, z kolei każdą siostrę prosząc w dozogonną przyjaźń; z kolei wszystkie mu odmawiały. Dnia dwónastego nareście, nie żegnając się, w okropnej furii, wybiegł ze zamku: wskoczył na cisaka swego, wbił mu w bok całe ostrogi, aż krew z bieguna bryzgnęła, i nie patrząc na nikogo, klnąc, pędził drogą, którą przybył; za nim swaty sfrasowane i drużyna zadziwiona.

* * *

Pół drogi nieujechali, kiedy wśród czarnego lasu księżę nagle wstrzymał konia i wszyscy za nim z siodeł zesiedli. — W pośrodku lasu, około drogi, był tam kościół w pół zwalony, a przy nim mieszkał ubogi pustelnik; przy tym kościele teraz, za rozkazem pana, orszak rozłożył się taborem. Dziwno wszystkim

bardzo było, co młody czynić tu myśli; alic wnet się dowiedzieli.

Książę obiecał rodzicom powrócić do dom z synową, przed rówienniki swoimi przechwalał się z przyszłej żony, z księżniczki urodziwej sąsiedniego państwa; — teraz miałybyż z niczém wrócić? na pośmiech i urąganie! . . Zaklął się na czarta z piekła, że nie próżno w drogę jeździł, dwanaście dni w zamku strawił. .

— „Po woli, czy po niewoli“ — krzyknął — „musi być jedną mą żoną!“ — Posłał tedy zbrojne sługi, surowo im nakazując, żeby się nie ważyli powracać bez wykradzonej której z cór książęcych; a sam, wśród lasu, w taborze, czekał zdarzonej oblubienicy. —

Sługi poszły: ciemnym zmrokiem w krzakach konie zataili, sami po sznurach przeszli mur zamkowy i zaczaili się w ogrodzie. — Właśnie w onczas Marya nieboga, szczęśliwa że nareście wydostać się mogła z ukrycia, chodziła przechadzką, bezpieczna o siebie. Zadumana szła nad stawem, patrząc na gwiazdy złociste, odbite w wodzie milczącej, aż niewiedząc zbliżyła się do gęstwiny, gdzie się książęce sługi skryły. Razem z za krzaków wyskoczyło ich trzech i nim krzyknąć zdążyła twarz chustkami jęj zakryli, — pochwycili ją na ręce, rącho za mur się przedarli, — wskoczyli na lotne konie i do lasu pogonili. O północy przylecieli do książęcego taboru.

W starym kościele już wszystko było gotowe do ślubu: pustelnik w stule stał przy ołtarzu, — obok drewnianego krzyża migotały się słabo dwie tlejące lampy; — przed kościołem zaprzężona kolasa czekała na państwa młodych. — Na tentent sług wracających, młody książę skoczył na dwór, porwał z ich rąku dziewicę i do kościoła prowadził; i miłośnemi zaklinając prośby, to znowu groźbami strasząc, drżącą zawlókł do ołtarza. Marya po głosie natychmiast poznała swego oblubieńca, — więc strwożona, pomięszana, sama niewiedząc co się z nią dzieje, powtarzała za księdzem przysięgi słowa. Ksiądz związał im ręce stułą, zmienił pierścionki, pobłogosławił; książę rzucił mu trzos pełny, i objawszy kibić żony, kojąc jej trwożę, wiódł ją do powozu. Sam wsiadł na rączego konia i razem z zbrojną drużyną wiódł ją ku domowi ojców. —

* * *

Stary książę, stara matka, skoro nazajutrz z porankiem zobaczyli powracającego syna, wybiegli z solą i chlebem powitać w progu synową. Zagrzmiały kotły i bębny, zagrała huczna kapela. Młody pan skoczył z konia, otworzył żwawo kolasę, podał rękę młodej żonie, przed rodziców oczyma wysadził — : i stanął cały jak wryty, poznając sierotę Maryą, którą mu wróżek stary przepowiedział, a którą myślał na wieki że już z oczu stracił. Ona tymczasem ze łzami

rzuciła się do nóg starym, teraz powtórnyim rodzicom swoim. Ci, miawszy ją już dawno za straconą, gorzko nieraz opłakawszy, teraz odzyskaną znów z radością witali, dziękując Bogu i synowi swemu że ją przywiódł im synową.

Pan młody nie mógł sam z sobą pomiarkować się, co robić. Widział szczęście rodziców starych, wesełających się z zaślubin jego, — widział że próżno wszelkiemi sposoby chciał iść na przekór swemu przeznaczeniu i że cudowném zdarzeniem stało się przecież co miało stać: a więc zrzucił z serca pychę, uściskał swą piękną żonkę, za wszystko złe co kiedy zrządził jęj przeprosił; ona chętnie darowała i zapomniała wszystkiego, szczęśliwa losem który dziś jęj Bóg dał.

Szli zatém wszyscy uradowani na wysoki dwór książęcy, obchodzić gody weselne. Posłaniec z wieścią o ślubie bięł do sąsiednego państwa, zaprosić książęcą rodzinę na ucztę, gonitwy, łowy: dwanaście sióstr urodziwych, z ojcem starym, przyjechało, winszując parze młodęj i drogie przynosząc dary. — Dziesięć niedziel tam gościli, dziesięć niedziel wesełili, — wreście do dom powrócili. — Młoda para, w długie lata, żyła szczęśnie, w czci u świata. —

Przypis do Znajdka.

Baśń ta, o ile mi wiadomo dotąd, jedynie w Mazowszu znana, — jest może jedyną u Ludu naszego, co bez domieszania tradycyjnych nadprzyrodzoności dzieje się w granicach ścisłego prawdopodobieństwa. — Jest to raczej powieść historyczna niż baśń. Zdaje się też być osnowaną na prawdziwem zdarzeniu i mieścić w sobie rzetelnie historyczne wzmianki.

Tak wzmianka o poganach, siedzących gdzieś w podlaskich stronach, jest oczywiście wspomnieniem Jadźwingów onych, groźnych przez czas długi, wreście ze szczerem wytępionych, — których nazwanie zaginęło wśród Ludu, pamięć jednak została w podaniu nie jednem. Szczegół ten może być także wskazówką do uznania znakomitęj dawności powieści, — gdyż, jak wiadomo, pod panowaniem Bolesława wstydliwego i Leszka czarnego, w drugiej połowie XIII^o wieku, Jadźwingowie ze szczerem już starci zostali.

Wróżba z rozwiniętej na wolą wiatru chorągwi, w którą stronę by się zwrócić z przygotowaną wyprawą, może być nie tylko poetycznym i malowniczym wieku owego obrazem, ale istotnego zwyczaju także wspomnieniem; przynajmniej upoważnia do podobnego mniemania wysokie i religijne prawie znaczenie, do chorągwi kiedyś przywiązane. — Niektóre dane, znaczenie takie chorągwi odgadywać dozwala-

jące, zebrał K. W. Wójcicki (Obrazy starodawne) i tak:

„W rękopisie króloworskim, widzimy jak wojownicy już uderzają na nieprzyjaciół pod swojemi chorągwiami, już je na znak zwycięstwa zatykają na zdobytych murach. —

„W pieśni co opiewa zwycięstwo Jarosława nad Tatarami pod Ołomuńcem, z XII^o wieku, mężny Wsześław zachęcając swoich, wołając uderza mieczem w srebrną tarczę i roztacza chorągiew po nad głową. —

„Rozwinięcie sztandaru oznaczało bliską wyprawę, lub niezwłócną bitwę; było to zwyczajem u nas, a od dawna u wszystkich pokoleń słowiańskich, — co dostrzegamy i w starych pieśniach Serbów. —

„Bartosz Paprocki, opisując wyprawę Jagiełły na Krzyżaki, mówi: A gdy wjechał w ziemię pruską, wziął w rękę chorągiew wielką, na której był wymalowany orzeł biały

„Jak rozwinięcie sztandaru oznaczało gotowość do walki, tak w czasie klęski lub odwrotu z pola, zwiniano chorągiew. Ten zwyczaj zachowało nam jeszcze starożytne przysłowie: zwinąć chorągiewkę.“ —

Kroniki z resztą dostarczają wyraźniejszych jeszcze o charakterze szacownym chorągwi świadectw. —

Dwaj towarzysze.

Baśń.

Jak poczniesz,

Tak spoczniesz.

Przysłowie.

Od Krakowa do Warszawy wędrowało społem dwu młodych czeladzi, stolarzy, po drodze zarabiając sobie, gdzie się zdarzyło . .

Jeden z nich, Wawrzyn na imię, doskonale umiał swoją sztukę; ale co drugi, Franek, to ot! Boże zmiłuj się! — Nie dziw że jak gdzie zaszli do miasta lub dworu, Wawrzynowi dostawała się robota do pańskich komnat lub kościołów, kiedy Franek musiał żydom po karczmach naprawiać stoły i ławy. To też kiedy mieszek pierwszego co raz bardziej pęczniał, we drugiego kalétce grosz z groszem ledwie się spotkał. Biedy jednakże w podróży niedoznał, bo uprzejmy towarzysz dbał o niego jak o rodzonego brata.

Mimo to, niewdzięczny partacz wrzał przeciw niemu zazdrością i gniewem; bo mu się zdawało, że wszystko co Wawrzyn zarabia, to jakby jemu samemu z rąk wydarł. Przemyślał tedy tylko jako by się na nim zemścić i z drogi sobie usunąć. Zabić, nie mógł się odważyć, ale umyślił sobie go oślepić. — Jednego tedy dnia, wśród wędrówki, wsypał w obiad ufnego towarzysza ziele usypiające, które na to już gdzieś u Węgry oléjkarza kupił.

Po obiedzie, niedaleko jeszcze uszli, kiedy Wawrzyn zaczął się skarżyć na niewycieżoną śpiączkę.

— „Ha! zwyczajnie oto niedospałeś widać w nocy twojej miarki!“ odrzekł chytry Franek. „Mnie też jakoś do północks w karczmie się zabałamuciło, że chętnie dospałbym teraz. Ot, połóżmy się gdzie w krzaki; dyć nam nic pilnego w drodze.“

Nie bardzo daleko od gościńca, widać było niewielki pagórek, bajraczkami sosnowemi porośły, na szczycie którego stała szubienica. Nie było to miłe miejsce do spoczynku, ale Wawrzyn, ledwie już oczy powłócząc, dał się tam zaprowadzić, — a ległszy pod krzakiem choiny zasnął jak nieżywy.

Niegodziwy Franek, wypróbowałszy wpiérw czy śpiący zbudzić się nie da, wykłnuł mu wtedy obie żrenice w oczach, że całkiem wyciekły; a zabrawszy oślepiionemu ładowny trzosik, poszedł dalej w swoją drogę. —

Niebogi Wawrzyn spał tymczasem, tak długo, że

gdy się nareście zbudził, było już dawno po zachodzie słońca. Niewidząc nic w koło siebie, myślał z razu że to taka ćma; ale przecierając oczy poczuł w źrenicach ból dolegliwy i wylęknięty zawołał:

— „Franku, mój bracie! coś ze mną złe. Oczy mnie bolą i nic nie widzę, — bodaj czy nieoślepie. Mów no, czy i tobie tak ciemno?“

Nie słysząc odpowiedzi, począł wołać głośniejszą i rękoma szukać w koło, — ale towarzysza nie było. Chcąc się raz wreście przekonać co się z nim dzieje, sięgnął ręką po krzesiwo i zaczął krzesać ogień: posypały się z krzemienia skry rzesiste, — czuł jak mu parząc padały na ręce. — ale w oczach zostało ciemno jak w grobie! . . . Jęknął srodze biedny chłopiec, uznając kaléctwo swoje; — a gdy w kieszeniach napróżno trzосу swojego szukał, domyślił się na ostatek kto mu taki los zgotował. — Nie kłął jednak, nie pomstował, tylko padłszy twarzą na ziemię prosił Boga z wszystkiój duszy o opiekę nad sobą, ślepym kaléką i żebrakiem. . . .

Pomodliwszy się, chciał wołać o pomoc, myśląc że kto gościńcem idący posłyszysz; ale po zimnej rosie noc czując, bał się zwabić do siebie jakich niegodziwców, coby go jeszcze z szat zwlekli. Skuliwszy się tedy od zimna, jak jész, pod krzakiem, milcząc, doczekiwał dnia.

Jedną razą dało się słyszeć nad nim krakanie kruka i szum skrzydeł, — a za niedłuzuchną chwilę

dwa znów kruki nadleciały. — Nie były to prawe ptaki, tylko trzej źli czarodzieje, którzy się na radę zlecieli. Ku swój okropnej trwodze posłyszał Wawrzyn, jak się ze sobą w imię czarta witali i zaczęli się przechwalać co który złego zrobił lub umyślił.

— „Ja, (mówił pierwszy) podmówiłem jednego młodego chłopca, że starego ojca oślepiwszy, wywiózł do miasta na żebry. . . Używa teraz synalek, ani się domyślając jak niedługo biés mu karku nakręci; — a stary ślėpiec, wyciągając rękę, szepce paciérze pod kościołem, zamiast co by mu przyjść pod tę szubienicę, przemyć sobie oczy w tém źródelku i odzyskać wzrok wydarty! Ale ci głupi ludziska to nie wiedzą nic a nic.“

— „Oj! to masz prawdę mój bratku“ — przemówił drugi, „ci ludzie, to prawe osły. — Ja oto, że mnie raz w Radomiu chłopaki psami poszczuli, zamówiłem za to źródło co im wody dostarczało, że całkiem pod ziemię się skryło. Mieszczanie kopią a kopią, płacą a płacą, blisko miesiąc już cały, — ale to wszystko próżno. A żeby się domyślili i rzucili do studni białego koguta, to jakby lecąc ze strachu zapiał, zaraz by woda wytrysła!“ —

— „Albo ja“ — odezwał się trzeci — „na córkę pańską w Grochowicach, co za mnie nie chciała wyjść, nasłałem żabę ropuchę, co ją do śmierci zniweczy, bo ją codzień w nocy ssie. Panna wiednieje

z każdym dniem, ojciec rwie włosy z żalu i zwozi lekarzy ze świata całego, obiecuje złote góry za wy-léczenie, — ale nic z tego nie będzie. Przecież osły te, żeby oderwały podłogę pod jej łóżkiem i złapali żabę, uwarzyli z niej rosół i chorą wypić dali, wstała by za jeden dzień zdrowiutka!“ —

Jeszcze coś ze sobą pogwarzyli, czego Wawrzyn nie dosłyszał, a wreście ozwał się któryś:

— „Czas nam już wracać do dom, ranek nie za-długo. Do widzenia w przyszły nów!“

— „Do widzenia! . . do widzenia! . . . odpowie-dzieli dwaj drudzy. I znowu stawszy się krukami, z wrzaskiem i szumem rozlecieli się w swoje strony. —

Wawrzyn, przeczekawszy dobrze, ażby przekłęci daleko odlecieli, począł czołgać się dookoła pagórka, szukając cudownego źródła, o którym od nich posłyszał. Jakoż natrafił na nie, — a skoro przemył oczy wodą, ku radości niewymownej, odzyskał wzrok utracony. Padł więc w obliczu wscho-dzącego w téj chwili słońca na kolana, serdeczną modlitwą błogosławiąc Boga, który tak rychło nad niedolą się jego ulitował. — Ale przypomniawszy sobie co przekłęci powiadali o nieszczęśliwém mie-scie bez wody i chorą pannie w Grochowicach, po-myślał że go Opatrzność umyślnie tu sprowadziła, żeby złych sprawy popsował. Schwycił się tedy co ducha w drogę; a że było bliżej do Radomia, tam naprzód zmierzał.

W Radomiu zastał płacz i zmartwienie powszechne, bo ludzie z braku wody poczęli już mrzecz jak muchy i trza się było bać powietrza. Co tylko mogło wziąć łopatę do ręki, kopało dzień i noc studnię, ale wody ani śladu nie było. — Kiedy Wawrzyn u burmistrza oświadczył się, że źródło miastu powróci, stała się radość niezmierna między ludźmi strapionemi. Cóż dopiero gdy obietnicy szczęśliwie dokonał!... wszyscy jak zbawicielowi dziękowali mu i na rękę go nosili, prosząc żeby sam powiedział jakiej tylko zażąda nagrody. — Pocciwy chłopak, niezapracowawszy, nic brać nie chciał, lecz próżny był wszystek jego upór, mieszczenie łzami swojemi zmusili go wreszcie wziąć tysiąc talarów, które dla tego co wodę przywróci w ratuszu przeznaczone leżały.

Pożegnawszy się z wdzięcznymi Radomianami i dla pośpiechu kupiwszy konia, jechał Wawrzyn śpiesznie do Grochowic, ratować więdnącą dziewczynę. — Zastał ojca śmiertelnie strapionego, że już wszyscy lekarze, niewiedząc co począć, opuścili jego córkę, a samą chorą tak już zbiedzoną, że istny trup niby w łóżku leżała. — Co ducha zwołany cieśla oderwał podłogę pod łóżem. — i patrzcie! siedziała tam szkaradna ropucha, jak kafel z pieca ogromna. Wawrzyn zabił ją i rozgotował doskonale na rosół, który chorą w usta przez lejek wlało. Wypiwszy go, usnęła twardo i spała przez dobę całą, aż stary ojciec bać się już zaczynał. Lecz na drugi dzień

przed południem, panna zbudziła się ze snu, wesoła, rumiana i zdrowa, jakby nigdy nie słabowała.

Pan, ojciec uratowanój jedynaczki, o mało do nóg nieupadł biédnemu stolarczykowi i niewiedział jak go opłacić; Wawrzyn przecież, pomny że Bóg mu już dał zyskać tyle, zaklął się że grosza niewęźmie. — Stare pocziwe panisko niemogło znów tego przemieść, żeby tak wielkiego dobroczyńcę bez nagrody pozostawić (bo wtedy był inny świat niż dzisiaj); niewiedząc tedy innego sposobu, ofiarował mu swoją ukochaną córkę za żonę. — To już była za wielka pokusa na Wawrzyna, — bo dziewczyna była istny obrazek i wraziła mu się w serce tak głęboko, że we śnie i na jawie zdało się jakoby mu w oczach stała. Kiedy wdzięczna wyzdrowiona rada przystała wziąć pięknego chłopca, ułożono tedy czas ślubu. — Tymczasem młody narzeczony jechał do Warszawy przyodziać się chędogo i dla swój przyszłej nakupić co było trzeba. —

Kiedy przybywszy do Warszawy zaszedł z drogi do gospody, pierwszy co mu wpadł pod oczy był niegodziwy Franek, który z kilką hulakami trwonił tu na pijatyce porwane oślepionemu koledze pieniądze. — Wawrzyn siadł sobie na stronie, pijąc cicho swoją szklanke miodu. Franek, chociaż już nieco podpiły, poznał jednak swego towarzysza; niedowierzając przecież swoim oczom, wstał i począł go obchodzić, przyglądając się mu zyzem.

— „Cóż mi się tak przyglądasz?“ poszepnął mu na ucho Wawrzyn, wstając z za stołu. „Ja to jestem ów towarzysz twój, któremuś niegodziwce wydarł niewinnie wzrok i zrabował grosz zapracowany.“

— „A nu, tak!“ odpowiedział Franek, bezczelnie w boki się ująwszy. „Wykłułem ci te śliczne piwne ślępki . . . ale widzę, jak we wszystkim, tak i w tém biés ci dopomógł. Jeżeli chcesz, pozywaj mnie! zjesz djabła kto ci uwierzy.“

— „O zatwardziały człowieku! niemyślę ja cię pozywać, tylko chciałbym dla twój duszy, żebyś żałował tego coś mi zrobił. — Mnie, jako widzisz, żadna krzywda złąd nieprzyszła, — i samać to Opatrzność dozwoliła ci pewnie dopełnić na mnie téj zbrodni, dla mego i drugih dobra.“

Tu Wawrzyn opowiedział mu wszystko wiernie jak się stało: podsłuchaną złych czarodziejów naradę, swoje cudowne wyléczenie ze ślepoty, co potem dobrego sprawił i jako został nagrodzon. — Brzydki Franek dziw że słysząc to nierozpukł się ze zazdrości. Gdyby mógł zabić Wawrzyua i wleść w jego skórę, byłby to zapewne zrobił. Niemogąc mu przecież zaszkodzić i widząc go teraz panem, obyczajem podłych ludzi, upokorzył się przed nim, żałując wrzekomo swój niegodziwości a ciesząc się z dobrego końca, ku któremu Bóg ją obrócił. — W duchu tymczasem pomyślał sobie iść w noc na no-

wiu pod szubienicę oną i wysłuchawszy co czarodzieje uradzą, obrócić to na swój użytek.

— „Tylko nie będę taki głupi, jak ty“ — myślał — „żeby coś tóż wziąć, co zapłaca! O nie! będę drzeć co się da z kogo.“ —

Z tém postanowieniem pożegnawszy Wawrzyną, że nów już był nie daleko, szedł zaraz nająć podwodę, którą zajechał aż do znanej karczmy, gdzie towarzyszowi drogi zadał usypiającego ziela.

Przeczekawszy w niej dzień cały, w samą noc nowiu wyszedł skrycie, równo z mrokiem, i przed północą stanął pod szubienicą. Ukryty w najgęstszym krzaku choinowym, wyczekiwał niecierpliwie przybycia trzech kruków, kłapiąc zębami od chłodu i od obawy, bo coś jakby mu szeptało że mu ta chciwość na złe wyjdzie. Możeby dłużej nie wytrzymał i wszystkich zysków zrzekłszy się uciekł; alie w tém zaszumiało w górze, i kruk czarny, z przeraźliwym krzykiem, padł pod szubienicą. — Za małą chwilkę zjawił się drugi i trzeci, — a wtedy z kruków stanęli trzej żywi ludzie.

Franek nadstawił chciwie ucha, żeby ni słowa z ich tajemnic nie stracić; lecz na jego utrapienie, powitawszy się swoim obyczajem, cicho tylko coś szeptać poczęli. Nakoniec odezwał się jeden:

— „Tak, niezawodnie podsłuchał nas ktoś, i pomięszał nasze sprawy. Trzeba dobrze przejrzyć wszędzie czy gdzie i dziś się niezaczaił!“

Jakoż wnet rzucili się szukać i znaleźli drżącego Franka.

— „Ha! tuś to, ciekawy ptaszku? Czekaj będziesz miał za swoje!“ wykrzyknęli radośnie trzej przeklętnicy. — Próżno się im pachołczysko zaklinało że raz pierwszy tu jest dopiero, próżno przyrzekał wskazać im Wawrzyna, żeby się na nim zemścili.

— „Żywo go roszarpać w sztuki!“ krzyknął któryś i oto z trzech ludzi znów się stały kruki, — które rzuciwszy się na Franka, dziobami i pazurami na miejscu go rozerwały. —

Tak skończył podstępny urwisz brzydkie życie swoje!

Pocziwy Wawrzyn nie zadługo potem ożenił się z pańską córką i w łasce bożej żył z nią szczęśliwie i długo.

Przypis.

Porównać: w Szląskich klechdach, w Przyjacielu Ludu, z 1846. r. (Numer 13), pod napisem: Zły brat. —

Także w zbiorze Łużycko-Serbskich Pjeśniczek, przez Haupta i Smolerja, (T. II.) p. t.: Prawo zostanie prawem.

Strzyga.

Baśń.

Działo się za króla Goździka . . .

Przysłowie.

Szedł sobie biedny sierota w świat, środkiem cieni-
stego lasu, po bladym brzasku porannym . . . Docho-
dząc wąską ścieżką wielkiego gościńca, posłyszał w
krzakach szamotanie i głos jękliwy, litości proszący.
Skradłszy się chyłkiem bliżej miejsca ządł głos wy-
chodził, ujrzał sędziwego starca przywiązanego do
sośni, któremu straszny drab silił się oczy wyłupić.
Staruszek zwiędłemi rękoma jak mógł zasłaniał źre-
nice; ale silny hultaj schwycił mu nareście obie ręce,
związawszy je powrozem do drzewa na pewne już
godził w twarz bezbroną nożem, — gdy w tém
sierota z swego ukrycia wyskoczył, szybko porwał
miecz draba na ziemi leżący i łeb mu na wpół rozpła-

tał. Z przekleństwem upadł na ziemię złoczyńca i ducha z krwią czarną wyzionął.

Kiedy chłopiec powrozy staruszka rozerznął, ten mu serdecznie dziękował. „Bóg ci stokrotnie zapłaci! moje dziecko, żeś mi tę trochę boskiego światła ocalił; ten bezbożnik chciał mnie oślepić, żem go trafiwszy w zasadzce, na podróży dybiącego, do pokuty za grzechy przywodził. — Ale Bóg z tym, kto jest z Bogiem, — i oto zesłał mi ciebie w sam czas. — Jakże ci rzekają, moje dziecię? i gdzie to idziesz tak w czas?”

— „Marcin mi rzekają, ojczy! . . . a idę, ot tak w świat sobie, gdzie mię Pan Bóg zaprowadzi. Nie mam matki, ani ojca, — jak psem mną ludzie poniewierali, — może gdzie Bóg da znaleźć lepiej.“ —

— „No, mój Marcinie“ — rzekł starzec — „toć pójdziemy z sobą razem, aż ci Bóg da gdzie znaleźć przytulenie. Może ci gdzie się odwzięczę za twoją dzisiejszą usługę. Wprawdzie sam jestem tylko dziad ubogi, litości ludzkiej proszący, — ale widziało się wiele, wiele na świecie się żyło, — dobra rada, mój chłopaku, nieraz lepsza złota.“ —

To mówiąc, dał Marcinowi nieść torby swoje, i poszli razem gościńcem, śpiewając głośno o opiece boskiej, — tak serdecznie, że wszystkie ptaszki na drzewach wtórzyć im zaczęły.

Niezdługo wyszli z lasu, na bujne pszeniczne pola, i ujrzeli nieopodal, na wzgórzu, miasto czer-

wone, nad którym wieża kościelna, od promieni wschodzącego słońca, jasną blachą jak złota korona świeciła. Za godzinę przyszli pod same mury, przeszli most nad przekopem i warowną wieżą i stanęli na ulicy, uglądając gdzie gospody. Nie daleko też ujrzeli zieloną wiechę sosnową nad wrotami, uprzemie z wiatrem im się kłaniającą, i weszli obaj do izby. — Pozdrowili Pana Boga, — kazali sobie zwaryć piwa (bo ranek majowy był kaducznie chłodny), a tymczasem siadłszy za stołem przekąsali chleb z sérem z dziadowskiego worka.

Za niedługą chwilę dało się słyszeć na ulicy bicie bębna i granie trąby, zmieszane z tętetem koni i gwarem biegnącego tłumu. Wszyscy co byli w karczmie rzucili się do otwartego okna, i nasz Marcin też za nimi, patrząc ciekawie przez głowy.

Ulicą, wśród natłoku chłopców i gawiedzi, jechali naprzód dobosz i trębacz, a za nimi woźny królewski. Stanąwszy na rogu ulicy, bęben i trąba unikiły, a woźny, wznosząc głos zawołał:

— „Najmiłościwszy król Gwoździk, nasz ojciec i pan, wszystkie swe miłe dzieci i poddane uprzejmém sercem pozdrawia, a to przez usta moje ogłasza: że ktoby się znalazł taki; coby zaklętą królowną w kościele farnym wybawił, w królewskiej Jego wdzięczności odbierze wszelkie zaszczyty i nagrody, choćby pół królestwa żądał. To Jego Miłość królewskiém swém słowem i przysięgą, przed ludźmi i Bogiem za-

pewnia. Ktoby więc chciał się podjąć téj przysługi, o każdej chwili znajdzie posłuchanie łaskawe u Jego Królewskiej Mości.“ —

Bęben i trąba ozwały się znowu, i cały orszak powoli odciągnął w boczną ulicę.

W karczmie, między przytomnymi, wszczął się gwar, rozprawy i spory: znajdzie się li kto tak zu-chwały, żeby się kusić o królewską nagrodę, lub nie? — Po długiéj wrzawie zgodzili się wreście wszyscy na jedno, — że nikt nie będzie tak głupi leżć sam w paszczę strasznej strydy.

Dziadek z Marcinem przysłuchiwali się tym wszystkim rozmowom, niby niemieckiemu kazaniu; dopiero kiedy sam karczmarz postawił im na stół piwo, chłopiec zaczął go się prosić, żeby im zechciał powiedzieć, co to za zaklęta królowna, której się wszyscy tak boją? Karczmarzowi, zwyczajnie gadule, była to woda na koło; poprawił czapeczkę na bok i siadając na ławie począł rozpowiadać:

— „Ho! moi ludzie! widać żeście z dalekiej jakiejś Ukrainy, kiedy nic nie wiecie; tu u nas kraj cały dziwu tego pełny. Ale nikt pewnie nie mógłby wam tak dokumentnie opowiedzieć jak ja.

„Otóż, trzeba wam wiedzieć, że nasz król (daj mu Bóg zdrowie i pociechę), królewiczem jeszcze będąc, pokochał się serdeczną miłością w rodzeniutkiej swojej siostrze. Dopóki ojciec, nieboszczyk stary król, żył, chowałić w największej skrytości swą miłość;

aleć jak skoro po śmierci ojca król młody objął koronę, wyszło szydło z worka na jaw. — Biskupi, zwyczajnie królowi, dali się łatwo przemówić i poślubili grzeczny związek. Oj! bo że grzeczny przekonał się potem król biedny i świat wszystek.

„W dziesięć miesięcy po królewskim ślubie zapowiedziano miastu całemu bliskie rozwiązanie młodej królowej. Na wszystkich bramach i wieżach siedzieli trębacze i cymbaliści, zwiastować huczną muzyką przyjście na świat królewskiego dziecięcia, — po rynkach stały na słupach beczki z winem, czekając na odetkanie, — w zamkowym ogrodzie wznosiły się stosy smolne, do zapalenia na znak radośny gotowe. — Aliści zamiast radości spodziewanej, nastąpił smutek i lament.

„Na dziw i trwogę przytomnych przy sobie, królowa wydała na świat córkę, — czarną jak węgiel, z szeroką od ucha do ucha paszczą, w której ogromne ostre kły sterczały, z pazurami u rąk i nóg, jak niedźwiedzie szpony. Król łamał ręce i łkał, — królowa zapadła w mdłości, z których już się, na swoje szczęście, niezbudziła, — lekarze zbiegłszy się do koła dziecka zaczęli się kłócić po łacinie W tém, na domiar powszechnego dziwu, strasydło urodzone ozwało się w te słowa: „Królu, mój ojczy, słuchaj mnie! za grzeczny twój z siostrą związek, otom ja w żywocie matki przekłeta. Za chwilę umrę. Dajże mi zrobić trumnę, wielką jak dla starego czło-

wieka, i pochowaj w królewskim grobie pod kościołem. A jakom z winy twojej potępiona, tak mi tu przysiąż na Boga i zbawienie twoje, że od dnia mego pogrzebu co noc w kościele będzie żywy człowiek. To jedyna nadzieja dla mnie nieszczęśliwej, że z zaklęcia zbawioną być kiedy mogę.“

„Strapiony i struchlały król, przysiągł: i w téjże chwili straszne owo dziecko skonało. — Podług jég woli, pochowano nieszczęsną królownę, w wielkiej trumnie, pod farnym kościołem, w sklepach gdzie leży królewska rodzina, — obok matki, która w połogu zmarła.

„W nocy po pogrzebie król, wierny swój przysiędze, postawić kazał w kościele na straży żołnierza. Kiedy nazajutrz rano chciano go zmienić, nieznaleziono go wcale; wszyscy to jednak tłómaczyli sobie snadnie, że zdjęty trwogą uciekł z kościoła i z miasta. — Na drugą noc stawiono drugiego, — ale i z tym było jak z pierwszym. Za pierwszym i drugim poszło sta, i więcej, żołnierzy, którzy znikali bez śladu, — a nikt nie mógł dojść co się z nimi dzieje.

„Nakoniecraz, przy sporządzaniu kościoła, w ciemnym kącie za wielkim ołtarzem, znaleziono gromadę ludzkich kości, z ciała obgrzyzionych i połamana broń żołnierzy, — i po mieście gruchnęła wieść, że straszna strzyga królownej co noc człowieka pożera. Odtąd król, nieśmiejąc więcej swoich wojaków narażać na śmierć, kazał na noc zamykać zbrodniarzy w kościele,

a i ci noc w noc znikali jak tamci. Byłoc u nas pod one czasy łotrów nie mało, ale pomału tak się wytępilli, że ledwie raz w rok który się dał znaleźć, i król, za drogie pieniądze, musiał z dalekich krajów zakupywać żér ludzki dla swojej strzygi.

„Cztérnasty rok już tak mija. Poczciwy król zubożył się i zadłużył, — nie jeden śmiały ochotnik także życie swe położył, — zakłętą zbawić nikt niezdolał. I otóż teraz tak co dnia król wzywa i obiecuje nagrody, — ale któż się waży na śmierć pewną? . . . Co to będzie, co to będzie, jak tak dłużej potrwa jeszcze?“ . . .

W tém odwołał ktoś karczmarza na stronę, a nasi téż podróżni już wszystko wiedzieli. — Dziadek, chyląc się do ucha chłopcu, rzekł:

— „A co? mój synu! otóż ci wrota do szczęścia otworem. Maszli odwagę i wiarę w me słowa a serce wdzięczne, możesz wybawić królową i zyskać nagrodę jaką zachcesz.“

Siérota pomyślał sobie że dziaduś z niego żartuje; ale jak mu na twarz spojrział, taka w niej była powaga, dobroć i świętość, że zląkł się swojej niewiary jak grzechu. Jako zaś był z przyrody odważnego i chętnego serca, tak gotów się był podjąć zbawienia królowej, byle go dziaduś jak dokazać tego nauczył.

— „O tém potem, mój Marcinie“ — odpowie-

dział starzec — „teraz idź tylko, oświadczyć chęć swoją królowi.“

I Marcin, pełen dziecięcej ufności, poszedł prościutko na zamiek, opowiadając się wrotnemu, że chce wybawić królową. —

Król właśnie wtedy siadał do śniadania, ale posłyszawszy to orędzie kazał czémprędzej wołać chłopca przed siebie. Kiedy Marcin, wszedłszy wprowadzony, opowiedział sam swój zamiar, król, ludzki w strapieniu swoim, widząc jego wielką młodość i niedoświadczenie, sam go od przedsięwzięcia począł odwodzić, przedstawiając jak na to wielkiej potrzeba mocy serca i mądrości żeby je szczęśliwie sprawić. Ale sierota odpowiedział szczerze: że choć sam młody i głupi, ma opiekuna któremu się powierzył, a który mu radą mądrą dopomoże; serca zaś dość czuje w sobie żeby się ważyć na wszystko. — Król, bacząc jego pewność i ufność, przystał na żądanie Marcina i w jakiś niewytłómaczonej otusze począł się oddawać nadziei. Posadził chłopca z sobą po za stołem, nakładał mu na talerze i naléwał sam wina w kieliszek, — zatrzymał u siebie na obiad, i dopiero ku wieczorowi na miasto do dziadka odpuścił.

Dziadek wracającego do karczmy Marcina uściśkał jak dziecko rodzone, dziękując za ufność w sobie; nauczył co ma czynić w noc w kościele, a

umocniwszy go jeszcze na duchu mądrymi słowy, z nadejściem mroku sam zawiódł aż do wrót kościoła. — Z błogosławieństwem staruszką przestąpił sięrota próg i posłyszał zawierające się za sobą ciężkie żelazne wrzeciadze, które go od całego żywego oddzieliły świata.

Przez wysokie, wąskie okna, pyłem i pajęczyną zaćmione, słabo przedziérał się blask pełnego miesiąca w głąb' ogromnej świątyni. Potężne słupy, od wieku zielone, wydawały się jak dwa rzędy olbrzymich duchów, sięgających do sklepienia; na nagrobkach i ółtarzach posągi nieruchomie stojące w pomroku zdały się żywymi postaciami; gdzie niegdzie, z pośrodku czarnych marmurów odbijała wyraźniej biała alabastrowa trupia głowa, wyszczérzająca ku patrzącemu zęby, albo złocista ozdoba, na którą promień miesięczny padał, błyszczała jak oko ogniste. Tuż koło kraty wielkiego ółtarza potężna złocista korona, na kamieniu wyciosana, wskazywała grób królewskiej rodziny . . .

Marcinowi, patrzącemu na to wszystko, mróz zimny przeszedł po ciele i serce żywiej bić zaczęło. Chcąc trwogę zapóźnie ukoić, klęknął sobie przed ółtarzem i począł mówić godzinki; to go znów uspokoiło. Wszelako, kiedy przeszła już jedénasta godzina, każde uderzenie zegaru, nowy kwandrans odbijające, wstrząsało nim wśród modlitwy. Wreście na wieży zabrzmiało trzy kwandranse na dwónastą,

— straszna chwila tuż się zbliżała, — i sierota, westchnawszy raz ostatni serdecznie do Boga, szedł pełnić radę staruszka.

W kościele tym, między okrągłym w tém miejscu murem a wielkim ołtarzem, był wielki kął pusty i ciemny; tu to strzyga musiała wléc na pożarcie swe ofiary, a kości w stós ogromny zrzucała. Marcin, podług porady dziadka, wszedł tam, i jako chłopcy zakopują się nie raz pod kopice siana, wczolgnął się pod ten okropny stóg ludzkich piszczeli, czaszek i żeber. —

Zaledwie że tego dokonał, zégar na kościele pocał bić dwónastą. — Z ostatnim dźwiękiem dzwonu rozległ się po kościele huk głośny — (to kamień z królewskiego sklepu odwalił się sam na stronę). Marcin, pilnie nadstawiając ucha, posłyszał szybkie bieganie w około, — potem straszny głos zawołał:

„Człecze! gdzie jesteś? ozwij się!“ .

Chłopiec leżał jak trusia, myśląc sobie w duszy czy był téż kto przed nim taki głupi żeby się strzydze odezwać? . . . Tymczasem strasydło co raz to głośniej, to okropniej wołało i wyło, — słyhać było jak czémciś rozrzucało, jak przewracało i przesuwalo ławki nareście, niemogąc znaleźć żywej pastwy, przybiegło za ołtarz, i siadłszy na wierzchu kości, zaczęło wczorajsze szczątki do resztyz ciała ogryzać. W tém zaleciał je widać zapach żywej duszy, bo z wściekłym śmiechem wykrzykło:

„Ha! tuś mi to jest, ty mądry ptaszku! . . Czekaj, teraz mi nie ujdiesz!“ . .

Wystawić że sobie co się Marcinowi w duszy działo! . . . Strzyga poczęła obiema rękoma rozrzucać z kupy kości, przerzucając je po nad ołtarzem na kościół. Była to wprawdzie praca nie lada, ale piekielnicy szła tak prędko, jakby sto rąk miała. — Wreście biedny sierota czuł że już jest niedaleko niego.

— „Minutka jeszcze, — i Boże zmiłuj się duszy mojej“ — pomyślał sobie skruszony. — Alić, zaledwie w duchu domówił tych słów, na wieży uderzyła druga godzina: strzyga zgrzytnęła okropnie i biegła z wrzaskiem do otwartego grobu. Kamień z łoskotem sam się za nią zawalił — i wszystko ścizło, jakby makiem zasiał.

Marcin wyszedł wtedy ze swego ukrycia, a odetchnąwszy głęboko, jakby się na świat na nowo narodził, klęknął naprzód przed ołtarzem, dziękując w serdecznej modlitwie Bogu za ocalenie swoje. — Potém, znużony, odszedł na kościół, i przyległszy na jednej ławce zasnął.

Z świtem, o piątą godzinę, zakrystjan przyszedł otwierać kościół, a z nim król sam, dworzanie i wielka ciżba ludu, — bo już się po mieście rozniosło o odwadze Marcina. Wszedłszy do kościoła, pojrzeli wszyscy ciekawie, a niewidząc nikogo wykrzykli jednomyślnie: „zginął jak i drudzy!“ a król smutnie

kiwnął głową. — Kiedy się jednak lepijrozpatrzyli, zdziwili się widząc poprzewracane i porozsuwane ławki, połamane lichtarze, podarte chorągwie, pogryzione świece, kościół wszystkim zasiany mnóstwem trupich kości — czego przedtém nigdy nie bywało.

W tém, zbudzony łoskotem tylu ludzi, Marcin się podniósł na ławie. Skoro go ujrzeli, wykrzykli wszyscy radośnie, a król ścisnął jak własnego syna, i wiódł go z sobą do zamku, ciekawy przy śniadaniu wysłuchać jego powieści. — Marcin radby był co najprędzj biędz do karczmy, do swego staruszka, ale król zatrzymał go gwałtem na obiad. — Tymczasem dziady i baby z całego miasta zbierały w kościele porozrzucane kości i składały je na swe miejsce za ołtarz.

Po obiedzie, puszczonej przecież od króla, sierota pędził jak strzała do swego opiekuna i rzuciwszy się mu do nóg za radę dziękował. Starzec zachęcał go do wytrwania w ufności i męstwie, przez które królowi i zaklętj królownie wróci spokojność, a sobie szczęście zgotuje; i nauczywszy go znowu co ma czynić, wiódł go o zmroku pod same wrota kościelne, błogosławiąc na rozstaniu.

Tą razą chłopiec nie tyle się już uląkł zostawszy sam w kościele pustym, — zwyczajnie, człowiek ze wszystkiém się ochrośnie! — Spokojnie na modlitwie spędził czas ku północy, a kiedy godzina straszną się zbliżała, szedł, podług rady starcówj, na chór

zamknawszy za sobą drzwiczki i święconą krédą je opisawszy. Przytulony za organem czekał co się dalej stanie.

Dwónasta wybiła znowu, — wiekó od grobów znów się z hukiem odwaliło, — i strzyga wyleciała na kościół. I znowu Marcin słyszał jój wycia i wrzaski, okropniejsze jeszcze niż wczora, — walenie ławek, rzucanie kośćmi i lichtarzami wreszcie na chwilę wszystko ucichło. — Chłopiec, ciekawy co się stało, wychylił głowę z za organu, i ujrzał okropną czarną poczwarę, z rozwianym ognistym włosom, krwawemi oczyma i strasznemi kłami, w pośród kościoła nieruchomie stojącą. Wylekniony tak okropnem widziadłem, rzucił się nazad za organ; ale w téj chwili postrzegła go strzyga.

— „Ha! przeklętniku! tamesz to? . . . Czekaj! zaraz ja cię dostanę!“ wrzasła, i biegła do drzwiczek od chóru. Ale słabe drewniane drzwiczki, opisane święconą krédą stały, jak mur nieruchome przeciw mocy złój. — Straszydło poleciało wtedy do otwartego grobu i wnet wróciło, wlokąc za sobą z łoskotem trumnę. Postawiła ją pod chórem i znów pobiegła po drugą. Drugą stawiała na pierwszej i znów po trzecią biegała. Tak nastawiała wreszcie trumn dziesięć, jak schody, aż do samego prawie chóru, i już drapała się po nich z jedénastą.

Marcin widział że jak tę jeszcze postawi, dostanie się do jego schronienia, — kiedy więc strzyga z nią

pnie się, on, zebrawszy do serca wszystką swą odwagę, wyrwał z organu wielką drewnianą fujarą i pchnął nią z całej siły najwyżej stojącą trumnę. — Całe rusztowanie rozsypało się z strasznym hałasem, przywalając sobą upiorzycę

Ale przekłętego nie zabić! — w téj chwili podniosła się z pod stosu trumien, i kłapiąc wściekle zębami, straszne zionąwszy przekleństwo, znowu się wzięła do pracy. Nim wszakże dziewięć trumien postawić zdążyła, wybiła druga godzina. — Rycząc straszydło odleciało do otwartego lochu, a wszystkie trumn jedenaście same za nią sunęły się. Kamień padł znów na swe miejsce, — a Marcin, z śmiertelnej oswobodzony trwogi, podziękowawszy znowu Bogu, usnął.

Kiedy o świcie król i wszyscy ciekawi weszli do kościoła, widząc nowe spustoszenie, wołać poczęli Marcina, gdzie jest? Zbudził się chłopiec, a zeszedłszy z chóru, wśród powszechnej radości udał się z królem na zamek, gdzie znów aż do poobiedzia zostać musiał, opowiadając wszystko co się w nocy działo.

Za powrotem do karczmy staruszek go upewnił, że byle jeszcze jeden raz wytrwał i wykonał wiernie jego radę, wybawi zaklętą królownę. Pouczywszy jako ma czynić, odwiódł go znowu na wieczór przed kościół i błogosławieństwem pożegnał wstępującego we wrota.

Za czasem wróble na strachu siadają. Tak też i nasz Marcin, dzisiaj prawie całkiem bez trwogi wszedł do kościoła, — chociaż to miał być wóz — przewóz, albo wybawi królową, albo zginie straszną śmiercią!

Kiedy dwónasta bić miała, przyczał się za chrzcielnicą, tuż koło królewskiego grobu. — Północ wybiła: kamień się odwalił, straszliwa strzyga wyleciała na kościół, wpadła za wielki ołtarz i zaczęła szukać w kościach. Marcin tymczasem, cichutko, zstąpił do otwartego grobu, macając znalazł otwartą trumnę, położył się w niej i naznaczywszy wieko święconą krędą w znak krzyża, przykrył się niém cały, maleńką dziurkę dla tchu nożem wywierciwszy. — Leżąc, modlił się gorąco, wśród okropnego wrzasku, wycia i łoskotu, głucho z kościoła dochodzących

Nakoniec zadzwonił zegar drugą godzinę, i strzyga, cała w ogniu, wyjąc wpadło do grobu. Nieznajdując otwartej swjej trumny, stanęła osłupiona i potem, pobiegłszy do lewej ściany lochu, zaczęła liczyć trumny w rzędzie stojące.

— „Raz, — dwa, — trzy, — cztery, — pięć, — sześć! to moja“ i chciała podnosić wieko. Niemogąc odkryć, biegła do drugiej ściany i znowu liczyć poczęła:

— „Raz, — dwa, — trzy, — cztery, — pięć, — sześć! . . . to moja!“ a w tém poczuwszy żywą duszę, wrzasła: „wstawaj z tą, żywy człowiecze! bo cie na sztuki rozedre.“

Ale sięrota, zatknawszy sobie uszy rękoma, leżał jak trup istny, prosząc na głos Boga o łaskę dla siebie i przeklętej. Napróżno strzyga wyła, groziła i kłęła, miotała ogniem i szamotała trumną; napróżno potem zaczęła okrutnie jęczyć i prosić o litość, obiecując pokazać mu za to wielkie skarby Wśród tych jej prośb i obietnic, przez okienko dało się słyszeć w grobie pianie kura na plebanii. Jeszcze jeden jęk rozległ się przeraźliwie, a za nim postyszał Marcin jak coś się osunęło i padło przy trumnie.

Na to też on tylko i czekał. Odrzuciwszy z siebie wieko, wstał i podniósł ze ziemi śliczną czternastoletnią dziewczynę, nagą, w mdłościach leżącą. Otuliwszy swą siermięgą położył ją na swoich kolanach i tak oparty w kąciку, zasnął. —

Z porankiem król, z niesłychanem mnóstwem narodu, przyszedłszy do kościoła, znaleźli znowu straszne ślady strzygi, ale nie mogąc się dowołać Marcina niewiedzieli już co myśleć; szczęściem nadszedł żebrak, jego opiekun, który do grobów otworzyć radził. — Dopieroż to było dziwu, kiedy z odwalonego lochu ukazał się żywy chłopiec, śliczną śpiącą królowną na ręku niosący! . . . Nie było miary w radości całego miasta, a cóż dopiero króla ojca samego. —

Marcin szukał pilnie dziadka, dobroczyńcy swego, ażeby mu do nóg upaść; ale ten zniknął gdzieś bez śladu. —

Król, niewiedząc sposobu jakby godnie wynaj-

grodzić wybawcę swéj jedynaczki, oddał mu ją za żonę, — za chętną obojgu ich zgodą. —

Powiadają niektórzy, że w dzień ich ślubu stał się dziw nowy, gdy wszyscy pożarci niegdyś przez Strzygę do życia powrócili, — ale to są, ot tam! babskie baję.

Tyle pewno, że Marcin, po śmierci swego teścia, zacnego i szeroce sławnego Gwoździka, został królem, pod imieniem Ćwieczka pierwszego. — A jako sam wprzód zaznał co to bięda, tak téż na tronie był dla narodu swojego najlepszym rządzcą i ojcem prawym. —

Przypis do Strzygi.

W baśni téj, podobnie jak w wielu innych, czas swawoli złęgo zamyka się między północą i drugą poranną godziną. — Dla czego? stanowczo powiedzieć nie umiem. — Że jednak w jednej pieśni dziadowskiej znajduję dwuwiórsz:

„Druga godzina po północku biła, —

„Najświętsza panienka synaczka powiła“ —

może więc być, że z podobnej tradycyi mniemanie gminne kres działaniom nieczystej mocy o drugiej godzinie naznacza. —

Takaż sama, w szczegółach tylko odmienna, powieść, znajduje się w zbiorze czeskim: J. B. Malého sebrane báchorky a powěsti národní, w zeszycie 2., p. t. Pohádka o zakleté princeznie.

Ucieczka.

Baśń.

Przez pola i bory, wieczorną ciemnicą,
Biegł rycérz na koniu z porwaną dziewicą.

Seweryn Filleborn.

Smierć nierozdwoi,
Co miłość spoi.

Przysłowie narodowe.

Młody Stach, strzelec z Puszczy-zielonój, pokochał się serdeczną miłością z Kasią, dziewuchą gospodarską z Dąbrowy. Rodzice dziewczki mile to widzieli, bo Stach był sobie parobek, jako to mówią, i do Boga i do ludzi; więc, gdy przyszedł w oświadczyzny, niezwlekając dali mu swe słowo, i umówiwszy ślub na ostatnią zapustną niedzielę, jeli się krzątać, by sprawić córce przystojne wesele.

Alic, kiedy oni myślał około weselnych godów, do Puszczy przyszło wezwanie na wojnę; więc i Stach, zabrawszy swoją rusznicę, ruszył wraz z drugimi

chłopcy. — — Kiedy, idąc przez Dąbrowę, mijali chatę Kasiną, pobiegł, raz jeszcze, choć na krótką chwilę, zobaczyć kochankę drogą i pożegnać — Bóg wie na jak długo! . .

Kasia wtedy, z matką starą, niewiedząc jeszcze o niczem, szyły właśnie szaty ślubne. Skoro im Stach opowiedział że oto idzie na wojnę, z żalu załamały ręce, — ale by został namawiać nieśmiały. Równemi łzami płakały, gdy go ściskając żegnały.

— „Kasiu moja! liljo moja!“ mówił chłopiec, odchodząc już z chaty: „wiem ja, że idę, — nie wiem, czy powrócę? . . Powiedz, Kasienko! jeżeli powrócę, czy ja serca mego przez cię nie zasmucę? Czy, kiedy ja będę na wojnie krew lać, ty tutaj nie będziesz z drugim ślubu brać? . . Powiedz, Kasiuteńko! do roku trzeciego — czy będziesz czekała powrotu mojego?“ . .

— „Stasiu! życie, słońce moje! co mi ty mówisz o trzech latach? . . Chóćby i do śmierci samój, gotowam czekać za tobą! . . Wrócisz, albo niepowrócisz, niechcę nigdy znać innego.“ Zawołała dziewczyna, rzucając mu się na szyję.

Raz jeszcze przycisnęli piersi do piersi, usta do ust — i odszedł Stach, na wojnę, na krwawe mordy; Kasia została w chacie, rzéwnie zapłakana. — Stara matka tuli córkę jak może, ociéra jój łzy z oczu chustą białą, pociesza dobrą nadzieją.

— „Niepłacz, kochanie! wojna się skończy, — kochanek zdrowy wróci do ciebie! Wróci do ciebie skrzydlatym ptakiem; będziesz się cieszyć sławnym wojakiem.“

* *

Mineła zima. — Wiosna, lato, jesień, przeszły za nią — i znów przyszła zima druga. . . . Nie-szczęśliwa wojna rychło się skończyła: — i do Kasinėj wioski z dziesięciu chłopaków dziarskich, co razem ze Stachem wyszli, powróciło trzech kaléków. Ale jaki jego los spotkał, żaden nie umiał powiedzieć Kasi. Za to w karczmie, drugim ludziom, mówili że pewnie zginął, bo cała rota gdzie służył co do jednéj nogi padła, a od tego dnia i jego nikt już niewidział. —

Biédnej dziewczynie w oczy nikt tego nieśmiał powiedzieć, — ale domysłne jēj serce ze spojrzeń dobrych ludzi, co na nią spoglądali litośnie, odgadło jaśnie siéroctwo swoje. Jeszcze jednak w głębi duszy nie może się zrzec nadziei, i co dzień zaspiając myśli sobie: „jutro wróci!“ . . Co dzień, o białym świcie zrywa się z posłania, siada u okna, patrzy czy miły niewraca — i płacze, jak chmura dżdżysta, wyglądając od poranku do wieczora. A nikt jēj oczu nie obetrze z łez! nikt dobrém słowem nie pocieszy! . . Ta co łzy koiła, co smutną pocieszała — matka staruszka — śpi już w zimnym grobie!

* *

Znowu przeminał rok cały — i znowu nadeszła zima. — Kasia, od płaczu ciągłego, mało oczu już nie straci; Stacha jak niema tak niema!

Tymczasem ojciec jęj stary pojął sobie w drugie małżeństwo młodą wdowę ze sąsiedztwa — a jeden krewniak macoszyn, bogaty kowal, upodobawszy sobie Kasię, mimo że widział srogie jęj strapienie, począł nalegać by mu ją dano za żonę. — Darmo się ona ojcu i macosze do nóg rzucała, prosząc żeby jęj za mąż niedawali; ojciec ją złażał, macocha wybiła. Zalotnikowi kazali dać do kościoła na zapowiedzi, a dziewczynie się do ślubu gotować.

Nieboga Kasia przed złą macochą nie miała czasu cały ten dzień wyjrzyć, jako zwykła, na drogę, zkąd co dnia Stacha czekała jeszcze. Dopiero kiedy już wszyscy w domu się uśpili, wstawszy z łóżeczka, pobiegła do okna. Miesiąc biały świecił jasno po białej od śniegu drodze, — ale na drodze nie widać nikogo! . . . Dziewczyna z wielkiej rozpaczyskryła w dłonie oczy obie i płacząc jęła wyrzekać:

— „Stasiu drogi! gdzieś ty? gdzie?

Czyś zapomniał już o mnie?

Jam tobie serce dała jednemu,

Dziś mi ślubować każą drugiemu!

Stasiu, kochanku! martwy czy żywy,

Przybądź na pomoc mnie nieszcześliwój!“ . . .

Kiedy tych słów domówiła, zawyły na raz głucho wszystkie psy we wsi całej, — coś załętniało, — za-

skrzypiał śnieg koło chaty — i: sztuk! sztuk! w okieneczko. . .

— „Otwórz, otwórz, Kasiuleczko!“ — zawołał z dworu głos znany.

Kasia, posłyszawszy, ledwie mogła przytłumić okryk radośnego zadziwienia, z piersi się wydziérający. Spojrzała: — za oknem, na siwym koniu, siwą sukmanką okryty, stał ukochany jój serca!

— „Tyżes to? Stasiu! . . ach, ty!“ . . odezwała się z cicha.

— „Ja, Kasieczko! ja, kochanie! Przyjechałem wziąć cię z sobą. Chceszli jechać? to się śpiesz!“ —

— „Stasiu, na dworze mróz taki! pójdź do chaty, ogrzej się; — ja cichutko drzwi otworzę.“

— „Nie mogę, Kasiu, nie mogę! Mam daleką wracać drogę. . . Chcesz li ze mną, śpieszże żywo.“

Od niezmiernego wesela od siebie odchodząc, skoczyła dziewczyna: przyodziała się na prędcę, — podniosła z cicha u drzwi klamkę, — i wyszła z chaty do kochanka.

— „Siadaj, Kasieńko! siadaj!“ zawołał — i pochwyciwszy za ręce posadził ją na koń przed siebie.

Koń zarżał, poskoczył, — i popędził przez wieś czwałem. . . Tylko co za wsią, zbił się w bok z drogi, na szerokie puste pola, skrzące się od śniegu jak obrus srebrysty, — i leciał, jak wiatr, przez zaspy, przez doły i góry, miecąc za sobą śnieżną zawieruchą.

— „Stasiu drogi! koń nas ponosi! Trzymaj go!“ zawołała Kasia strwożona.

— „Nie bój się, miła! Koń świadom drogi. Tęskni za domem, to śpieszy.“ —

— „Gdzież ten dom twój? czy daleko? Czy za długo przed nim staniem?“

— „Za jedną górą, za jedną rzeką. Odpoczniesz w nim przed świtaniem.“ —

Dziewczyna przytuliła się do jeźdźca, — a koń leciał dalej, przez pola, lasy i wioski. Kiedy przez las przejeżdżali, to drzewa szumiąc gięły się koło nich, jak od wichru, i sowy śmiały się głośno po gałęziach. Kiedy jechali środkiem wsi, to wszystkie psy wyły żałośnie, — a kochanek Kasin wołał:

— „Hejże, hej! co się to dzieje!.. Ludzie śpią, kury śpią, — a umarli żywych po świecie wożą!“ —

W niej ode strachu okropnego zamięrało serce w piersiach; od szybkiego lotu konia zapięrał się oddech w ustach, ćmiło się w oczach i głowie. Z zamkniętymi powiekami, na pół omdlała, wisząc na szyi Stacha, nie wiedziała ani którędy, ani jak długo jechali, kiedy koń zwolniać zaczął biegu.

— „Kasiu, kochanie! otwórz oczęta, — otóżeśmy już przed domem!“ szepnął jój kochanek do ucha.

Kasia, podmóśszy powieki, pojrzała przed siebie. Nie opodal widać było, czerniejącą wśród śniegu,

wieś, z wysoką kościelną wieżą; przy kościele, w jednej chacie migało się jasne światło.

— „To pewnie dom twój, gdzie się tak świeci? Kto tam czeka na nas? Stasiu!“ —

— „Nie, Kasieczko! mój dom tutaj,“ odpowiedział jój Stach, wskazując krągły przy drodze pagórek, — a koń, trzema skokami, stanął z niemi na jego wierzchołku.

Na pagórku tym gdzieś niegdzie rósł karłowaty jałowiec, a między krzakami, śniegiem przypruszone, sterczały mnogie mogiły. Jedna z nich stała otworem, jak gdyby tylko co wykopana.

Jeździec zeskoczył z konia i zсадził Kasię na ziemię. Z niezmiernym strachem spostrzegła ona wtedy, że zamiast białego konia stał przed nią biały koński szkielet, na chwiejących się suchych nogach, — który z pierwszym wicheru powiewem runął i cały w drobne rozsypał się kostki. . . .

Stach, ujawszy Kasię za rękę, stanął z nią u brzegu rozwartej mogiły.

— „Kasiu! patrz: oto mój dom, oto moje łożo. — Tęskniłaś za mną, płakałaś za mną, jeździłaś ze mną, — chodźże teraz ze mną spać!“

— „Stasiu najdroższy!“ Kasia mu odpowie: „za żywota i po śmierci jam zawsze twoją być rada! — ale żywo do grobu bardzo straszno iść. . . . Puśćże mnie, puść między ludzi, niech dożyję jesz-

cze z niemi, do téj chwili aż mnie żal srogi zabije. Nie długo ci za mną przyjdzie czekać!“ —

— „Kasiu, kochanie! nie po tom cię woził, żeby puszczać znów od siebie. — Tęskniłaś za mną, płakałaś za mną, wołałaś za mną — teraz musisz ze mną spać.“ —

— „Ha! toć bądźże wreszcie woła twoja, mój miły! — Ale w grobie ziemia zmarzła tak twardo!.. naści oto chustę moją, zaściel nią dół, żeby miękciej było,“ rzekła chytrze Kasia, podając mu zwiniętą żółtą chustkę swoją z głowy.

Upiór, odebrawszy ją, wszedł w dół i począł ją na ziemi rozścielać. Kasia, korzystając z chwili, odwróciwszy się ku wiosce, poczęła bić co sił stało, — wprost ku owéj chacie gdzie światło z okna migało. Strach jakby jéj skrzydeł dodał, w moment krótki przybiegła pod wieś, — przelazła przez płot wysoki, — wpadła do chaty i drzwi za sobą zaparła. . .

Alić, gdy odetchnawszy obejrzała się po izbie, nowa padła na nią trwoga. — Chata ta, była to kościelnica. Na środku, na czarnym całunie, w odkrytej trumnie, leżał trup, a w głowach jego świeciła się posępna gromnica. . . Kasia, zobaczywszy to, sama nie wiedziała czy zostać, czy uciekać? — aż tu we drzwi ktoś kołacze.

— „Bracie umarły! otwórz umarłemu!“ zawołał z dworu głos Stacha.

Trup w trumnie drgnął, — odetchnął ciężko, — i począł zwolna dźwigać się z posłania. — Wyjął z trumny prawą nogę i postawił ją na ziemi; zanim lewą zdążył wyjąć, niecierpliwy głos ozwał się znowu:

— „Bracie umarły! otwórz umarłemu!“ —

— „Zaraz, zaraz; tylko jeszcze wyjmę z trumny lewą nogę,“ odpowiedział ponuro wstający.

Dziewczyna, patrząc i słysząc te straszne dziwy, struchlała, poczęła się modlić gorąco do Maryi Panny Przenajświętszej, by ją od zguby uratowała. I wnet, jakby w nią coś tchnęło — sama niewiedząc czemu tak robi, zerwała nitkę u swego różańca, zwłokła z niego jedno ziarnko i rzuciła niém na trupa, co już właśnie tylko co z trumny cały miał wstać. . . . Umarły jęknął, — i padł na wznak w trumnę.

„Bracie umarły! czemu nieotwierasz?“ ozwał się głos z za drzwi.

— „Dostałem kamieniem w łeb, — upadłem w trumnę jak długi,“ odpowiedział umarły w izbie.

— „Wstawaj, wstawaj, drzwi otwieraj co prędzej!“ wołał Stach, tłukąc pięściami.

Trup na to znowu począł się podnosić — przełożył jedną nogę — — kiedy drugą chciał przełożyć, Kasia drugiem rzuciła nań ziarnem, i znów upadł, jako piérwój, w trumnę. —

Było tak nie raz, nie dwa, nie trzy razy — aż wreszcie Kasia cały już swój wyrzucała różaniec; a oto zmarły podnosi się znowu! . . . Postawił prawą

nogę na ziemi, — postawił lewą, — poszedł po-
mału do drzwi, — uchwycił ręką za zapórę, — gdy
w tém we wsi koguty chrypliwie zapiwały. Umarły,
jakby piorunem rażony, zawlókł się i padł martwy
w trumnę, a kołatanie ucichło. . . Kasia, kiedy tak
cicho chwilę trwało, ochłódłszy z trwogi, znużona
na duszy i ciele, jako się klęcząc modliła, padła
zmorzona twarzą na ziemię i spała twardo aż do
dnia. —

Rano ksiądz z ludźmi przyszedłszy grześć umar-
łego, zadziwili się znajdując drzwi wewnątrz za-
parte; w tém Kasia, zbudzona łoskotem, odsunęła
im zapórę. Zdziwieni tém bardziej, wszyscy cieka-
wie pytać jęj poczęli: zkądby się wzięła i co tutaj
robiła? Opowiedziała im zatem wszystko, co się z
nią nocy téj działo. — Jedni wierzyli jęj, niewierzyli
drudzy i chwalili milcząc głowami; ale wszyscy, po
pogrzebie nieboszczyka, poszli na wzgórek wska-
zany po za wsią, gdzie były mogiły poległych w
niedawnéj bitwie.

Gdy zaszedłszy tam, znaleźli jeden grób świeżo
ruszony, ksiądz kazał go aż do dna samego rozko-
pać; co gdy uczyniono, ujrzano z wielkim dziwem
rozpostartą żółtą chustę pod ciałem poległego wo-
jaka. — Nikt już wtedy niewątpił o prawdzie Kasinėj
powieści, i wszyscy, biorąc do serca złą jęj dolą,
pytać poczęli coby chciała? mają li ją do dom od-
wieść, albo czy zostanie z niemi?

Kasia dowiedzieć się chciała, jakby daleko było do jęj domu; ale tu nawet o nazwisku takięj wioski jako żywo nikt niezasłyszał. Wzięli ją zatęm do siebie miłosierni jedni gospodarstwo i opiekowali się jako córką rodzoną. —

Kasia co wieczór chodziła po za wioskę, na mogiłę swego kochanka, prosić Boga o zbawienie jego duszy, a dla siebie o rychłe z nim połączenie; dnie zaś całe trawiać we łzach i tęsknościach, rychle zbliżała się ku końcowi swojemu. — Nim jeszcze pół roku wyszło, poczuła nadchodzącą śmierć; konając zaś gorąco zaklinała księdza i ludzi, żeby ją w Stacha pochowali grobie. —

Nie zdało się to przecięż księdzu proboszczowi w nieświęconęj wypowiadana chować ziemi; więc gdy umarła, pochowana została na smętarzu, przy kościele. — Ale tu dopiero pokazała się moc wielka prawdziwęj miłości, której i śmierć nie może końca położyć! . . . Co wieczór, widzieli ludzie, jak z mogilnika na pagórku wychodziła postać biała, — a z smętarza kościelnego druga szła naprzeciw nięj: i złączywszy się wśród pola, od zmroku aż do świtania błędziły razem po błoniach, jako dwa mgliste, wiatrem pędzane obłoki. — Daremnie nad obudwoma grobami odprawiano msze i modlitwy; dziwy te trwały dopóty, aż ludzie, widząc je, uznali że takięj wiernęj miłości nie godzi się stawać na wstępie, i

ksiądz, wyjąwszy trumnę Kasiną z smętarza, pogrzebł ją w kochanka grobie. —

Na pamiątkę zaś wieczystą téj wiernéj miłości, Indzie dobrzy na mogile rzeźbiony położyli kamień. A kto tam przyjdzie, albo przyjedzie, przeczyta sobie:

Miłość prawdziwa
Tutaj spoczywa
Złączona w grobie. —

Skarb ukryty.

Baśń.

Jan parobczak był to zuch,
Śmiał się z strachów i upiorów,
A topielców, czartów, zmorów
Bał się — gdyby pająk much.

A. Niewiarowski.

Możny jeden, ale zły i łakomy pan, choć bez pracy wziął dziedzictwem liczne a zyskowne włości, i skarbiec w złoto, w srebro bogaty, nie przestając wszelakoż na tém co posiadał, całe życie łożył tylko na pomnożenie zbiorów, — nie dbając, w swém zaślepieniu, czyli godziwie, albo niegodziwie. Więc nie dość, że przez wiek wszystek nie wsparł biednego w potrzebie, chociażby kawałkiem chleba, — ale na podobieństwo upiora, co się człowieczą krwią tuczy, wyciskał z ludzi ostatnie mienie i krew ich.

Ludzie nieszczęśni we włościach jego, pracą i głodem wycieńczeni srodze, podobniejsi byli marom, niżeli żywym stworzeniom; pomimo to przecie,

okrutny pan coraz ich srożej gnębił. — Lud marzył w zimie w lichych chatach, przez pół z poszycia odartych, bez isierki ognia w piecu; — bo skąpy pan z niezmiernych kniei nie dał wziąć gałązki drwa; na przednówku marł z puchliny, żołądźciowego najadłszy się chleba; w lecie ginął w niemocy od znoju i skwarów; w jesieni z pijaństwa, — przepijając w arendzie całoroczną pracę: bo pan za wymuszoną gwałtem robociznę zawdy kartkami na gorzałkę płacił. A tymczasem skarby skąpca rosły z każdym dniem widomie. — Darmo mu ludzie pobożni, darmo bogobojna żona, przypominali by się upamiętał, — grożąc za ludzką krzywdę sprawiedliwą karą Bożą; on śmiał się z grózb i przestroóg, a żonie pogroził pięścią by mu w sprawy nie wglądała.

Jako zaś łakomi ludzie nikomu wierzyć nie radzi, ale własnego cienia ustrzedzby się chcieli, — tak też i ten oto chciwiec, trwożliwy o swe pieniądze wynalazłszy w zwaliskach starego lamusu opustoszałe piwnice, poprzenosił do nich jednej nocy wszystkie skarby tajemnie. — Nazajutrz — (było li to dopuszczenie Bóże, czy że się okrutnik dźwigając noc całą oberwał?) legł chory w łóżu; a niechcąc wołać ani lekarza, ani księdza, ażeby im nie zapłacić, skonał — klnąc w chwili śmierci niebu i ziemi. Że był szlachcic i bogaty, chociaż zmarł bez rozgrzeszenia, pochowano go jednak za wsią na smętarni, w lochach pod starą kaplicą.

Alić w kilka dni po jego pogrzebie, ukazał się znak widomy, jako o pomstę do Boga woła krzywda biednych, — i jako dusza co się za żywota w ziemskich utopiła dobrach, po śmierci odjąć się od nich nie mogąc, cierpi męki potępienia. Każdego dnia o północy — widywali wszyscy ludzie — umarły dzieć wychodził z smętara, śmiertelnym kryty całunem; a obszedłszy w koło gumna, znikał w sadzie po za dworem, — i aż nad samém dopiero świtaniem powracał nazad do grobu.

Z razu trwoga niesłychana ogarnęła gminę całą przed tak okropnóm zjawieniem: o zmroku już żadna żywa dusza nie śmiała zajrzeć do sadu, — a z nadchodzącą północą wszystko kryło się po chatach, i z drzeniem słuchało, ścisnąwszy się w kupe, ponurego owczarskich psów wycia, gdy mimo gumien szedł potępieniec. —

Wszakże pomału — pomału, nawet dzieci i kobiety oswoiły się ze strachem; a co śmielszych chłopaków wzięła pięć ciekawość, wysledzić w sadzie upiora, co robi? Uwziąwszy się więc, wypatrzyli rychło, że strach wszedłszy do sadu, kroczył do starego lamusu, i znikał w jego zwałiskach do świtu.

To gdy nazajutrz w karczmie rozpowiadały chłopaki, starzy odgadnęli zaraz, że pewnie na miejscu owém zmarły przechował pieniądze; szli zatém na dwór do pani, którą serdecznie kochali, radząc, żeby szukać kazała. Wyprawieni ze dwora sędzy szukali

pilnie dzień cały, — napracowali się srodze, przerzucając stosy gruzów; a w wieczór, nic nie znalazłszy, wrócili znużeni do domów.

Był zaś tam we dworze na ów czas parobek, imieniem Jan, — jedyny czy do roboty, do wypitki czy wybitki, — a zuch i zawadjaka coby djabłu nie zszedł z drogi. Ten za dni kilka po marném szukaniu, przyszedł do pokoju pani, a pokłoniwszy się do kolan jęj, prosił, by mu pozwoliła na swą rękę szukać skarbu.

„Pan Bóg z tobą miły Janku!“ — odpowiedziała mu wdowa: — „jeśli on ci dopomoże, ja dajęć wolność ku temu; a gdybyś za Jego wolą przenajświętszą co znalazł, podzielim się sprawiedliwie.“ —

W tenże więc dzień, kiedy zmierzchno dobrze, — a był wieczór dżdżysty i ciemny, — Jan szedł z rodzonym na smętarz. — Otwarli wrota kaplicy, — odemknęli ciężkie żelazne drzwi grobów, — i śmiały parobczak, skrzesawszy ognia, spuścił się do lochu, przykazawszy bratu wchód za sobą zawalić, — zamknąć za sobą kaplicę, — a we wsi nie powiadać o niczém nikomu.

Przy jasnym blasku smolnego łuczywa, znalazł wnet trumnę swego niegdy pana, świecącą między minnei świeżym złocistym galonem. Tuż obok nięj stała druga, z prostego dębowego drzewa, zdrowa jeszcze, jakby dziś spuszczone: Jan odćwiekował ją żywo, wyjął leżącego w nięj trupa, i zawlokłszy w

kał lochu, sam jego okrył się całunem, a potem legł cichutko w trumnie, wiekiem się przysłaniając. Nie długo leżał, a oto i północ przyszła. Potępieniec z okropnym poruszył się jękiem, — odrzucił wieko z łoskotem, — powstał: a blada posępna łuna, bijąca od jego trupiej głowy, oświeciła cały loch.

Jan, patrząc nań przez szparę, czuł jak mu zimne mrowie od wielkiego palca w nogach szło do głowy i włosy dębem stawały; — lecz nie czas było namyślać się już: zebrał całą odwagę do serca, i odrzuciwszy wierzch z trumny, stanął przed swoim nieboszczykiem panem.

— „Kto tutaj?“ — podziemnym głosem odezwało się widmo.

— „To ja, Jan Zmora, parobek twój panie.“ —

— „Po co tu przyszedłeś?“

— „Służyć ci panie po śmierci, — jakom ci służył za żywota.“ —

— „Żywyś ty, czy umarły?“ — zapytał strach. —

— „A dyć umarły, mój panie. Nie mogłem żyć już dłużej ze strasznego żalu po moim drogim pani-sku, a konając uprosiłem, żeby mnie chociaż przy was pogrzebali.“ —

Upiór nie dowierzając obszedł go wkoło, wietrzając, czy żywój nie poczuje duszy; ale Jan tak się od stóp do głowy trupim owinął całunem, że cuchnął wszędzie niby trup.

— „Kiedyżeś umarł?“

— „W niedzielę.“

— „A kiedyś chowany?“

— „Dzisiaj o południu.“ —

— „A na którą idziesz drogę?“

— „Na tę, co i ty — mój panie! bo cię na krok nie odstąpię.“ —

— „To chodź za mną,“ — rzecze nieboszczyk. —
No, idźże przodem. —

— „Nie, — mój panie! idź ty przodem, a ja za tobą, jakom chodził za żywota.“ —

Szedł tedy upiór milcząc po schodach ku górze, a Jan za nim krok w krok tuż. Kiedy stanęli u wnijscia umarły zawołał głośno:

— „Otwórzcie się drzwi!“ — i ogromne drzwi żelazne odwały się z łoskotem.

Minęli ciemną kaplicę, — i znowu na rozkaz upiora otwarły się jęj podwoje. — Kiedy pośrodkiem smętarza wąską przechodzili ścieżką, Jan widział w lewo i w prawo gromady duchów powstające z mogił: jedne klękały przy krzyżach swoich, modląc się z cicha, — drugie siadłszy na mogiłach, jęczały i łkały smutnie, — a upiory i strzygi biegły za smętarz z ludzi krew przez noc ssać. — Z smętarza zwyczajną drogą kroczył potępieniec ku dworowi, i ominawszy gumna, wszedł do sadu, a wreszcie między zwałiska lamusu.

— „Otwórz się!“ zawołał umarły: — i ogromny kamień leżący u wnijscia odwalił się na bok, odkry-

wając zbutwiałe schody piwnicy. — Nieboszczyk przodem, parobek śmiały za nim, weszli do pustego sklepu, krwawém gorejącego światłem.

Na okrąg ścian w kotłach, w garncach mnogich stały złote i srebrne pieniądze, czyszcząc się z grzechów swojego pana we krwawym płomieniu; w pośrodku leżał wielki płaski głaz.

— „Licz pieniądze!“ — ponuro odezwało się straszidło.

— „Licz ty je sam, panie, — jakoś je za życia liczyłeś,“ — odpowiedział Jan parobczak.

Umarły wtedy począł na płaskim kamieniu liczyć, garnek po garnku, kocioł biorąc po kotle, pieniądze, — od ostatniego poczynając, a na pierwszym kończąc groszu. — Kiedy zaś wszystkie policzył, zawołał na parobczaka:

— „No! czas nam już nazad w drogę,“ — i wyszedł z lochu, — Jan za nim.

— „Zamknij się!“ — zawołał parobek, gdy wyszli na wierzch ziemi; ale na słowa żywego człowieka kamień został nieporuszony, zostawując wolny wchód do skarbów. — I podwoje u kaplicy, i drzwi żelazne grobów również otworem zostały, choć Jan zamknąć im się rozkazywał.

Zaledwie podążyli zniść po schodach między trumny, kury ozwały się po raz trzeci: i umarły bezwładnie upadł na swoje posłanie. Grobowa jasność zagasła na jego twarzy, a wieko samo zatrza-

sło się na trumnie. — Śmiały parobczak natenczas, ażeby upiór nie mógł więcej wstawać, przebódk mu serce osikowym kołem a trumnę dziewięćkroć lipowém opasał łykiem. — Potém, wyszedłszy z lochu do kaplicy, klęknął przed ołtarzem i gorąco dziękował Bogu za okazaną sobie łaskę. —

Kiedy już był dzień dobry, poszedłszy najpiérw z dobrą wieścią do pani, kazał założyć do fury cztery konie, i przewiózł z lamusu skarb wszystek. — W kilka zaś dni, za zgodą pani, Jana i całej gminy, tak rozdzielono znalezione pieniądze : jedną ćwierć dano na kościół, — drugą na wszystkich biednych ludzi, których nieboszczyk krzywdził przez życie swe całe, — trzecią część wzięła pani wdowa, — czwartą parobek Jan. —

Tak Jan, z chudego pachółka zostawszy bogaczem, zakupił sobie tęgi kawał ziemi, i w pracy, uczciwości a prostocie świętej żyje dotąd na Mazurach, — opowiadając, gdy mu się gość zdarzy, jakową sztuką znalazł skarb ukryty. — Jeśliby się więc miał znaleźć kto taki, coby wątpił o prawdziwej powieści, może się iść spytać jego samego. —

Koziółek.

Gadka.

Miała babulenka kozła rogatego . . .

Pieśń gminna.

Około Ciechanowa, w jednej wsi szlacheckiej, mieszkał sobie pan-szlachcic na zagrodzie. — Że był szlachcic urodzony, niechciało mu się nic robić, a pić bardzo; tak tedy, poradził sobie, kradąc chudobę chłopom po wsiach okolicznych. — Żaden chłop nie mógł uchować żrébiaka, ani cielaka, — baba kury, ani gęsi, jeśli się o nich nasz szlachcic zwiedziały.

Kiedy już chłopci nareście nie mogli się dać z nim rady, jedna baba-czarownica obiecała im przyjść w pomoc i ukarać łapikurę.

Dnia jednego, ciężką zimą, miał on powracać z targu do domu, tuż właśnie obok chaty czarownicy, samotnie opodał za wsią stojącej. Baba umyślnie wypuściła wtedy na drogę kozła swojego, a sama skryła się w izbie.

Nie za długo — tętni ziemia — i szlachcic, dobrze zakropiony, pędzi oklep na kobyle . . . Patrzy: — koziół samotny skacze po nad drogą; obejrzy się, — nikt nie widzi: — więc co tchu skoczył na ziemię, złapał koziółka i dalej z nim na szkapę.

Jedzie, a wesół z zdobyczy, począł pieścić się z koziółkiem, — otulił go sukmaną i głaszcząc po czarnym karku począł się nad nim litować: — „Zmarzł mój kozunio! — o zmarzł!“ . . .

Aż tu koziół, — a nie koziół ale djabeł, — jak nie odwróci łba ku szlachcicowi, jak wywróci strasznie ślępie, jak ze śmiechem beknie na całe gardło: — „Zmarzł kozunio! zmarzł!“ . . . jeździec struchlały wypuścił go z rąk i poleciał jak szalony do domu . . . A od tego wypadku tak mu się pomąciło w głowie, że do dnia śmierci nic już mówić nieumiał, tylko te słowa:

„Zmarzł kozunio! zmarzł!“ . . .

Drwal i Djabeł.

Baśń.

Nie tak djabeł czarny, jak go malują.

Przysłowie.

Był sobie jeden, pocziwy, pobożny i pracowity, ale bardzo — bardzo ubogi, drwal. — Z lichėj chałupy, w której z żoną i dwojgiem drobniutkich dzieciszczek siedział, musiał cztery dni w tydzień dla dworu odrobić, a dla siebie zapracować wydażył ledwie tyle, że z głodu nie marł z rodziną. — Alić, na ostatnią niedzielę, nawiedził na raz Pan Bóg kobietę jego srogą i długą niemocą.

Biédny człowiek, ratując ją wszystkimi siłami, wyszypłał się do ostatka, — posprzedawał suknie i sprzęty, — że wreszcie w całej izbie cztery kąty i piec piąty, liche łoże, dzieża do chleba i żarna zostały. — Pókiż jeszcze było chociaż co umłóc w tych żarnach na strawę Ale na ciężkim przednówku wyszafowało się ze szczętem, co było zboża w domu,

— tak że jednego dnia biédny drwal, wytrząsłszy wszystkie miechy, ani garstki jednéj ziarna nie mógł ubierać. A tu, żona osłabiona, na słomie leżąc, jęczy z głodu i dzieci piszczą chleba! Jęknął cicho nieszczęśliwy ojciec, — a niewiedząc już co począć, przyciśniony ostatnią potrzebą, odważył się pojsć do pana, którego kiedy indziej, jak ognia się bojąc, z daleka unikał.

Oj! bo był téż to i pan! . . Sztuczka, jakiej daleko daleko, szeroko szukać by potrzeba drugiej! Dorobiwszy się i tak i siak trochę grosza, psim figlem jakimś wyrzucił ze wsi wdowę i dzieci dawnego dziedzica, i nadęty nową godnością wziął się do rządów po swemu. Gospodarował, co prawda, porządnie i bardzo pilnie; ale na grosz nie było żadnego żyda nadeń chciwszego. Byłby z dębu dał łyka a z ludzi skórę żeby tylko mógł je sprzedać. — Wiary zaś, to był iście pogański. Jak kto przychodząc do niego pochwalił Pana Jezusa, przenigdy nie odpowiedział na wieki. Jak mu nie w porę były słoty albo susze, to bluźnił tak okropnie na wszystkie świętości, że ludziom włosy słuchając wstawały. Kiedy dziad przyszedł po prośbie, nie dał mu nigdy grosika zła-manego, jeno się naprzedrwiwał i naśmiał z biédaka. — A że do tego wszystkiego miał obyczaj kłać: bo daj djabli wzięli, szeptali sobie ludzie po cichu że taki go kiedy i wezmą, pocieszając się tą nadzieją w swym ucisku.

Niedziw że do takiego kanaczka z prośbą odważyć się trudno przyszło drwalowi; odważył się jednak, bo musiał, i pokłoniwszy się mu do nóg, żebrał o kęs jaki strawy dla zgłodniałej rodziny, klnąc się na zbawienie duszy odrobić albo oddać po żniwie. Ale twardy jak opoka pan, ani wysłuchać do końca nie chciał żalów i próśb jego; pogroził jeszcze, że jeżeli żona drwalowa dłużej tak będzie w łóżku chorą udawać i do roboty nie wyjdzie, z chałupy ich wyrzucić każe.

Strapiony nieborak szedł ze dworu na wieś, od jednego do drugiego sąsiada, prosząc o wsparcie; że przecie rok był głodny i drogi, wszędybyła koło ludzi bięda, zaledwie więc uprosił żyta na jedną bułeczkę chleba. I za to Bogu i dobrym ludziom podziękował drwal serdecznie, a przyszedłszy do domu umieł w żarnach zboże, upiekł z niego bułkę i podzielił nią żoną z dziećmi. Sam, ażeby więcej miały, nic niejadł, tylko wymiótłszy z kamieni resztki maki i otrąb zrobił z nich mały podpłomyk, — i wzięwszy go sobie w kieszeń odszedł z siekięią do lasu na robotę.

Właśnie dnia tego wypadła mu robota niedaleko bagniska, gdzie, jak starzy powiadali ludzie, djabeł z dawna miał siedlisko; ale niebogi człowiek, biędą swą i pracą zajęty ani wspomniał na te wszystkie powieści, jeno zdjawszy z siebie wierzchnią suknię, wziął się żywo do siekiéry.

Na łoskot siekiéry nadleciał z bagniska ciekawy djabeł i zobaczył drwala pracującego w pocie czoła. Przejrzał wnet całą jego biędę, — że ode wczoraj nie miał kęsa chleba w ustach i że lichy podpłomyk w kieszeni był jego ostatnim posiłkiem; a jako djabeł zawsze na złe ludzkie chciwy, skradł się gdzie leżała zdjeta sukmana drwalowa, porwał z niej placek i rzucił go w najgłębszą otchłań bagniska. — Ciesząc się ze swój niecnoty, poleciał czémprędzej do piekła, pochwalić się z niej przed najstarszym czartem.

Ale chociaż to i najstarszy czart, więcej miał w sobie sumienia i litości, niżeli nie jeden człowiek, krwią Chrystusową odkupiony; skoro rzecz całą usłyszał, zatrząsł się wszystek ze złości.

— „Jako?“ zawrzęsnał — „toć ty hultaju śmiał taki wstyd djabłom zrobić! . . . pocziwemu człowiekowi, co przez całe życie, pomimo najcięższej nędzy, prawą zawsze chodził drogą, śmiałeś porwać ostatni kęs chleba, bez którego z głodu zemrzeć może?! . . . Leć mi natychmiast, ładajku! za tę krzywdę, którąś mu wyrządził, służyć póty temu człekowi, aż cię sam od siebie odprawi.“ —

Psotny djabeł, sfukany i zawstydzony, wyleciał z piekła, i przemieniwszy się w parobka, szedł ku miejscu gdzie drwala zostawił.

Biédny człowiek, znużywszy się pracą, siedział właśnie pode drzewem, szukając napróżno po kieszeniach sukmany swego jedyne go posiłku. Nieznajdu-

jąc go, opuścił cicho głowę na piersi, i dwie łyzy okrągłe, wielkie, jak dwa ziarna grochu, potoczyły się z ocz jego po twarzy; a tyle było okropności w tej cichej boleści pocziwego człowieka, że djabeł patrząc na nią aż zadrżał cały i pożałował z głębi serca swęj psoty. Zbliżył się tedy do drwala, i siadając obok niego na kłodzie, zapytał:

— „Miły człowiecze! cóż to tak płaczecie?“ —

— „Bogać nie mam płakać!“ — odrzekł drwal. „Dobę już całą chlebam w uściech nie miał, aż cały z sił spadłem, a oto teraz ostatni kęs ktoś mi ukradł z kieszeni. Oj niecnota bez sumienia! . . . chyba to tylko ten sam djabeł, co powiadają że tu w bagnie siedzi; człek by się na taką psotę nieodważył.“ —

— „Ha!“ mruknął spuszczać oczy djabeł — „nie takić bo to i djabeł czarny, jak go malują Ależ powiedźcie mi, mój człecze, z kąd się was taka bięda u licha czępiła? Ej! czyście tylko nie za bardzo hulali, a teraz może pokutujecie?“ —

— „Tak! . . . i jak niema być bięda? Z lichego kawałka ogrodu i mizernęj izby człek musi cztery dni do dworu odrabiać, a w resztę dni to za psi piędz, co ledwie na sól wystanie. Jeszcze teraz, w czas najcięższy, Bóg mi nawiedził kobietę chorobą, że już osiem niedziel w łóżku leży. Trzebać ją było ratować, — i wszystko co się w domu znalazło poszło między ludzi; dzisiaj zostało nam tylko umrzeć z dzieciskami z głodu.“

I znowu nieborak pochylił smutnie głowę, a oczy zaszyły mu łzami nowemi.

— „Posłuchajcie no tylko, gospodarzu!“ rzekł djabeł, biorąc go za rękę, „a będzie nam obu dobrze. Oto przyjmijcie mnie za parobka, — a kiedy wy dla dworu robić musicie, ja tymczasem tyle zapracuję, że dla nas wszystkich wystarczy. — Właśnie szukałem sobie gdzie służby, ale o téj porze trudno gdzie miejsce znaleźć; musiałbym się ot kołatać po świecie. — Szczęśliwy będę, jak mi dacie u siebie przytulisko i co się starczy pracować wam się niepołenie.“ —

— „Wola twoja, mój przyjacielu!“ odpowiedział drwał. „Dachu i kąta w chacie nikomu nie bronię; ale pamiętaj że u mnie krwawa bięda, i o głodzie pracę zaczynać musisz.“

— „No, o to nie miejcie kłopotu! mam ci ja ze sobą zapas, co na dziś — jutro dla nas wszystkich wystarczy.“ To mówiąc, bięs zdjął z siebie podróżną torbę, wy dobył wódki, chleba i słoniny, i drwała ze sobą do obiadu zaprosił. —

Po obiedzie zagadł znowu djabeł: „Gospodarzu, zasłyszałem gdzieś po drodze, że wasz pan chciałby ten kawał lasu na pole wyrudować? idźcież do niego i ugódźcie się, a będzie kawałek grosza.“

— „Ba! pan się chce ogółem o całą robotę zgodzić, — a ma do wyrudowania piędziesiąt włók lasu. Ileby to lat nam trzeba, żebyśmy w dwojgu téj robotie podołali?“

— „O to nie miejcie kłopotu, moja już w tém sprawa! Wierzajcie na moje słowo; mam ja już takie sposoby, że niedługo się wszystko skończy. — Nie traćcie tylko czasu i chodźcie do dworu na zgodę!” —

Drwalowi się to okropnie dziwném zdawało, o czém go djabeł zapewniał; ale pomyślał sobie, że uczciwe człowieczysko czemu by go zwodzić miało? uwierzył, — i poszedłszy z nim do pana, zgodził się wyrudować cały ów kawał boru — za psi pieniądze — za tysiąc złotych i kilkanaście korcy zboża. —

O zmroku, parobek, poczęstowawszy z zapasu swego gospodarza i jego rodzinę, począł się wybiierać na robotę do lasu, drwała, żeby został przy żonie namawiając. Ale ten ani sobie mówić nie dał, żeby parobek sam miał za obu pracować; wziąwszy zatem siekiere poszedł z nim do boru.

Kiedy na miejscu stanęli, drwal dopiero spostrzegł, że parobek jego zapomniał wziąć z sobą siekiery.

— „A człowiecze! cóżes ty zrobił?” zawołał, „tożes ty w domu siekiarzyska zabaczył! Wracajże po nią czempredzėj.”

Rozśmiał się djabeł na te słowa.

— „Oho! mój gospodarzu! siekiarą i rydlem tobyśmy przez rok cały nie wiele zrobili. — Poczekajcie tylko chwilkę, zaraz ja się tu wezmę inaczej do dzieła.”

To mówiąc, odszedł w głąb' lasu i począł wicherem się kręcić. — Ogromne sosny, graby, dęby, powyrywane z korzeniem, połamane jak drobne słomki, z hukiem i piskiem prawdziwie piekielnym, poczęły się walić na ziemię Drwał przestraszony i zgrozy pełen, uciekł co tchu w pole, — przyczekał chwilę za parobkiem, a wreszcie odszedł modląc się do domu. —

Djabeł o świcie dopiero powrócił do chaty, — ku wielkiej radości drwala, który już sobie pomyślał że go padające drzewa zabiły, i nie jeden paciérz zmówił za jego duszę. — Zdziwił się nie mało pocziwe człeczysko, słysząc że parobek całą noc pracował; a ciekawy, co téż mógł zrobić w taki czas przekłety? poszedł z nim ku południowi znowu do lasu.

Przyszedłszy, stanął, niemy od dziwu, przecieraając sobie oczy, — bo mu się snem zdawało wszystko na co patrzył. — Cały ogromny kawał boru, o który ugoda z panem stanęła, leżał wszystek na ziemi, powalony z korzeniem, tak że ani jedno drzewko stojące nie pozostało.

— „No, gospodarzu! wszakżem wam powiedział, że mam ja sposób w prędcie wszystko skończyć,“ ozwał się djabeł do drwala, który łotąd jeszcze nieprzemógł ust otworzyć, ani oczu oderwać od zwalonych łomów. „Trzebaby teraz tylko sprowadzić pana, żeby zobaczyć i zapłacić.“ —

Ledwie to wymówił, posłyszeli za sobą tentent konia: był to dziedzic, który wybrawszy się w pole z charty, zboczył, zobaczyć czy robota już zaczęta. —

Charty, skoro zobaczyły parobka, zawyły prze-
rażliwie, i wyrwawszy się ze smyczą uciekły skomląc
w pole Drwał, który już i tak domyslać się po-
czał z kim ma sprawę, widząc to struchlał, i usuną-
wszy się ode djabła, modlił się w duchu do najświę-
tszej panny. Lecz pan, co ani w Boga ani w djabła
niewierzył, tyle tylko widział, że tanim pieniądzem i
prędko wydostał kawał roli na folwark. Zdziwiony
jednak nieco zawołał:

— „Ho! tegiś ty widzę, chamie! i z parobkiem twoim,
kiedyście przez noc jedną taki kawał pracy uśpieli!“

Drwał, co nigdy nie szukał chluby z cudzego
dzieła, tém mniej chciał jęć teraz z djabelskiego; po-
kłoniwszy się więc panu, odpowiedział, jako jego pa-
robek to wszystko sam sprawił i jemu téż cała należy
nagroda.

— „Nie tak! nie tak, gospodarzu!“ zawołał pa-
robek, „jam się wam zgodził służyć za kął w chacie
i ognisko, a co zarobię, wasze wszystko.“ —

— „Dzielcie się sobie, jak się wam żywnie po-
doba; a chodź który zaraz po pieniądze; może się i
zgodzim o nową robotę,“ rzekł dziedzic, zawróciwszy
konia, i odjeżdżając do dworu. —

Drwał ani sobie dał mówić, żeby miał iść po za-
płatę; a tak parobek sam się po nią wybrał.

Przemądry dziedzic, przyjechawszy do domu, wyliczył zaraz na stole sprawiedliwie tysiąc złotych, rozmaitemi pieniędzmi, jakie miał pod ręką, i chodząc po pokoju zacięrał ręce z radości, że sobie kilka tysięcy oszczędził, ciesząc się przytém na dalsze korzyści z głupich chamów. — Ale kiedy po pieniądzu dość długo nikt nieprzychodził, pomyślał sobie, że możnaby jeszcze oszczędzić kilkadziesiąt złotych, mieszając pięciozłotówki między talary, a półzłotki pomiędzy całe złotówki; chłop głupi ani się spostrzeże w takiej kupie pieniędzy! . . . I co pomyślał wnet uczynił.

Za chwilę wszedł téż parobek po zapłatę.

— „No, chłopie!“ rzekł pan, „pójdźże sam! — Oto masz tu okrągło tysiąc cały złotych. Kawał grosza zarobiliście, — nie każdy by dał wam tyle co ja! . . . Przeliczyć sobie dobrze, żebyś potém nie myślał żem cię skrzywdził.“ —

Ale parobek, pokornie się kłaniając, zdał się na pańską cześć i sumienie; zgarnął nieliczone pieniądze do miecha i zawiązał, a dziękując za prędką zapłatę miał się ku odejściu. — Pan radby wszedł był zaraz w nową umowę, o ubicie sążni i zwiezienie przed browar; gdy przecież parobek bez gospodarza nie chciał nic poczynąć, musiał interes na potém odłożyć.

Djabeł, przyszedłszy do drwala, oddawał mu wór z pieniędzmi.

„Mój przyjacielu!“ odpowiedział gospodarz, „wiesz że ja na ten grosz niechorowałem, wszystko to twoja sprawiedliwa własność! Weźże ją sobie i idź w świat zdrów.“

— „Ej! gospodarzu! a godziź się to tak wyganiać człowieka z domu, przyjąwszy? . . a czy ja wam to co złego zrobiłem? czy was do złego nawodzę?“

— „No, nie!“ rzekł, drapiąc się w głowę, drwal uczciwy, wstydząc się trochę za swą niegościnnosć; „ale bo widzisz, teraz masz tyle, że ci nietrzeba mojej mizernej gospody. A żeby ci już tak prawdę zupełną z serca wypowiedzieć, to mi się po twojej pracy widzi, że albo z djabełem trzymasz, alboś (bez urazy) sam djabeł.“

— „Ho-ho!“ rozśmiał się parobek, „tacyście to domysłni! . . . Ale cóż to wam, choćbym był i djabełem? wszak od was niechcę zapisu na duszę, ani od wiary wyrzekać się każe! . . . Pomówmy ze sobą szczerze. Już to kiedy mnie niechcecie, pójdę sobie precz; ale pieniądze wziąć musicie. Słusznie się wam one należą i nie darmo je wam daję; zapłata to za ową bułkę, co ją wam wczora ukradłem. — Jeśli tych pieniędzy nie weźmiecie, muszę wam służyć dłużej, aż krzywdę odrobie. — Z resztą, możecie spytać jutro księdza, czy grzech je mieć będzie.“ —

Ostatnia uwaga przekonała zupełnie drwala; wziął pod tym warunkiem pieniądze i schował pod żoniną poduszkę.

— „Ale, ale!“ rzekł djabeł, zabiérając się do odejścia, „żebyś i ja téż coś zarobił, darujcie mi te dziesięć talarów, których pan niedorachował; już ja się o nie upomnę.“

— „Z całego serca daruję ci je!“ odrzekł drwal, podając mu rękę, — i rozstali się w najlepszej przyjaźni. —

Wieczorem siedział sobie w dworze pan na kanapie, paląc fajkę na długim cybuchu i popijając herbatkę; w tém otwarły się drzwi i parobek-djabeł wszedł z pokłonem do pokoju.

— „A co tam?“ zagadnął krótko, obyczajem swoim, panek.

— „A oto, z wielkiém przeproszeniem, przyszedłem do wielmożnego pana, jeszcze wedle téj zapłaty. Jakaśmy się obliczyli, brak okragło dziesięć talarów. Wielmożny pan się omylił widać, — ale pan przecie nie będzie chciał mojej szkody.“

— „Co ty mi znów bajasz? ośle jeden!“ odburknął pan gniównie, buchając dymem. „Dwa razy wszystko liczyłem, ani grosza nie zbywało. Jeszcze wam to mało? co? że chcecie ze mnie wyłudzać?... A jeśliś zgubił po drodze, nie moja wina, żebyś ci płacił drugi raz.“ —

— „Ej! gdzie tam zaś panie zgubiłem!... Worek nowy, caluteńki, a jak go tu zawiązałem tak pro-

ściutko związany do domu przyniosłem. — Niechaj mnie diabli wezmą, jeśli słówko kłamie.“

— „A mnie niech diabli wezmą, jeśli cię o grosz skrzywdził!“ wrzasnął pan i zerwał się, za drzwi wyrzucić natręta.

Ale mniemany parobek na te słowa tylko czekał. -- W mgnieniu oka z pokornego chłopca przedzierzgnął się straszny djabeł: pochwycił chciwca za gardło, — wycisnął z niego złą duszę, — porwał ją w szpony, jak jastrząb' wróbla, i przez komin wyleciawszy poniosł ją prosto do piekła.

Służący, wszedłszy sprzątnąć od herbaty, zastał pana trupem. Sprowadzony z miasta doktor nic już wskórać nie mógł, powiedział tylko że nieboszczyka apopleksja zabiła.

Drwal uczciwy szedł zaraz nazajutrz do spowiedzi. Gdy mu ksiądz pieniądze zatrzymać bez grzechu pozwolił, wyratował za nie żonę z choroby i zapomógł się tak, że mu przy pracy i trzeźwości nigdy już więcej bięda we drzwi niezajrzała. —

Anielska czyli Djabelska Góra pod Rawą.

Podanie.

Głód, powietrze, ogień, woda —

I wszelaka zła przygoda —

Będą temu, ktoby starą

Ojców swoich wzgardził wiarą.

R. W. Berwiński.

Kiedys — Bóg sam wie jak niezmiernie dawno — na górze téj stał był warowny zamek, a w zamku gnieździł się djabłu oddany zbójca, z gromadą łotrów, z którymi łupił na okół kościoły, dwory i chaty, napadał po drogach podróżnych, i niesłychane wyprawiał gwałty. — Kiedy już nareście ludzie dłużej wytrzymać nie mogli i przebrała się miarka bożej cierpliwości, przyszedł na zbrodniarzy dzień kary. — W noc straszliwą, w pośród grzmiącej burzy i piorunów, ogień siarczysty spadł z nieba na zamek i zamienił go w zwaliska; zbójców zaś, z między płomieni, widomie djabli do piekła porwali. —

Gdy się wieść o tém rozeszła po kraju i ludzie kiedy z pierwszej ochłodnęli trwogi, znaleźli się tacy, co pomnąc o skarbach niezmiernych, przez zbójców w lochach zamku gromadzonych, zapragnęli je wynaleść; ale czart, który teraz zamieszkał sobie w gruzach ogorzałych, tak ich przepłoszył, że nie jeden życiem przypłacił śmiałość swoją. Odtąd nikt już tam więcej chodzić nieśmiał, — a diabli w około góry wyprawiali co noc harce, zwodząc i strasząc nieświadomych przechodniów.

Mineło tak może sto, może i dwieście lat, kiedy jedną razą zjawił się, niewiedzieć z kąd, pustelnik, który pomiędzy szczątkami murów zlepiwszy sobie mieszkanie, osiadł na górze. Z téj pory ustały na niej wszelkie strachy i przeszkody, — zapewne świątobliwemi jego pokonane modły, — a lud z okolic, zasłyszawszy o bogobojnym starcu, począł się schodzić do niego w utrapieniach swoich. — On chorych leczył, strapionych pocieszał, anieszczęśliwych i ubogich hojną wspierał jałmużną. — Nie wiedząc imienia starca, wszyscy go aniołem, a górę anielską zwali. . . .

Alić, po pewnym czasie, pustelnik, — czy to, zbrzydziwszy sobie grzechy ludzkie, poszedł gdzie w głębokie puszcze? czy żywcem do nieba wzięty? — dość że zniknął na raz bez śladu. — Znowu natenczas niektórzy okoliczni mieszkańcy zapragnęli bogactw zbójceckich, o których wspomnienie trwało;

ale, choć teraz nieczysta siła nieprzeszkadzała widomie, napróżno się mozolili, rozwalając twarde mury i kopiąc w gruzach — nieznaleźli ani złamanego szelaga. — Przestali więc ludzie zgoła myśleć o wydobyciu onych skarbów, — jak bądź wieść o nich szła wciąż od pokolenia do pokolenia.

Dopiero gdy Prusacy trzymali Warszawę, zdarzyło się że do Rawy przywędrował, kusy, w trójgraniastym kapelusiku, w pluderkach, pończoszkach, trzewiczkach, a chudy jak szczapa, cudak, — opowiadając: że umie skryte wynajdywać skarby i że jest ich bez liku na Anielskiej górze. Na przekonanie niedowierzających puścił pod górę złocistą kulę, która się sama z siebie na wierzch zatoczyła i legła w pośrodku gruzów. — Mieszczanin rawski, do którego pod ten czas góra należała, widząc to, dał się skusić namowom kusego i począł rozmyślać gorąco, jakby się do skarbów można dostać. Nie była to rzecz łatwa; podług powieści kusego do wydobywania ich koniecznie potrzeba było: szczérozłotój motyki, oskardu i rydla, — na to zaś całe mienie mieszcza-nina nie starczyło. W krótcie jednak znalazło się z nim do współki kilku łakomych sąsiadów.

Rozumni a pobożni przyjaciele odradzali im gorliwie, przedstawiając: jako mając z łaski Boga pewny kawał chleba, nie powinni sięgać po źle nagromadzone bogactwa; jako kusemu nigdy niedowierzać, — osobliwie zaś że temu kaducznie coś źle z oczu patrzyło.

Ale zaślepieni chciwce ani ich służyć niechcieli, — a mając się za mędrszych od innych prostych ludzi, szydzili w oczy z odradzających i robili swoje. — Zadłżyli się po uszy, pozastawiali u żydów gospodarstwa, aż wreszcie były gotowe szczérozłoty rydel, oskard i motyka. I zabrawszy je ze sobą, poszli z kusym na górę.

Począwszy od rannéj zorzy, kopali naprzemiany w piasku przez dzień cały; aż o północy dokopali się nakoniec do ogromnego kamienia, pod którym — zapewniał kusy — miał się zaraz skarb ukazać. — Jeden po drugim próbowali mieszczanie, ale żaden ciężkiego niemógł dźwignąć głazu; wtedy sam kusy spuścił się w dół, wraz z złotemi narzędziami. — W téj chwili z wieży rawskiego kościoła wybiła dwónasta godzina Góra zaczęła drżeć i grzmieć straszliwie w swéj głębi, — płomień siarczysty z dymem buchnął z dołu, — i kusy djabeł, ryknąwszy piekielnym śmiechem, zapadł się ze wszystkiém w ziemię, która się nazad zawarła, jakby nigdy nieruszona

Mieszczanie, przywiedzeni do ostatniej nędzy, jedni się powieszali i potopoli z rozpacz, — inni z żalu poumierali, — inni poszli żebrac z torbami po świecie. Jeden z nich, jeszcze przed niedawnemi laty miał bywać na odpustach w Miedniewicach.

I od tego to nieszczęśliwego wypadku góra diabelskiej dostała nazwisko. —

Góra, od której powyższe podanie, leży pomiędzy miastem Rawą a wsią Głuchówkiem, na łągach do téj ostatniej należących. Okrągła, jak na dzieło ludzkich rąk ogromna, z piaszczystej usypana ziemi, — trawą i gdzieniegdzie tylko krzewami porośła; — u podstawy jej dotąd rozeznac można ślady rowu. Na wierzchołku, wklęsłym i nierównym, — jak to zwykle na zgłiszczach dawnych grodów bywa, — widać miejscami sterczące ogromne kamienie, niby szczęty fundamentów. —

Podanie przywiedzione spisałem po części podług tego co mi na miejscu (1842 roku) opowiedziano, więcej zaś jeszcze podług zasłyszanych powieści od dziadów, na odpuscie, w niedalekich z tamtąd Miedniewicach. — Co do ostatniej części jego, wiarogodne osoby, i sam ówczesny dziedzic Głuchówka, zapewniały mnie, że istotnie za czasów pruskich oszust jakiś, obiecując wydobyć skarby z góry téj, przywiódł do zupełnego upadku kilku lekkomyślnych mieszczam z Rawy.

Podanie Miejscowe od Łomży.

I. O Wielkoludach.

W okolicy téj, nad Narwią, miały kiedyś mieszkać Wielkoludy. — Były one tak ogromne, że chłopiec dziewczynie swojej przez' rzekę jabłko z ręki do ręki podawał. — Kiedy bili się między sobą, stali jedni na prawym, drudzy na lewym brzegu Narwi, i ciskali na siebie kamieniami, wielkimi jak koło młyńskie; jeden z takich kamieni, niedoniósłszy, padł w rzekę, i leży dotąd wśród wody. — Przed kilkudziesięciu laty, kopiąc nad brzegami, znaleziono kości tych Wielkoludów i do kościoła oddano. —

II. O górze zamkowej.

Ćwierć mili może od Łomży, idąc w górę rzeki, tuż nad brzegiem, pośród innych nadrzecznych wzgórz, znajduje się pagórek, oddzielnie stojący, nie zbyt wielki, zamkową-górą zwany; ślady murów kamiennych, w ziemi tkwiące, stwierdzają tę nazwę. —

Podobniejak niemal o wszystkich starych zamczyskach, i zgliszczach ich w Mazowszu, tak i o tutaj stojącym niegdyś, powiada się że był królowej Bony własnością.*) — O końcu zaś jego następne są powieści:

Władnaca tu niegdyś księżna, czy królowa, (podług niektórych właśnie Bona), miała jedynego syna, który bez jęj woli poślubił sobie ubogą sierotę. Rozgniewana tém matka synowę straciła, syna zaś, przywiązawszy go na dzikim koniu, z zamku wygnać kazała. — Koń, przepłynąwszy Narew, tułał się długo z młodym księciem, aż go zaniósł do jednéj wsi, wśród lasu leżącej. Ludzie, schwyciwszy konia, zdjęli z niego poranionego panicza, a opatrzywszy, głodnego marchwią, — jako najlepszém jadłem jakie mieli, — nakarmili. — Książę, przyszedłszy do siebie, zebrał ludzi z téj i z pobliskich wsi, uzbrojonych jako mógli, i szedł z nimi zdobywać zamek ojcowski. Zdobył go i zburzył, a po ucieczce matki sam panem zostawszy, przyzwał k sobie mieszkańców onęj wioski, co go od śmierci wybawili. — „Co to była za potrawa, którąście mnie posilali?“ spytał, — jako pan taki oczywiście niewiedząc nic o tak prostęj strawie. — „Marchew!“ odpowiedzieli chłopi. — „Odtąd wieś

*) Powiadanie gminne w tym względzie nie jest bez zasady, gdyż Bona, dzierżąc Mazowsze w oprawie, istotnie była zamków mnogich panią. Gdy zaś znajdowałem kilka ruin, przy których nic o Bonie niemówiono, wniesć by można że te, które Lud jęj przyznaje, jnż lub jeszcze za czasów jęj exystowały. —

ta cała do was należy, i nazywać się ma Marchwiny, wy zaś wszyscy szlachtą Marchwińskimi,“ zawyrokował książę. — Wieś ta ma dotąd istnieć za Narwią, jako osada drobniej ślachty, tegóż nazwiska.*)

Druga wersja od powyższej różni się w końcu: podług niej bowiem obleżona w zamku matka, nie chcąc się synowi poddać, zakłęła się i wraz z zamkiem w ziemię przepadła.

To ostatnie zakończenie, lepiej niż pierwsze, przystaje do dalszego o zamkowej górze szczegółu: że w niej niezmierne skarby, pod strażą złych duchów, kryć się mają. Można by je z zaklęcia uwolnić i wziąć, gdyby księża z fary łomżyńskiej, w uroczystej processyi przyszedłszy, odprawili mszę na górze; warunek jednak: że tak wybrać się z kościoła trzeba, żeby za niczem co do nabożeństwa należy nie wracać. — Dwakroć przedsięwzięło duchowieństwo tameczne spełnić to zadanie, — ale za każdą razą jakiejś drobnostki zapomniano. — Raz trzeci wreszcie wybrano się już we wszelkiej zupełności i processya doszła już pod samą górę. W tém, niewiedziąc z kąd, z góry pokazała się świnia w ornat ubrana, i ko-

*) Zdawałoby mi się że treść główną do tego podania dało jakieś istotne zdarzenie, bezochyby wcześniejsze wiele od wtrąconych wń z czasem szczegółów. — Upowszechniona we swój porze wieść o otruciu Barbary przez Bonę powodem jest pewnie, że téj ostatniej imię w powieść dawniejszą wmięszano. —

ziołkując przez łeb na dół spadła. Wszyscy obecni i nawet celebrujący w śmiech! — Wtedy z głębi góry dał się słyszeć głos: — „Takie to wasze nabożeństwo! że jedna świnia je przerwała? . . i wy chcecie diabła wojować?“ —

Na to, przerażeni i istotnie upokorzeni księża wrócili z niczém do fary, — i nikt już więcej o dobyciu skarbów niemyśli. —

Miedzy gminem tutejszym wreście utrzymuje się mniemanie (w wielu miejscach tak u nas jak i za granicami pospolite), że lochy w górze-zamkowej zawarte łączą się pod ziemią z kościołem farnym w Łomży, — budową dla starożytności i składu swego uderzającą wyobraźnię. —

Podania miejscowe Warszawskie.

I. Syrena.

Jak wiadomo, miasto Warszawa ma za godło Syrenę, czyli, jak ją gmin czasem nazywa, morską-pannę. Pochodzenie tego, w kraju od morza dalekim dziwnego herbu, dotąd podobno niewyjaśnione.*) Może

*) Wprawdzie F. M. Sołteszczański („Wiadomości historyczne o sztukach pięknych w dawniej Polsce“) dokładnie wywodzi że najdawniejsza, z XV. wieku, pieczęć Warszawy wyobraża wyraźnego gryfa, mającego zamiast głowy pół figury mężczyzny, trzymającego nad głową w prawej ręce prosty miecz, w lewej okrągłą tarczę w polu gałązkami ustrojone, — że w XVI. gryf przemienia się w czleko-smoka, — że w XVII. dopiero jawi się popiersie kobiece, z piersiami, u dołu smoczym ogonem, w górę zakręconym, zakończone, z skrzydłami, — że dopiero na koniec w XVIII. dolną połowę smoczą zastępuje rybia. Ale po nim A. Wejnert, w swoich Staroż. Warszawy, miał podobno, jak się z drugiej dowiaduję ręki (samego dzieła dotąd niewidziawszy), podnieść i wykazać ostatecznie pierwszeństwo Syreny. — Nie odrzeczy będzie dodać tu szczegół, że Syrenę ma w herbie także

nie bez związku z nim będzie podanie, które dzieckiem będąc pomiędzy staromiejską ludnością zasłyszałem, że kiedyś, gdy jeszcze Wisła szła tuż pod zamkiem, w miejscu gdzie dziś jest ulica Dunaj, był strumień czy źródło, tegoż nazwiska, a w nim mieszkała Syrena.

Jakbądź dawno już dosyć gdy mi to powiadano, jestem pewien że mnie pamięć niezawodzi, żem tu wiernie słyszaną rzecz powtórzył. — Po roku 1840., gdy z zamiarem szukał azali podania o Syrenie nieznajdę gdzie szerszego i szczegółowszego, już tylko kilka starych osób powtórzyć mi je umiało, — nic jednak więcej nad to co już wiedziałem.

II. Kościół N. P. Maryi.

Było to dawnych, bardzo dawnych czasów, — kiedy na miejscu gdzie dziś stoi Warszawa, las jeszcze gęsty porastał, — nieopodal gdzieś, nad Wisłą, mieszkał był bogaty młynarz Warsz. — Przy pracy i oględności szczęśliwie mu się darzyło: chleba i miodu nie brakło, a grosza, co gdzieś tam w ziemi leżał w miedzianym zachowany kotle, mógłby mu pewnie nie jeden z ówczesnych książąt pozazdrościć. Otóż zdawało się, że onemu młynarzowi nic by dole-

miasto Turyngii Schleusingen, podług podania powstałe na miejscu, gdzie jakiś książę dziewicę wodną z władzy złego czarownika wyswobodził i zaślubił. (Der Sagenschatz des Thüringerlandes, von L. Bechstein.)

gać nie miało; on przecież często był smutny i często mówiąc do żony swój powtarzał: „Bóg nam nie ła-skaw.“ — I słusznie trapić się mógł, bowiem dotąd ich miłość, jak kwiat zawczesny, była bez owocu. Oboje tedy hojne dawali jałmużny, a z porankiem powstając i kładąc się spać wieczorem prosili gorąco Maryi Boga-rodzicy, aby im zesłać potomstwo raczyła. —

I stało się że jednego wieczora Warsz, modląc się dłużej niż zwykle, snem znużony zasnął był kłę-żąc. A gdy zasnął, przed olśnionými oczyma jego ukazała się, — otoczona chórami aniołów, w szacie z kolorowój tęczy, z małym synaczkiem na ręku, — błogosławiona Boga-rodzica Marya. I kiedy młynarz uląkł się wielce, rzekła doń: „Nie trwóż się, miły człowiecze! a posłuchaj co ci powiem i uczyn to, — chcesz li by wysłuchane były prośby twoje. Oto, skoro ranek, powstawszy wstaniesz i pójdziesz, idąc po nad brzegiem rzeki; i będziesz szedł aż dopóty, dopóki niezobaczysz śniegu, bielącego się na ziemi. I na miejscu tém zbudujesz kościół, ku czci imienia mego, i sam około niego zamieszkas. A narodzą ci się liczne niemowlęta i błogosławić im będę, jak długo w cnocie i wierze żyć będą.“ — To powiedziawszy, zniknęło widzenie; a młynarz, cały drżący, wstał ze snu. Na niebie właśnie poczynąło świtać; przetoż upadłszy znów na ziemię dziękował Bogu za objawienie, a pochwyciwszy wędrowną laskę szedł, jako mu przykazano.

Było to w sam pośrodek żniw, w lato gorące i suche. Młynarz przecież, nietracąc ufności, szedł wciąż po nad brzegiem Wisły, choć pod stopami jego piasek był jak żar gorący, a trawą, żółta od słońca, świeciła się po pagórkach. — Ażci, gdy niedaleko jeszcze uszedł w swój drodze, o samym największym upale południa, ujrzy na wysokości górze bielący obrus świeżego śniegu. Złożył zatem na onym chłodnym kobercu modły dziękczynienia gorące i wesół wrócił do domu. — Wnet zwołani rzemieślnicy jeli się budowy kościoła; a że bogaty młynarz niczego nieszczędził, rosła ona jak na drożdżach i w rok stanęła cała taką, jaką jest po dzisiaj dzień. Na wieczną swego rzemiosła pamiątkę rozkazał Warszularzom w tylną ścianę wbudować ogromny kamień młyński. — Kościół poświęcony został pod nazwaniem N. P. Maryi śnieżnej, — a tegóż samego dnia chrzczono w nim dwoje bliźniąt, dziątek młynarzych. —

III. Pan Jezus cudowny u fary.

U fary

Jest Pan Jezus stary.

• • • Przysłowie warszawskie.

W kościele katedralnym Ś^{go} Jana, czyli farze staromiejskiej, w bocznej kaplicy koło presbiterium, zwykle od rana do wieczora modłącemi się zapełnio-

nój, znajduje się drewniana figura ukrzyżowanego Jezusa, w przyrodzonej wielkości, — powszechnie za cudowną uznawana. O niej są trzy, następujące, podania:

1.

Kiedyś, podczas wojny z Turkami, wojownik jeden, rodem z Warszawy, dostał się w niewolą niewiernych. — Zaprowadzony do tureckiej stolicy, został tamże przeznaczony do służby przy sułtańskich koniach. — Przy studni, u której konie pajał, stała niedaleko wbita w ziemię figura męki Chrystusowej, do niej Turcy swoje bydła wiązali, bluźniąc jej, plwając i smagając biczami. Zamięrało na ten widok serce prawowiernego Mazura ze zgrozy i umyślił sobie raz położyć przecie koniec pogańskiej swywoli. Jednego tedy wieczora, gdy go nikt nieuważał, pobiegł omackiem do studni, a wykopawszy krzyż z ziemi, ucałowawszy nogi Zbawiciela, rzucił go w głęboką studnię, mówiąc: „O Jezu mój! toć lepiej zgnić tam we wodzie wizerunkowi Twemu, niżli cierpieć zniewagę i urągowisko niebożnych nieprzyjaciół Twoich.“ —

W kilka lat później udało mu się szczęśliwie uciec z niewoli i do rodzinnego powrócić miasta. — Tu, dnia jednego, siedząc w oknie swego domu, posłyszał na ulicy zgiewk niezmierny biegącego tłumnie ludu; wychyliwszy się więc, pytał, coby się takiego

stało? — „Cud, cud! na Wiśle pod zamkiem“ — odpowiedzieli z ulicy biegnący. — I on zatém wyszedłszy z mieszkania, podążał tam za drugimi. — Na brzegu rzeki, tłuszcza niezliczona narodu wszelakiego, klęcząc z odkrytymi głowami, modliła się głośno Bogu w obec widomego cudu: bo oto Wisła, środkiem najsilniejszego prądu, krzyż z wizerunkiem Chrystusa płynął, przeciw wodzie, stojący jakby na ziemi. — Biskup od Śgo Jana, z duchowieństwem całym, w uroczystych szatach, z zapalonemi świecami, wsiedli do promu, chcąc płynąć na przyjęcie cudownego gościa; pomimo jednak ciszy zupełnej w powietrzu i usiłowań najlepszych przewoźników, żadną miarą ku niemu zbliżyć się nie mogli. — Ów zbiegły jeniec turecki poznał od razu krzyż, ten sam który do studni był wrzucił; stanąwszy tedy przed Biskupem, opowiedział mu rzecz całą. Gdy zaś, na rozkaz biskupi, siadłszy w łódź odbił od brzegu, cudowny wizerunek sam podpłynął doń i pochylił się w jego ramiona. Tak więc na brzeg wyniesiony, — ze czcią niezmierną i radością mieszkańców do Fary zaprowadzon, — umieszczony jest w ołtarzu, w którym po dziś dzień z cudów mnogich słynie. —

2.

Z czasem ołtarz ten okrył się licznemi dary pobożnych, a głowę Chrystusa przyozdobiła droga korona z brylantów, dotąd na niej błyszcząca. — Zda-

rzyło się, że raz złodziej niejaki, skuszony chciwością, zakradł się wieczorem do kaplicy, — a w nocy, wszedłszy na ołtarz, ściągnął kosztowną koronę ręką świętokradzką. Lecz gdy z nią chciał zniść na ziemię, ręka cudownego posągu pochwyciła go — za jeden włos tylko: a przerażony złoczyńca próżno silił się uwolnić, i jakby najtwardszym przykuty ańcuchem pozostał na ołtarzu do białego dnia. O świcie, dziadek kościelny, przyszedłszy zapalać świece do mszy, spostrzegł go i dał znać do księży. Zbiegło się zatem duchowieństwo całe i mnogość mieszczan z pobliska, a oburzeni zuchwałą zbrodnią, chcąc oddać go na ukaranie, ściągać złoczyńcę zaczęli. Lecz próżne były wszystkie wysilenia: — włos w ręku Chrystusa pozostał niedał się ani zerwać, ni mieczem rozciąć, ani płomieniem przepalić. — Radzili tedy jedni: na miejscu go zaraz ściąć; drudzy: słomą ze smolą obwinawszy, spalić; inni: kleszczami żelaznymi szarpać.

— „A ja zaś sądzę“ — odezwał się z tłoku chłop sędziwy, na targ do miasta przybyły — „woli go bożej najlepiej zostawić. Jeśli ukarać go zechce, bez ludzkiej zdolen uczynić to pomocy; a jeśli przebaczyć woli, jakoż mu się przeciwieć godzi?“ —

— „Prawda twoja, ojcze!“ wykrzykli wszyscy przytomni — „niechaj się stanie jako on rozsądzi.“ —

I oto nagle rozwarły się palce zaciśnięte posągu, wolno puszczając grzesznika, — dając ztąd znak na-

rodowi o nieskończoném miłosierdziu boskiém. — Złodziej, skruszony łaską doznaną, odpokutował zeszłe występne życie i stał się cnotliwym człowiekiem. —

3.

Dawniej bywało, że cudownej figurze rosły włosy na głowie, jakby żywej osobie, — które Biskup co rok zbierał i na relikwie wiernym rozdzielał. Od czasu wszakże jak ktoś, skrycie, niegodną obciął je ręką, włosy odrastać nazawsze przestały. —

IV. Bazyliszek*).

Za panowania króla Zygmunta-Augusta przytrafiło się w Warszawie, że w sklepach pod pogorzałą kamienicą na Krzywém — Kole (jednej z ulic staromiejskich) wylągl się był Bazyliszek, — którego natura jest takowa, że wszystkie żywe stworzenie

*) Podaję tu wypadek ten o tyle tylko, o ile po dziś trwa w opowiadaniu staromiejskiej ludności; ktoby go chciał poznać z większą dokładnością, znajdzie w zbiorze powieści: Nowy gabinet powieści S. Z. Sierpińskiego, — gdzie treść, wyjęta z starego kalendarza Stanisława z Łazów Duńczewskiego, oprawna jest jeszcze w ramy wyborniej opowieści.

samém wejrzeniem zabija. Tak się téż stało z dwojgiem drobnych dziatek, co do owéj piwnicy igrając zabiegły, i z dziewczką, co ich szukając tam zaszła. — Wyciągnięte osekami trupy były nabrzmiące, pełne pryszczy i plam, — z czego świadomi rzeczy wnieśli o bytności Bazyliszka. Urząd miejski posłał do piwnicy winnego śmierci zbrodniarza, okrytego zewsząd zwierciadłami, obiecując mu przebaczenie jeśli potworę zabije. — Jakoż Bazyliszek, jak skoro w zwierciadło pojrzał, padł, własném zabity wejrzeniem.

V. Zbójcy.

Przed stu jeszcze, lub mało co więcej, laty nowe miasto warszawskie otaczały zarośla i bagna, a podczas gromnic, nieraz bywało, wilki przybiegały nocą w rynek, wyć pod jatkami rzeźników. — Za owych to czasów, w późny zimowy wieczór, przyszedł do jednej zamożnej, w pobliżu kościoła N. P. Maryi, gospody dziad żebrzący, prosząc aby go na nocleg przyjęto. Za zezwoleniem gospodarskiém, legł sobie na ciepłym zapiecku, — a wnet téż i wszyscy domowi do snu się układli. — Kiedy już dobrą godzinę wszystko w izbie, jak makiem zasiał, cicho było, — szynkarka, która dotąd zasnąć niemogła, posłyszała szelest po za piecem — i dziad, wyszedłszy przybós

na podłogę, pełzł omackiem do komina. Tu, rozdmuchawszy zarzewie, zapalił wydobytą z torby świeczkę z trupiego łoju, której wiadoma własność, że dopóki się pali, nikt ze śpiących zbudzić się nie zdoła. — Zlekła dziewczyna ukryła pod pierzynę głowę; skrycie jednak śledząc oczyma każdy krok dziada widziała, jak szedł od łóżka do łóżka, ze świeczką w jednej a ogromnym nożem w drugiej ręce, badając każdego czyli spi. . . . Naostatek przyszedł i do niej, a ściągawszy pierzynę z głowy począł się jęć bacznie przyglądać. Ona, zaledwie oddychać śmiejąc, zawarłszy oczy, leżała jak drewno, modląc się tylko w duszy do Matki Najświętszej; dziad jednak coś takiego dostrzedz musiał na jęć twarzy, że pozornemu nieufając snowi począł ją łechtać w podeszwy, — to znowu drapać i szczypać po twarzy, — nareście świecą pod piętami smalić, aż skóra skwiercząć zaczęła wzdymając się w bąble. — Dziewczyna wszystko mężnie wytrzymała, nie dając znaku czucia po sobie; a wtedy dziad, pewny swego, postawiwszy na stole świeczkę, wyszedł na ulicę.

Posłyszawszy to, szynkarka co tchu spuściła się z łóżka, popełzła na czworakach do sieni i żelaznemi zawarła ją ryglami. — Jeszcze niepodążyła zacząłgać się nazad do izby, kiedy pięciu zbójców przyszło pode drzwi; znalazłszy je zawarte straszliwie kląć poczęli, a mniemany dziad zawołał: „To ta psia para

szynkarka nie spała! . . Nie ona szelma, ale ja, com ją przy życiu zostawił.“ — Ona tymczasem, dosięgłszy stołu na którym trupia paliła się świeczka, zalała ją ludzkim moczem (bo inaczej zgasić jej niepodobna) i pobudziła dom cały. —

Długo później leżeć musiała, nim powróciła do zdrowia; a ozdrowiawszy, lękając się zemsty zbójców, na zawsze opuściła Warszawę.

VI. Zaklęta księżniczka na Dynasowskiej-górze.

Pomiędzy Kazimiérowskim i Ordynackim gmachem, nad Wisłą, na wysokiej, pustej górze, sterczą czarne, zrujnowane mury, przez niemieckiego księcia de Nassau, za panowania Sasów, rozpoczętego ale niedokończonego pałacu. — W obszernych pod nim, wodą zalanych, piwnicach pływać ma księżniczka, w kaczkę zaklęta. — Są chwile, kiedy wraca do ludzkiej postaci, — a wtedy, jeśli komu spotkać się ją zdarzy, podaje mu warunki swego wybawienia, w nagrodę przyrzekając oddać rękę. — Do wybawienia jej niepotrzeba ani męstwa, ani cnoty, ani wytrwania; dość tylko w jednym dniu na zbytki same strwonić sto dukatów, które księżniczka zalicza. Jak bądź się

przecież lekkim widzi to zadanie, nikt go dotychczas spełnić niepotrafił; — i księżniczka wciąż zostaje pod mocą ciężącego na niej zaklęcia *).

*) Dla zupełności tylko zamieściłem tu i ten skarłały i skoślawionój wyobraźni utwór, jak bądź pewien jestem że nie na miejscu powstałym, lecz jest przynosnym towarem z Niemiec, — gdzie mnóstwo podobnych napotyka się podań. Do nas przyniosła go zapewne wędrująca czeladź rzemieślnicza, między którą też głównie się przechowuje. —

DODATEK.

Kilka podań, baśni, gadek

z Wielkopolski i Szląska.

Strach.

Baśń.

(Z Wielkopolski.)

Na wierzchołku jednéj góry,
Stały zamku pyszne mury.
Dach czerwono malowany,
Duże okna, białe ściany....

.....
Nikt nie zgadnął, nikt niewiedziały,
Co téż tam za kaduk siedziały;
Ale że siedziały, to pewna.

A. Odyniec.

Gospodarz jeden miał dwu synów; jednemu imię było Walek, drugiemu Wojtek. — Walek, był jak wszyscy ludzie: rozumiały to co i drudzy, ale prochu by nie wymyślały; zwano go jednakże mądrym, dla tego że miał brata niezmiernie głupiego.

Głupi Wojtek na żaden raz nie mógł zrozumieć, co to znaczy strach. Ile razy słyssały mówiącego starszego brata, że tu i owdzie był w strachu, wypy-

ywał go natrętnie, ale wszystkich tłumaczeń ni raz pojąć nie umiał. Znudzony i gniębny, mądry Walek umyślił sobie że go raz strach znać nauczycy.

Jednego ciembnego jesiennego wieczora, ojciec posłał głuptasa do karczmy po gorzałkę. — Walek wiedział, że dla skrócenia drogi chodził on zawždy przez smętarz. Korzystając tedy z pory, wymknął się cichaczem z chaty, uczernił twarz całą sadzami, okrył się na głowę czerwoną spódnicą matczyną, a wzięwszy w gębę skrzący węgiel, stanął na samój ścieżce środkiem smętarza wydeptanej. — Niezadługo nadszedł Wojtek, w karczmie trochę zakropiony, a widząc postać na drodze swój stojącą, zawołał z daleka:

— „Héjże no ty! z ogniem w pysku! usuń się z ścieżki na stronę, bo niebędę ci lazył w błoto.“

Ale Walek, zamiast się usunąć, jęknął tylko jak mógł najokropniój.

— „Głuchys, czy co?“ wrzasnął zbliżając się głupiec, „zejdź mi z drogi, a jak niechcesz, to cię tak zamaluję że fajczysko ci wyleci!“

Mądry brat pomyślał sobie przecież: „taki ty w końcu ucieczesz“ — i jęknawszy jeszcze straszniej, rozczapiérzywszy obie ręce, szedł prosto, jakby go chciał schwycić. Ale się, mimo rozumu, piekielnie ten raz oszukał: Wojtek, co miał uciekać, podniósłszy w górę kij swój dębowy, rzucił się obces na stracha i poczał grzmocić nielitośnie. Mądrali,

w tym niespodzianym popłochu, węgiel wpadł z zębów do gęby, piekąc go w gardziel i dławiąc: ryczał więc, niemogąc mówić, jak prawdziwy potępieniec. Uplątawszy się spódnicą, upadł uciekając w błoto, że zanim węgiel z gęby wydostał i dał się poznać Wojtkowi, wziął pewno swoje sto kijów.

Wojtek, skoro poznał brata, począł go serdecznie przepraszać, chociaż się nie mógł wydziwić zkąd i po co wieźły mu się takie głupstwa. — Zgrzyta ąc zębami z wściekłości i bólu, ledwie się dowlóknął stłuczony Walek do domu. Skoro ojciec zobaczył co się z jego mądrym synem stało, porwał za batóg okrutnisty, i byłby nim porządnie głupiego obłożył, gdyby ten nieuciekł wcześniej na wyżki i nie wciągnął drabiny za sobą.

Nazajutrz niebogi Walek rozchorował się na dobre, że mu krew puszczać i boki bańkami całe obstawiać musieli. Ojciec zaś zajął się ztąd ku głupiemu Wojtkowi tak nieubłagany gniewem, że nie chcąc, jako mówił, próżno batoga psuć na jego oślim grzbiecie, wygnał go z domu na cztery wiatry, żeby go bięda rozumu nauczyła. Napróżno matka, — która, jako zwykle matki, najbardziej głupiego syna miłowała, — płacząc przyczyniała się za ulubieńcem; musiał, zabrawszy manatki i mieszek spory z grosiwem, od matki dany, wędrować z chałupy w świat.

— „Mój Boże! mój Boże jedyny!“ medytował

sobie po drodze: „tatuś jak psa precz wygnali! Za co? żem nie mógł ni raz poznać stracha! . . . Oj! żeby téż gdzie tego stracha spotkać!“ . . .

Na drugi tydzień wędrówki swojej zaszedł głupi Wojtek na południe do jednéj karczmy. Kiedy go zaczęli pytać, dokąd i po co wędruje, odpowiedział szczerém sercem: że sam nie wie dokąd idzie, a szuka poznać gdzie stracha. Co żyło buchło śmiechem na te słowa, nie wiedząc czy to głupiec, czy frant; karczmarz zaś, klepiąc go po ramieniu, rzekł:

— „No przyjacielu! jeśli ci o to tylko idzie, nic łatwiejszego jak tu poznać strach. — Widzisz, hen na górze, ten ogromny zamek? od Bóg wie jak już dawna stoi on pustkami, bo przed strachami żywa dusza mieszkać się w nim boi. Idź, jeżeliś tak stracha ciekaw, tam spać, a będziesz go miał dosyć.“ —

„Juści że pójdę, kiedy tak,“ — odpowiedział Wojtek — „a jeżeli tam stracha na prawdę poznam, zapłacę wam uczciwie za dobrą radę. Musicie mi tylko zanieść co jeść i pić, bo na czczo znudziłoby mi się czuwać przez noc całą.“

Ludzie i karczmarz sam, widząc że on na prawdę się wybiéra, rzucili żarty i jeli przekładać, żeby nie narażał próżno młodego życia, bo już nie jeden zuch taki za ich pamięci przepadł w zamku na wieki Ale

Wojtek ani sobie mówić nie dał; a im ci bardziej strachem przerazić go chcieli, tém więcej cieszył się że go pozna. — Niemogąc odwieść głupiego od zuchwałego przedsięwzięcia, czyniąc mu k woli, zanieśli przed wieczorem do zamku drew na noc całą, parę kiełbas, parę kiszek, potężną rynkę kartofli ze szpérką, a wręście flaszkę jedną i drugą gorzałki. Wojtek, pewny że głodu mieć nie będzie, pożegnał z wieczorem odradzających w karczmie towarzyszy i poszedł wesół na samotny nocleg.

W przestworzym jednym pokoju, na ogromnym kominie, rozniecił sobie ognia, a przysunawszy do niego krzesło szerokie i stół, postawiał na nim wszystkie swoje zapasy. Potém, zapaliwszy fajkę i wyciągnawszy się w wygodném krześle, przysłuchiwał się, w pół drzemiąc, wichrowi gwiżdżącemu w czełusciach, tak żałośnie i przeraźliwie, że każdemu innemu włosy na głowie by powstały. Raz po raz popił sobie kiéliszek gorzałki, — wręście i jeść mu się zachciało. Zabrał się tedy do gospodarstwa: postawił rynkę z kartoflami na ogień, a kiełbasy przywiązawszy do drewnianego rożenka, zaczął je zwolna przypiekać.

Kiedy w najlepsze kartofle skwiérczyć a z kiełbas tłuszc wonny kapać poczynął, — „leceć!“ dał się w głębi komina słyszeć głos straszliwy.

„Tam do licha! czekaj chwilkę, niech wieczerzę

z ognia zdjémę,” odpowiedział głośno Wojtek, zestawiając rynkę pod stół i kładąc na niej swój rożenek. — „No, teraz leć sobie kiedy chcesz!”

Zaszumiało coś wzdłuż komina — i na rozpalone ognisko upadło pół człowieczego ciała, od stóp aż do pasa, jakby tylko co przecięte, bo jeszcze krwią sączące. Wojtek, niezmiészany wcale, widząc że mu ogień przygasza, pochwycił ją za obie nogi i po za siebie przerzucił. — Ułatwiwszy się, chciał już na nowo swoją wieczerzę nastawiać, aż w tém: „le cę!” ozwało się w kominie po raz drugi.

— „Leć sobie, kić chcesz, na złamanie karku,” odpowiedział głupiec, zły że mu spokojnie zjeść nie dadzą.

Tą razą na ognisko zleciało drugie pół człeka, ze straszną, brodatą, głową, w której krwawe, ogromne, ruszały się oczy. Wojtek i tę, za pierwszą, przerzucił; gdy zaś chwilę przeczekawszy nic w kominie nie posłyszał, stawiał znów rynkę i rożenek w ogień. — Bez żadnej więcej przeszkody dosmażył swoich pėrek i dopiekl kiełbas, a wyłożywszy wszystko na misę postawił na stole.

W tém, gdy się za czémś obejrzał, ujrzał że z obu onych połów zrosł się cały, wysoki, barczysty, srogiego wejrzenia człowiek, który milcząc stał za jego krzesłem.

— „Ho-ho! kolego! a cóż to tak stoisz, niby trusia? Weź sobie drugie krzesło i siadaj zdrów za

stół; nie lubię kiedy sam jem, żeby mi kto głodny w gębę patrzył.“ —

Straszny człowiek wziął krzesło i usiadł w niém milcząc, ale do jadła się nie brał. Wojtek, co trochę ujadł, to obracał się do niego z prośbą; wreszcie, widząc że to próżno, obrażony, niechał go w pokoju, i pałaszował co Bóg dał. — Alic kiedy ostatnią łyżkę, z ostatnim kęsem kiełbasy, miał już do ust kłaść, milczący gość ozwał się ponuro:

— „Jadłeś sam, dajże teraz mnie.“

— „Niechciałeś, kiedym ja cię prosił, zjédźże teraz psi gnój, kiedyś głodny,“ odrzekł rezolutnie Wojtek, połykając resztę strawy.

— „Czekaj! zaraz ja tutaj z ciebie zrobię pieczeń,“ zaryczało straszydło, zrywając się do niego.

— „Pomału, bratku, pomału! Jesteś to ty może ten strach? he? . . To czemużes taki głupi, nie jész kiedy ci co dają? Ja już całe dwie niedziele włóczę się, żeby cię poznać, — a niebyło zacząć widzę, kiedyś taki kiep.“

— „Zaraz ty mnie tutaj poznasz,“ wrzasnął strach, i porwał Wojtkę za gardło. — Ale i Wojtek nie dał sobie bezkarnie pluć w kaszę; jak huknął raz i drugi pięścią po strasznym łbie, ogłuszony potępieniec padł na ziemię jako kłoda drzewa. — — Głupiec powalonymu siadł na piersiach i trzymając mu swój kozik na grdyce, pytał:

— „A no, bratuniu? kto z nas mocniejszy? wi-

dzisz na co ci twój sążeń cielska się zdał? . . . Cóż mi dasz teraz, żebym się żywo wypuścił?”

— „Dam ci skarb wielki, o jakim nie śniłeś, — ale nie za to żebyś mnie puścił, tylko żeś mnie zmógł, bo przez to zbawiłeś mnie od mąk, które od stu lat znosiłem. Byłem ja kiedyś tu panem, a przytém okrutnym siłaczem; kogo zaś, wyzwawszy, przemogłem, na wpół piłą go przerzynałem. Za to co noc mnie djabli teraz piłowali, — aż póki nieznalazłby się ktoś, coby nademną wziął górę. — Nie byłbyś téż tego dokazał, gdybyś mi oddał ostatni kęs twego jadła, bobym pożarł z nim wszystką twoją siłę. — No! a teraz pójdź za mną, wziąć nagrodę którąś zarobił.”

Wojtek szedł tedy za strachem, aż do ogromnej piwnicy, gdzie było pełno srebra, złota i drogich kamieni. Wybawiony potępieniec pozwolił mu brać z tąd co zechce, a Wojtek brał téż ile unieść tylko zdołał. Od blasku zaś tylu skarbów tak mu się na raz rozjaśniło w głowie, że wybierał samo złoto i najkosztowniejsze klejnoty, — choć przedtém jako żywo nic tego wszystkiego niewidział!

Obładowawszy się dobrze, chciał podziękować swemu dobrodziejowi, — ale ten już gdzieś się zniżył. „To i tak dobrze! nie będę mu się kłaniać,” pomyślał zhardziały głupiec, i wyszedł z zamku, wlekąc się jako mógł pod ciężarem swój zdobyczy.

Kiedy powrócił do karczmy, gdzie go ciekawa

gawieź jak cudo jakie witała, nie był to już wczorajszy Wojtek! Na wypytywania ludzkie mało odpowiadał, skarżąc się że go strach zbił strasznie, tak że ledwie z życiem ujść zdołał. — Karczmarzowi, choć obiecał, nic za wczorajszą radę nie dał; a najawwszy podwodę kazał się wieść — nie do chałupy, jeno do miasta, gdzie jako pan zaczął żyć sobie.

Za niedługo kupił piękne dobra, wystawił w nich pyszny pałac, ożenił się ze śliczną hrabianką, dawał obiady najlepsze w całej okolicy i słynął aż do śmierci pod imieniem mądrego Wojciecha.

Przypis.

Porównać: Klechdę szlaską Młynarz i trzej synowie, w Przyjacielu Ludu z 1846r. (Numer 12); tudzież w zbiorze niemieckim: Kinder- und Hausmärchen, gesammelt durch Brüder Grimm.

Krwawe Pole

w dolnym Szląsku.

W części dolnego Szląska graniczącej z Wielkopolską, w okolicach miasta Międzyborza, w bliskości wsi Czarnego-Lasu, napotyka się na szeroki obszar ziemi, tak czerwonej, jak gdyby niedawno krwią czerwoną zlanej. — Lud tameczny przypisuje téż tę barwę krwi, wylanęj kiedyś tak hojnie w boju z Niemcami, że ziemia na wiek wieków nią przesiąkła. — Jeżeli nieprawdziwa, jakżeż to małowna powieść ku wyrażeniu dziejów kiedyś téj strony! Dźwięczy w niej echo téjże saméj myśli, co w historyczniejszém i znajomszém podaniu o Psiem-polu: i dla tego sądziłem słuszném ją zapisać.*)

*) Pisząc to, przypominam sobie inną podobną wzmiankę gminną, zasłyszana kiedyś w innéj stronie Polski, którą dla téjże przyczyny co szląskie podanie tu kładę. — Na ruskiém Podlasiu, około Janowa, między wsiami Pokinianką i Olszynem, wlesie *Kamieniucha* zwanym, jest dość obszerna bujna łączka, choć jéj żadna nieskrapia woda. Wieść gminna mówi

Jako szczegół, ale nie zdający się mieć znaczenia, notuję tu jeszcze wzmiankę: że co noc krwawe widziadło człowieka bez głowy ma błądzić po krwawém tém polu, do dzisiaj nawet często jeszcze widywane.

że raz Tatarzy, odkrywszy tu mnóstwo schronionój okolicznój ludności, wyrznęli ją, — a od leżących trupów ziemia się tak użyźniła i wygniła w dolinę! —

Kościół Ś. Jadwigi w Trzebnicy, na Szląsku.

Tam są jakby tysiące
Wojska, które jest śpiące,
Pod kość głęboko,
Gdzie nikt dostać może,
Ani żadne ich oko
Niedopatrzy, prócz boże.

.....

A to wszystko rycerstwo,
A to wszystko żołnierstwo
Co śpi w głębi, to owe
Co krew lało dla wiary,
Całe w sobie krzyżowe.
Jak zwinięte sztandary
Każdy cicho leżący

C. N.

O trzy mile od Wrocławia, w Szląsku, po prawej stronie Odry, napotyka się, w miłym między wzgórzami położeniu, niewielkie ale schludne miasteczko Trzebnica, dziś już zupełnie zniemczone, sławne kościołem, w którym grób świętej Jadwigi się mieści.

Kościół ten, wraz z okazałym klasztorem do niego należącym, założonym został przez Henryka brodatego, męża świętobliwej Jadwigi. Podług tradycyi miał on kiedyś na polowaniu zagrzać z koniem w źródliku tu się znajdującem, a niemając z niskąd pomocy, uczynił ślub, że jeśli się wyratuje kościół w tém miejscu wystawi. — Źródliko ono, ocembrowane studzienką, dotąd istnieje w piwnicy pod kościołem; pobożni pielgrzymi przyznają mu moc cudowną w uzdrawianiu chorób, a osobliwie ślepoty.

Kościół wraz z klasztorem oddany został zgromadzeniu Cystersek, hojnie przez założyciela uposażonemu. — Gadka gminna opowiada że pierwsza zakonu tego ksieni, Pietrusza na imię, z Niemiec sprowadzona, gdy jój Henryk oddając klasztor zapytał czy jeszcze w nim czego nie trzeba, odpowiedziała: „trzeba nic“ — zkad wziąć się miała nazwa Trzebnicy. Wywód niezbyt dowcipny, a co gorsza nieprawdziwy, bo oczywiście nazwa ta od trzebienia zalegającego tu kiedyś lasu powstała.

Dziś, po zniesieniu przez rząd pruski klasztorów i odebraniu na skarb bogatęj fundacyi, przy kościele trzebnickim kilku tylko jest księży, z których jeden przynajmniej zwykle po polsku umie. — Ciało Ś. Jadwigi leży w samym kościele, w okazałym z marmuru, ale niezbyt dawnęj struktury, grobie; głowa jój przechowuje się w kosztownym i starożytnym relikwiarzu, uwieńczonym mitrą książęcą. — Oprócz

tój patronki w kościele tym znajdują się groby wielu książąt i księżn z rodziny Piastów, a między niemi: Konrada, syna Henryka 1o; Przemysława; Adelaidy, żony Dyppolta margrabi Morawii; Katarzyny, małżonki Jana na Żaganie; Elżbiety, księżniczki Opolskiej; Eufemii, córki Wiktora księcia Ziembickiego (Münsterberg), Jadwigi, księżniczki z Bukowca (Lübek) i księżny Karoliny, Holsztyńskiej.

Ludność polska Szląska górnego i dolnego (koło Sycowa, Międzyborza, Milicza), tudzież powiatów wielkopolskich Szląskowi przyległych, w wielkiej czci chowa kościół trzebnicki i częstemi go pielgrzymkami nawiedza. Pomiedzy tą to ludnością krąży następne, myślą, poetycznością i treścią wielce zajmujące podanie.

„Za dawnych czasów przyszli raz byli pod Trzebnicę Turcy, z ogromném wojskiem, domagając się ażeby Polacy przeszli na ich wiarę, a kościół na turecki zamienili. — Polacy, choć ich była tylko bardzo mała garstka, niechcieli na to przystać, ale zaczęli się bić. — Bili się tak doskonale, że chociaż zaledwie jeden Chrześcian był na dziesięciu Turków, pobili ich przecież wszystkich; ale cóż, kiedy i z Polaków jedyny jeden dowódzca żywy został, a i ten śmiertelnie zraniony. — Święta Jadwiga uprosiła wtedy u Matki-Boskiej, że zranionemu dowódcze wróciła zdrowie, a wszystkim co za wiarę świętą po-

legli, śmierć na sen zamieniła. — Leżą oni wszyscy, przez aniołów przeniesieni, — wraz z bronią swoją, w ogromnej jaskini pod trzebnickim kościołem; rany ich się pogoiliły, śpią twardo, ale żyją. — Sam jeden dowódzca nieśpi: w pośrodku lochu siedzi na kamieniu, z ogromną brodą, na pałaszu oparty, i odmawia różaniec.

„Dawniejszemi nieco czasy jaskinia ta nie była bardzo głęboko pod ziemią, a jedna dziewczucha, biorąc piasek, natrafiła raz na wejście. Weszła: — aż obaczywszy owych rycerzy, zlekła się srodze; lecz dowódzca przemówił do niej, żeby się nie bała, ostrzegł tylko żeby wychodząc nieporuszyła dzwonu u wnijscia wiszącego. — Płocha dziewczyna umyślnie go poruszyła: — i oto, na dźwięk dzwonu, wszyscy wojacy schwycili się ze snu i stanęli pod bronią Rozgniewany wódz, że wojsku jego sen przed czasem przerwano, zamknął się z niem głębiej w ziemię, — i odtąd nikt jaskini tej znaleźć nie może. — Ale kiedy będzie wojna o wiarę, dowódzca ów sam w dzwon uderzy, a śpiący rycerze wstaną, wyjdą na świat z bronią, będą walczyć i zwyciężać.“ —

Piękna ta legenda, charakteryzująca doskonale religijnego ducha mieszkańców stron tych, zasługuje na uwagę, jako przykład pojmowania i zachowywania przez Lud historycznych zdarzeń: gdyż niezawo-

dnie odnosi się ona do pamiętnej bitwy z Tatarami pod Lignicą, w której zginął Henryk pobożny, syn świętej Jadwigi. — Niepodobna w niej niedosłyszeć także oddźwięku tej samej myśli, którą znamionuje się wzniosłe i starożytne podanie o Wieży siódmu wodzów.

Lisie-góry w Ociążu, w Wielkopolsce.

W teraźniejszym wielkiem księstwie poznańskim, na wpół drogi prawie pomiędzy miastem Kaliszem i Ostrowem, wśród grząskich zarośli do wsi Ociąża należących, znajdują się starożytne okopiska, z powodu mnóstwa jam lisich Lisiemi – górami zwane. Nasęp ten składa się z dwóch, połączonych z sobą, części. Część ku południowi położoną stanowi dość wysoki i stromy kopiec okrągły, u góry wklęsły; z nim łączy się, w kształcie przedłużonej podkowy, wał okólny, niezbyt wysoki. — Całość ma formę niezgrabnego owalu, a widoczne ślady rowu otaczają ją dokoła. — Niegdyś istniały tu reszty murów, które dziedzice pomału na cegłę (chwalebnym u nas grubiej niewiadomości obyczajem) rozebrali, dotąd przecież znajdują się podobno w ziemi spajane wapnem głązy. — Niedawno jeszcze miejsce całe pokrywały ogromne drzewa, po których wycięciu pozostały tylko teraz młodociane dęby i krzewiny. — Jeżeli godzi

się bez dostatecznych danych na wiatr puścić domysł, rzekłbym że okopisko to mogło powstać w przedhistorycznych jeszcze czasach, a w następnych wiekach dało gotową do wzniesienia warownego siedliska posadę. — O istnieniu ostatniego, prócz śladów muru, świadczy miejscowe podanie.

Podług podania miał tu stać kiedyś warowny zamek pański, z kościołem czy kaplicą. — Zdarzyło się że jednej niedzieli zła pani zamku, odszedłszy sama na nabożeństwo, służącój nie tylko że pójść z sobą niedozwoliła, ale jój jakąś robotę zadała. Rozżalona służebna zakleła: „Bogdaj by się ten zamek zapadł i z kościołem!“ — a oto klątwa, w złej chwili wyrzeczona, spełniła się zaraz, i zamek, kaplica, z ludźmi i ze wszystkiem w ziemię się zapadło.

W miejscu gdzie w kaplicy zapadłój chrzcielnica stała, wyrósł z czasem dąb, z którego boku płynęła bezustannie świeża i czysta woda, na choroby bardzo pomocna. — Kto i kiedy ściął to drzewo? niewiadomo. Żyjące pokolenie pamięta z niego tylko pień ogromny, nieco wygniły, zawsze czystą, uzdrawiającą wodą napełniony. Przed dziesięciu może laty dopiero rozsadzony został prochem niezmierny ten pień, — z którego cztery wozy pełne drzewa być miało. Pod korzeniami jego znaleziono czaszkę ludzką i końską szczękę; ale źródło, którego się spodziewano, nie znalazło się wcale i woda święta znikła bez śladu, jakby za karę świętokradztwa.

Kiedy jeszcze owa dziwna chrzcielnica w pniu dębowym istniała, dzisiaj będzie może ze dwadzieścia lat temu, trafiło się raz, że dzieci wiejskie wygoniły na Lisie-góry bydło i żrebiaki, a strzegąc ich bawiły się ze sobą. Zwykłym dzieci obyczajem obchodzili wesele między sobą, a potem i chrzcin im się zachciało. Z fartuszków tedy, chustek i. t. p. uwiły dużą lalkę na dziecko, obrali się chrześni rodzice, a jeden chłopiec jako ksiądz stanął przy chrzcielnicy. Naśladując kościelny obrządek zaczerpnął wody z niej w rękę, i polévając nią lalką wyrzekł sakramentalne słowa: „ja ciebie chrzczę, w imię Ojca i Syna i Ducha świętego.“ Ale zaledwie wymówił, na niewypowiedziany przestrah dzieci, lalka zaczęła się poruszać i kwilić niemowlęcym głosem. Wystraszeni, rzucili się wszyscy do jój zniszczenia, dla pośpiechu rozrzynając splątane tasiemki i troczki nożykami: a wtedy na nożach krew się pokazała. — W ostatniem przerażeniu, nieprzytomna prawie, cała gromada dzieci przyleciała bez tchu do wsi, jednogodnie rzecz opowiadając. —

Powieść ta dziwna trwa dotąd z najżywszą wiarą w tej okolicy, a ja mam ją od ówczesnych właścicieli Ocięża. Znałem nawet osobę która do zabawy owój należała, a która dotąd o zajściu całym jest przekonana i ze skruczą zrządzenie a przestrogę bożą w niém uznaje. —

Kłątwa Ś^o. Wojciecha.

(z Wielkopolski.)

Wspomnienie Świętego Wojciecha w niektórych okolicach Wielkopolski jest tak popularne, jak ^ś Jadwigi na Szląsku, a królowej Bony na Mazowszu. Ztąd nazwisko jego dowolnie mieszane bywa do różnych powiastek i gadek, — często w dziwnej niezgodzie z chrześcijańskim charakterem i godnością świętego męża.

Jedna z takich gadek, w zbiorze Siemińskiego podana, opowiada jako Ś Wojciech, przechodząc wieś Rudę, w Kaliskiem, rozgniewany na przelatującą srokę, która mu brewiarz splugawiła, zaklął tak sroki, że nigdy odtąd niczyje oko ptaka tego w Rudzie niewidziało.

Mnie zdarzyło się spotkać z powieścią podobnego rodzaju, odniesioną do miasta Wielunia, w Kaliskiem także położonego. — Podług niej miał raz Święty Wojciech odprawiać tam mszę pod gołębem

niebem, w której cisnące się zewsząd do ółtarza węże gdy mu sykaniem czyniły przeszkodę, zaklął je żeby wszystkie skamieniały: — i tak się stało. Od-
tąd około Wielunia, na milę obwodu, nie ma wcale być węży; za skamieniałe zaś węże uważane są licznie znajdujące się w tamtej okolicy skamieniałości, kształt zwiniętego węża mające.

Skamieniałości te z resztą, — których kilka w ręku miałem, — znajduwane w kamieniu wapiennym, są to ogromne (pół łokcia i więcej średnicy) ślimaki, do pospolitych dzisiaj we wodzie zupełnie formą podobne. —



Czcionkami R. Nischkowskiego we Wrocławiu.